

Ostrowski, Juliusz

Autobiografia

Przegląd Pruszkowski nr 2, 5-123

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

AUTOBIOGRAFIA

Wstęp



Wybaczcie mi, drodzy Czytelnicy, gdy nie znajdziecie tu tego, czego szukacie. Wybaczcie banalną może treść i bardzo nieudolną formę tej autobiografii inteligenta polskiego, pisanej w roku 1956, a obejmującej tak brzemienne w wydarzenia dwudziestolecie.

Pragnę Was jednak na początku niniejszego szkicu zorientować, że konkurs "Po prostu" i Pracowni Socjologicznej Uniwersytetu Łódzkiego PAN skonkretyzował moje dawne już plany, by coś napisać. Nie dlatego wcale, ażeby stało się zadość tkwiącej w każdym prawie człowieku skłonności do grafomanii. Słowem swoim bowiem pragnąłem nadać głęboką treść i darujcie ... przez cały miniony okres czułem instynktownie, że grunt nie jest podatny dla takich debiutów. Długie moje przemyślenia najróżniejszych tematów upewniły mnie w przekonaniu, że dobre może być tylko to, co jest szczere, co jest prawdziwe, w co mówiąc, czyniąc czy pisząc, wkłada się cały ładunek entuzjazmu, całą swą niekłamną wiarę, wszystką wiedzę swą i umiejętności, całą osobowość, całego siebie. Takiego klimatu, takiej atmosfery nie mogłem zaobserwować w Polsce lat minionych, ale od razu - gdy wydaje mi się to możliwe - korzystam z pierwszej okazji, by podzielić się z Wami ważniejszymi wypadkami z mego życia i na tym tle przedstawić światopogląd, jakiego dotychczas się dopracowałem.

1. Ppor. Armii Krajowej, ps. "Litwin", d-ca plutonu 1721.

Oto kilka danych biograficznych:



Leon Ostrowski w wieku 3 lat

Urodziłem się 9 lutego 1923r. w Pruszkowie k/Warszawy. Rodzice moi, którzy w roku 1915 ewakuowali się do Rosji przed ofensywą niemiecką, powrócili z Samary w połowie roku 1921, przywożąc z sobą dwóch synów: pierworodnego, pięcioletniego wtedy, Bolesława i niemowlę - Stanisława.

Oboje, będąc nauczycielami szkół średnich (Ojciec - matematyk, Matka - polonistka) nie mogli już uzyskać posad w państwowych gimnazjach w Warszawie i dlatego (rezygnując ze składanych im ofert pracy w gimnazjach prywatnych, jako w pewnym sensie poniżającej) osiedlili się w Pruszkowie, gdzie rozpoczęli pracę w jedynym w tym mieście gimnazjum państwowym na terenie województwa.

I. Okres przedwojenny 1935 - 1939

Pierwsze moje silniejsze przeżycie: 12 maja 1935 r. - śmierć marszałka Józefa Piłsudskiego. Uczęszczając wtedy do szóstej klasy szkoły powszechnej im.T.Kościuszki w Pruszkowie, na własną rękę pojechałem na stopniach przeładowanego pociągu do Warszawy, gdzie niezliczone tłumy ludzi, mimo fatalnej pogody, oddawały ostatni hołd temu, który - wydawało nam się - był uosobieniem Polski Niepodległej.

Nie wchodzę teraz w słuszność koncepcji politycznych Józefa Piłsudskiego ale pamiętam, iż cieszył się on - nawet u swych wrogów - poważnym autorytetem. Był Polakiem, który kochał swój kraj, pragnął służyć mu wedle swych sił i umiejętności, a co najważniejsze, potrafił umiłowaniem Ojczyzny oddziaływać na naród, a w swych pięknych przemówieniach i doskonałą polszczyzną nakreślonych "Pismach, mowach i rozkazach" uczyć ofiarności w pracy dla Polski i bronić Jej, gdy zajdzie tego potrzeba, własnym życiem.



Grzeczni braciszki: Juliusz (z lewej) i Stanisław

Od starszych słyszałem, że Piłsudski nie jest karierowiczem i że korzyści osobistych nie przedkłada nad dobro ogólne. W każdym razie śmierć Marszałka pogrążyła w żałobie cały naród i wszyscy wiedzieli, że jego następcy na pewno nie dorównają tej bezsprzecznie bardzo silnej indywidualności.

Na jesieni tegoż roku 1935, po zdaniu egzaminu wstępnego, zostałem przyjęty w poczet uczniów państwowego gimnazjum męskiego im. J. Lelewela w Warszawie. Na marginesie dodam, że szkołę powszechną ukończyłem jako jeden z najlepszych uczniów, posiadając na świadectwie tylko dwie czwórki z jakichś mało ważnych przedmiotów. Chęć prymusowania nie była mi obca, nie dążyłem jednak, jak to dzisiaj pamiętam, do wyróżniania się za wszelką cenę. Koleżeństwo i pewną niesforność, wynikającą z trudności podporządkowania się innym, przedkładałem nad dobre stopnie.

W tym czasie, gdy ja rozpoczynałem naukę w szkole średniej, mój starszy brat Bolesław skończył gimnazjum i znajdował się w zawodowej szkole podchorążych kawalerii w Grudziądzu, drugi zaś brat - Stanisław rozpoczął trzeci rok nauki w gimnazjum im. Sułkowskich w Rydzynie k. Leszna poznańskiego. Podaję tu te szczegóły dla zorientowania Czytelnika.

ków z jakiego środowiska pochodzę, bo wpływ oddziaływania starszych braci na młodszego jest zawsze bardzo silny. Duże przykrości jakie miał, na przykład, mój najstarszy brat w okresie lat gimnazjalnych i podchorążówki, wynikające z nielegalnego palenia papierosów oraz pewnej skłonności do kieliszka ("kawaleryjski fason") były, między innymi powodem mego postanowienia, któremu wierny jestem do dzisiaj: całkowitego antynikotynizmu i bardzo umiarkowanego używania alkoholu. W okresie przedwojennym pomocnym mi w tym było należenie do harcerstwa i wierność prawu harcerskiemu. Przebywanie natomiast mego, o dwa lata starszego brata - Staśka w Rydzynie, miało tę dobrą stronę, że pozwalało na wymianę myśli drogą korespondencji i konfrontowania swoich poglądów z poglądami już wypróbowanego, bo starszego brata (dwa lata dla kilkunastoletniego chłopaka to duża różnica wieku). Trzeba dodać, że Stasiak uchodził zawsze w naszej rodzinie za chłopca wybitnie (i wszechstronnie) zdolnego, a będąc przy tym ode mnie ładniejszym, podbił serca wszystkich, a ja chowałem się w pewnym sensie w kompleksie niższości. Jedyną może moją pociechą w tym czasie były moje lepsze warunki fizyczne.

Stasiak bowiem przyszedł na świat w Samarze w okresie wielkiego głodu porewolucyjnego, ja zaś już w wolnej Polsce i jako niemowlę mogłem ssać mleko z piersi matczynej, a nie krew, jak to było z moim starszym bratem. Fizycznie i duchowo bliższy byłem, jak to się później okazało, swemu najstarszemu bratu, ale dyskusje i serdeczniejsze współżycie miały miejsce przed wojną tylko ze Staśkiem, bo siedem lat różnicy to były wtedy dwa światy.

Kompleks niższości, o którym wspomniałem wyżej, wynikał także z pewnego uprzywilejowania najstarszego brata, którego najbardziej - zdaje się - kochała Matka. Miłość tę co prawda neutralizowały bardzo eksperymentatorskie metody wychowawcze ojca, który najczęściej karcił Bolka, na nim głównie wyładowując swój nadmiar energii życiowej.

W każdym razie przyjazdy pierwotnego z podchorążówki na urlop były wydarzeniem w naszym domu i wszyscy, włącznie z Rodzicami i Babciami, traktowali go jako najważniejszą osobę, czego dość ciekawym i komicznym jednocześnie dowodem było odstąpienie przez Babcie od strzeżonego dotychczas wyłącznie dla Ojca przywileju zjadania na śniadanie w niedzielę, pieczonej, białej kielbasy na zimno.

Umiłowanie munduru i koni, które wyniósł Bolek jeszcze z Samary, patrząc na stałe wtedy ruchy wojsk i słuchając romantycznych opowieści naszej Matki o rycerstwie polskim, które w zwycięskich szrankach rozstawiało imię naszego narodu w najrozmaitszych polach bitew, rozsadało jego pierś w czasie licznych relacji, jakie zdawał on ze służby w wojsku,



Rok 1930 (1931?) od lewej: były dyrektor Gimnazjum im. T. Zana Bolesław Jakubowski, Stanisława i Leon Ostrowscy

podczas swych bytności w domu. Był żołnierzem z powołania i dlatego promieniowało z niego zadowolenie, mimo, że twarda szkoła żołnierska niejednokrotnie dawała mu się we znaki.

Posiadając wrodzone poczucie humoru i zmysł obserwacji życia, w barwny sposób dzielił się z nami różnymi epizodami, które opowiadane w pieleszach rodzinnego domu, miały nieodparty urok, potęgując

nasz sentyment, jakim darzyliśmy wojsko polskie.

W tym okresie, wpatrzony w swego najstarszego brata, też marzyłem o karierze oficera zawodowego, lecz "mądrzejszej" broni, artylerii (jako, że mówiło się wtedy, iż posiadam większe uzdolnienia matematyczne).

Dla jaśniejszego obrazu w zrozumieniu kształtowania, w tych przedwojennych latach, mego światopoglądu, nie można pominąć bardzo istotnej sprawy, jaką jest wychowanie religijne i w ogóle stosunek do zagadnienia wiary. Otóż Matka moja należała do osób bardzo religijnych, uduchowionych, umiała w modlitwie znaleźć ukojenie w najcięższych nawet chwilach życia. Ojciec był przedstawicielem bardziej racjonalistycznej szkoły myślenia, ale ostatecznie uznawał istnienie siły wyższej nad człowieka i można było uważać go za coś więcej niż katolika jedynie z metryki. Dla teściowej swej (mojej babki), osoby głęboko wierzącej i o gołęmbim sercu, posiadał nieklamany szacunek.

W tych warunkach nie można się dziwić, że wyniosłem z domu przekonanie o istnieniu Boga i wiarę w taką czy inną formę życia pozagrobowego. W pewnym okresie gimnazjalnym przystępowałem często do Komunii Św. i czerpałem pokrzepienie z częstej modlitwy. Na plus muszę zapisać, że w wierze swej nigdy nie byłem i nie jestem zaślepiony, że cały szereg takich czy innych wątpliwości, starałem się rozstrzygać własnym rozumem i znajdować jak najwięcej argumentów naukowych na potwierdzenie swej wiary. Może była to postawa asekurancka, ale miałem w pamięci słowa Pascala, że "... wierząc nic nie tracimy, a nie mając wiary możemy stracić bardzo wiele".

A jeśli chodzi o atmosferę polityczną naszego domu w latach 1935-1939? Ojciec, mimo że w roku 1930 został dyrektorem gimnazjum, nie na-

leżał do żadnej partii, chociaż polityką bardzo się interesował i nawet zaryzykuję stwierdzenie - znał się na niej. Uważał, że polityka to rzecz bardzo śliska, a podporządkowanie się jakiemuś sprecyzowanemu programowi, wymaga od człowieka rezygnacji z przynajmniej pewnej części swojej własnej osobowości. Mnie się wydaje, że na przeszkodzie rzucenia się przez ojca w wir życia politycznego, stała także pewna ociężałość i lenistwo, które hamowały optymalny rozwój i znaczniejsze osiągnięcia tego niewątpliwie zdolnego człowieka. Matka nasza, oddająca wszystkie swe siły umiłowanej pracy pedagogicznej (gdzie osiągnęła bezsprzednie mistrzostwo w umiejętności rozbudzania wśród młodzieży ukochania dla literatury, szacunku dla słowa, samodzielności myślenia i precyzowania swych sądów oraz miłości dla wszystkiego co piękne i szlachetne) i domowi rodzinnemu, polityką zajmowała się tylko tyle, ile wymaga tego pewne minimum, niezbędne dla inteligenta.

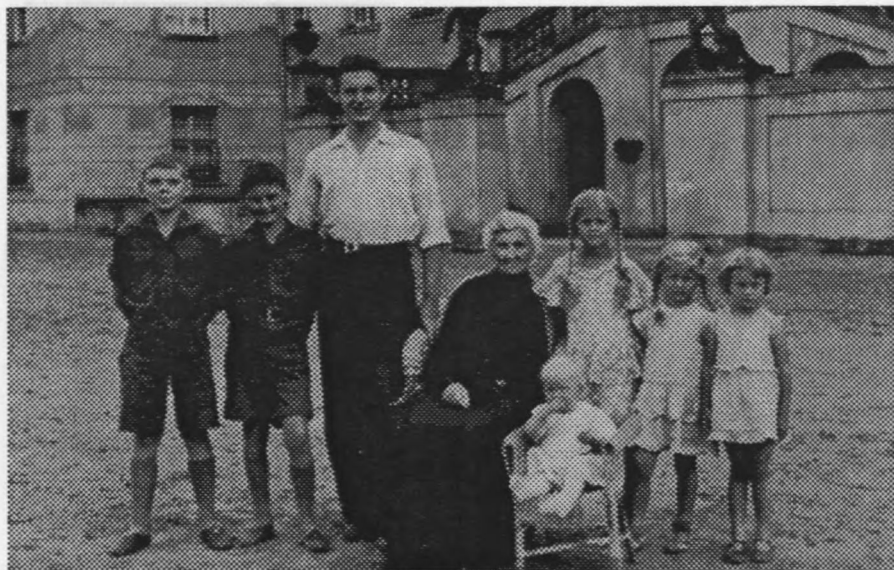


Rok 1934 - Warszawa, od lewej Staś w mundurze "rydzyńniaka", Teodora z Jasińskich Filipkowska (matka "Stasi") i Stanisława Ostrowska)

Ale jaki ten dom był właściwie i czy posiadał jakiś własny program polityczny? Dzisiaj, z perspektywy lat dwudziestu, scharakteryzowałbym go następująco:

1. bardzo umiarkowany nacjonalizm,
2. przychylenie się do radykalizmu społecznego, a w każdym razie uznawanie zarówno w życiu indywidualnym jak i zbiorowym zasady, że o wartości człowieka, czy grupy ludzi, nie decyduje pochodzenie, ani takie czy inne zasługi, lecz użyteczność społeczna oraz indywidualne zalety, cechy charakteru, zdolności itp.,
3. ubolewanie nad skłóceniem partii politycznych w Polsce i brakiem trafnej koncepcji politycznej, jakiej nie dopracował się rząd,
4. obawa o przyszłość Polski, która otoczona była, jak się wtedy mówiło, wrogami i z zachodu i ze wschodu.

Muszę przyznać obiektywnie, że dom rodzicielski nie oddziaływał na mnie od wczesnego dzieciństwa w duchu takiego czy innego ruchu politycznego.



Lipiec 1933. Dziedziniec pałacu w Rydzynie: babcia Teodora Filipkowska w otoczeniu wnucząt. Po jej lewej stronie wnuczki Żawrodzkie, po prawej wnukowie: Bolesław, Stanisław i Juliusz.

Jestem wdzięczny rodzicom za wpojenie nam wszystkim zasady niekłamanego poszanowania dla każdego człowieka, dla każdej pracy i takiej postawy ogólnoludzkiej, która szukać nakazuje w każdym człowieku tego, co jest w nim dobre, co jest w nim szlachetne, która przekreśla zasadę budowaną a priori, iż "homo homini lupus". Dzisiaj stwierdzić mogę, jako dojrzały mężczyzna, że zasada ta przeszła z jak najpomyślniejszym wynikiem próbę życia, ostała się wobec przeróżnych czasów i każdego nawet ustroju.

Jeszcze jedno wyniosłem z tamtego okresu: obawę i nieufność przed każdą formą krańcowości, czy to w życiu rodzinnym, czy nawet społecznym. Umiar, jako złoty środek postępowania, stał się moją dewizą życiową.

Wychowanie w głębokim szacunku dla wiedzy pozwoliło mi już w tych wczesnych latach samodzielnego myślenia zrozumieć, że pragnąc osiągnąć coś w życiu, muszę wiele się uczyć, nie mogę trwonić czasu, którego jest tak mało dla zdobycia pewnego quantum wiadomości, pasującego na miano człowieka oświeconego. Szczęściem moim jest zrozumienie tak prostej, a jednak zapoznawanej przez większość - prawdy, że kultura duchowa jest większym skarbem niż nieprzeliczone dobra materialne.



Stanisława i Leon Ostrowscy w 1935 roku

Umiejętność wypracowania w sobie uczucia obojętności, a nawet powiedziałybym pogardy dla "złotego cielca" pozwoliła mi rozwijać się bez kompleksu niższości wobec "wyżej urodzonych", a jednocześnie uznawać za równych sobie tych, których los postawił na niższym szczeblu drabiny społecznej.

Siłą motoryczną zdobywania wiedzy były dla mnie - jak pamiętam - nie tylko względy natury użytecznej, lecz także samo czyste zadowolenie, rozsmakowanie się w strawie duchowej, którego wielkość była w stosunku wprost proporcjonalnym do przełamywania trudności, w przyswajaniu nowych tematów i zagadnień.

Jeszcze jeden aspekt ówczesnej sytuacji nie został przeze mnie na-

świetlony. Czy byliśmy przed wojną tzw. "domem zamożnym"? Wydaje mi się, że nie. Oczywiście żadne z nas nie cierpiało nigdy głodu, czego najlepszym dowodem były pamiętne dla mnie dialogi z babcią, kiedy to oburzałem się, że za często na kolację mamy herbatę i chleb tylko z masłem! - "Dziękuj Bogu, że to masz i proś byś miał do końca życia, bo innym dzieciom nawet suchego chleba brakuje" - replikowała Babcia. Nigdy wtedy nie myślałem, że za parę lat - w czasie okupacji - jako kilkunastoletni młodzieniec w tym samym mieszkaniu - głodny - szukać będę kawałeczka czerstwego, kartkowego, przydziałowego chleba.

Ale chodziliśmy ubrani dość skromnie, na przyjemności otrzymywaliśmy 1 czy 2 zł miesięcznie, w domu nie było nawet pianina i nikt z nas nie nauczył się grać na żadnym instrumencie; przed pójściem do gimnazjum, nie poznaliśmy obcych języków, a do dziś dnia pamiętam, że pod koniec miesiąca brakowało nieraz paru złotych na kupno nie tylko jakichś niezbędnych rzeczy, ale nawet na życie. Poza tym nie zrobili Rodzice prawie żadnych oszczędności, mimo iż przez cały czas obok Ojca pracowała zarobkowo nasza niestrudzona Mateczka. Nie wyobrażam sobie, co to by było, gdyby Matka, jak większość kobiet przed wojną, nie pracowała.

Pod względem więc - jak to dzisiaj modnie się mówi - stopy życiowej należeliśmy przed wojną do typowych domów inteligenckich, gdzie nie przelewało się, ale życie było zdrowe, prowadzone trybem higienicznym i



Stanisław (z lewej) i Juliusz jako gimnazjaliści

bez niedostatku. Pomyślność domu uzależniona jednak była od comiesięcznej pensji, a więc oparta na stałości i sile państwa. Tak zwanej rezerwy na czarną godzinę nie było, a "dorabianie" miało się rozpocząć od roku 1939, gdy najstarszy brat będzie już na swoim, a Stasiak pójdzie do wojska (odsłużyć podchorążówkę). Najlepszym dowodem niezbyt silnej bazy materialnej Rodziców był fakt, że nie stać ich było na wysłanie mnie w roku 1935 do gimnazjum z internatem w Rydzynie, gdzie uczył się mój brat Stanisław, bo opłata za dwóch chłopców przekraczała możliwości finansowe mojej rodziny. Do dzisiaj bardzo tego żałuję, bo dyrektor Łopuszański prowadził tę szkołę na poziomie bardzo wysokim i mimo pozorów charakteru elitarności - jaką gimnazjum to stwarzało - traktował wszystkich wychowan-

ków jako małą społeczność demokratyczną, gdzie samorząd uczniowski spełniał rolę doradczą dla ciała pedagogicznego, a uczniowie wychowywali się w wielkim poszanowaniu dla niezniszczalnych zasad obywatelskich.

"Rydzyne" śmiało nazwać można było szkołą nie tylko umysłów, ale charakterów przy jednoczesnym hołdowaniu zasadzie: "mens sana in corpore sano". Pod względem dbałości o rozwój fizyczny swych uczniów, szkoła ta także zaliczała się do przodujących w Polsce.

Wbrew temu, co wynikałoby ze słów dotychczas napisanych, w pierwszym roku (a szczególnie półroczu) gimnazjalnej nauki, nie mam do zanotowania, specjalnych sukcesów. I tu potwierdziła się zasada przywiązana do mojej osoby, że w przeciwieństwie do brata Staśka, nie należałem do osobników błyskotliwych, którzy natychmiast zawojują teren i podbijają serca osób nowo poznanych.

Potrzebowałem dłuższego czasu dla zjednania sobie sympatii, rozszyfrowania mego charakteru i walorów umysłu, jakie reprezentowałem. Jednakże opinia, którą zdobywałem tą żmudną drogą, miała stale tendencje zwykłe i opierała się na trwalszych podstawach, niż to miało miejsce z moim bratem.

swoboda pisał

Na półrocze spotkał mnie bolesny, w tamtych warunkach, cios. Na świadectwie widniała jedna ocena niedostateczna: z języka francuskiego.

Dużo, bardzo dużo łez zrosiło wtedy moją pierś, mimo perswazji babci, która pomagała mi wtedy w tych trudnych początkach tego eleganckiego języka. Ból mój był tym większy, iż dotychczas za "zły" stopień uważałem czwórkę, trójkę prawie nie miałem, a tu ... dwója i w dodatku na świadectwie. Poza tym przypominam sobie, że dość dużo pracowałem nad tym językiem i na pewno opanowałem go lepiej, niż niejeden z moich kolegów, legitymujący się stopniem pomyślniejszym.

Uderzenie to w konsekwencji okazało się dla mnie dobre, "wziąłem na ambit" i na koniec roku miałem z francuskiego mocną trójkę, w klasie drugiej zaś czwórkę i świadectwo najlepsze ex aequo z drugim kolegą.

Dotychczas wakacje spędzaliśmy razem z Rodzicami, wykorzystując je nie tylko jako wyjazd z miasta na świeże powietrze, ale jednocześnie jako okazję do poznania "piękna ziemi ojczystej". Kilkakrotnie wyjeżdżaliśmy nad morze, gdzie Ojciec nauczył nas pływać i to w sposób nie bardzo skomplikowany, rzucając nas po prostu na głęboką wodę (sam miał grunt pod nogami) i wyciągając z niej, gdy stwierdził, że zdrowiu naszemu zagrażać może pewne niebezpieczeństwo.

Wakacje roku 1936 spędziłem po raz pierwszy na obozie harcerskim na Huculszczczyźnie. Mimo, że byłem jednym z najmłodszych uczestników obozu, nie wymyślano mi od maminsynków i z przyjemnością konstatowałem fakt nadążania w sprawności fizycznej i odwadze za starszymi druhami.

Rok szkolny 1936/37 mijał szybko, tym bardziej, że od maja przygotowywałem się do wyjazdu razem z grupą polskich harcerzy na V Jamboree skautów w Holandii. W lipcu czekał nas obóz przygotowawczy, a w sierpniu tegoż roku wyjazd przez Niemcy do Vogelensang.

Pamiętam swą radość, gdy Ojciec oświadczył mi, że w nagrodę za dobre wyniki w nauce i przykładne sprawowanie, mimo że wymagało to dużego wysiłku natury finansowej, Rodzice postanowili, że wezmę udział w wyprawie. Jak się dzisiaj okazało, ten dwutygodniowy pobyt za granicą był jedynym moim wyjazdem z kraju w czasie międzywojennego dwudziestolecia. A szkoda, bo zawsze marzyłem o tym, by móc dużo podróżować. Zwiedzanie obcych krajów, poznawanie nowych narodów, nieznanych obyczajów i egzotycznych widoków uważałem - obok czytania dobrych książek - za jedną z głównych przyjemności.

Jakaż duma rozpiełała mą pierś, gdy przybrany w - na oficerską modłę uszyty - pelerynę, paradowałem ulicami Warszawy, a co mniej zorientowani żołnierze salutowali mi w najświętszym przekonaniu, że mamą przed sobą oficera.

Według początkowych założeń naszego wyjazdu mieliśmy się zatrzymać na dwa dni w Berlinie; wobec naprężenia się jednakże stosunków politycznych polsko-niemieckich pojechalśmy tranzytem, bez pozwolenia wyjścia nawet na peron w czasie postoju pociągu w Berlinie. Obawiano się widocznie, że "miłość" polsko-niemiecka może doprowadzić do awantur w czasie zwiedzania stolicy Reich'u przez polskich harcerzyków.

Wobec naszych nastrojów, pełnych nienawiści do hitlerowców, ostrożność ta była całkiem uzasadniona! Przejazd przez hitlerowskie Niemcy czternastoletniego polskiego harcerza w roku 1937 wywarł na nim specjalnie silne wrażenie. Obserwowane z pociągu brunatne koszule, cała atmosfera ówczesnych Niemiec - jaką wyczuwało moje czułe serce - wszystko to poparte smutnym doświadczeniem historycznym, kazało nam widzieć w napotykanym Niemcach potencjalnych wrogów. Przejeżdżając przez ich kraj, instynktownie czuło się ten ciężki klimat polityczny i oczami duszy widziało się ołowiane chmury wrażeń potęgi, której ostrze stale i niezmiennie wymierzone jest w nas, jako pierwszą przeszkodę w odwiecznym - "Drang nach Osten".

Nowe wrażenia zatarły jednak te niepokojące nastroje, jechaliśmy przecież na międzynarodowy zlot skautów, na braterskie spotkanie młodzieży z różnych krajów, młodzieży, którą witać miał żyjący jeszcze wtedy założyciel skautingu, Baden Powell! Nie będę szczegółowo opisywał przebiegu V Jamboree, ale muszę podać kilka epizodów, które silnie utkwiły mi w pamięci i były przyczynkiem do lepszej mojej wiedzy o świecie.

Jeśli chodzi o Holandię, to sprawiała ona wrażenie zamożnego kraju, o dużej kulturze osobistej jej obywateli. Wielka ilość rowerów i wiatraków, idealna prawie równina kraju i obowiązujący zakaz kopania głębszych dołków w obawie przed wodą (depresja), schludność małych przytulnych domków z klinkieru - ma się rozumieć - z ogródkami, rozwinięte porty i bardzo dobra komunikacja - oto obraz małego europejskiego kraju Niderland, na którego potęgę i bogactwo pracowali mieszkańcy skolonizowanych Indii Holenderskich.

Jeśli chodzi o temperament, o najbliższe pokrewieństwo duchowe, to Węgrzy byli dla nas, Polaków, najlepszymi partnerami w Holandii. Może decydowały tu zadzierzgnięte więzy przyjaźni na poprzednim Jamboree w Gödelo na Węgrzech w roku 1933, czy u nas w Polsce w 1935r. w Spale.

Źle układały się stosunki z grupą litewską, dość chłodno z angielską. Anglicy nie podobali się nam, bo "nosili się" bardzo wysoko i z poczuciem nieuzasadnionej w naszym przekonaniu dumy, patrzyli na nas "przybyszy ze wschodu".

Drażniło to nas tym bardziej, że trudno było dopatrzeć się w nich osiągnięcia większej sprawności fizycznej, czy walorów umysłu. Imponowali nam natomiast Amerykanie rzucający lassem i nożami do celu.

Trzeba zaznaczyć, że prezencja grupy polskiej była doskonała, a nasze peleryny naprawdę zrobiły furorę na rynku wymiany ("change").

Pokaz zaprezentowany przez harcerzy polskich na stadionie według przygotowanego programu, zakończony akrobacjami samolotu sportowego i szybowców, podbił serca chłodnych na ogół i spokojnych Holendrów.

Chociaż bardzo niewiele rozumiałem z przemówienia Baden Powell'a, to jednak patrząc na tę suchą, pociągłą, lekko piegowatą twarz i siwe, przenikliwe, lecz dobre oczy starego już, a więc bardzo doświadczonego człowieka, czuło się, że idea jednoczenia młodzieży całego świata pod sztandarami skautingu jest żywa, że Anglik ten rozumiał młodzież, wiedział, co dla niej jest zdrowe i atrakcyjne oraz pragnął - przez wzajemne zbliżenie i poznanie życia innych, już w młodych latach spowodować, by solidarność międzynarodowa przyświecała tym ludziom przez całe życie, a szczególnie wtedy, gdy już jako dojrzały, będą mogli decydować o losach swoich narodów, a może nawet o szczęściu całej ludzkości.

Po powrocie do Polski poczułem się starszy, poważniejszy, wiele nowych wrażeń dawało dużo materiału do myślenia. Przejąłem się tym wyjazdem i trudno było mi nawet wrócić do pełnej równowagi duchowej. Ponadto byłem wówczas, jako dojrzewający chłopak, w stadium szybkiego rozwoju fizycznego, a wyżywienie obozowe nie było zbyt bogate w kalorie. Nie miałem także z racji wyjazdu do Holandii prawdziwego wakacyjnego odpoczynku. W konsekwencji tego za wskazaniem lekarskim - w roku szkolnym 1937/38 rozpocząłem III klasę nie w gimnazjum warszawskim J. Lelewela, lecz w pruszkowskim im. T. Zana. Wyeliminowanie codziennych dojazdów do Warszawy połączonych z oddychaniem atmosferą wiecznie spieszących się warszawiaków - mieszkańców przeszło milionowej stolicy - wywarło z pewnością dodatni wpływ na mój organizm, jednakże połączone było także z dużym dla mnie przeżyciem. Składały się na to dwa czynniki: pierwszy, że Ojciec był dyrektorem tego nowego dla mnie gimnazjum; drugi, że gimnazjum to było koedukacyjne, w przeciwnieństwie do męskiego w Warszawie; trzeci względ to pozbawienie mnie kilku serdecznych kolegów, z którymi żyłem się w ciągu minionych dwu lat.

Jedyną pociechą było zyskanie przynajmniej 1,5 godziny czasu, który pochłaniały dojazdy do szkoły, a który odtąd można było poświęcić na naukę lub sport.

Bardzo głupio się czułem na pierwszych lekcjach, tym bardziej, że dwóch zasadniczych przedmiotów, tj. matematyki i polskiego uczyli mnie moi Rodzice.

Po paru miesiącach zaaklimatyzowałem się w nowej szkole i życie płynęło normalnym tokiem wydarzeń. A czuło się, że pokolenie nasze na małą obfitość wydarzeń narzekać nie będzie mogło!

Cóż wypełniało mi czas w owym okresie? Jakie zainteresowania budziły się w mym umyśle, czy zdawałem sobie sprawę co jest celem mego życia? Czy pragnąłem służyć jakiejś idei? Czy chęć wyżycia się i użycia przesłaniała wznioślejsze myśli? Czy zadowolenie moje wpływało tylko ze świadomości zaspokojenia swych najelementarniejszych potrzeb? Czy nie pragnąłem swą czynną postawą już wtedy oddziaływać jakoś na otoczenie w kierunku rozwijania dodatnich cech charakteru, jak: prawdomówność, męstwo, bezinteresowność i miłość Ojczyzny?

Te dwa przecież lata 1937/8 i 1938/9, których ważniejsze przeżycia teraz relacjonuję, to ostatnie, jak się później okazało, lata mojej pełnej przynależności do domu rodzinnego, spędzone w beztroskich, bądź co bądź, warunkach przedwojennych, w domu, którego Rodzice posiadali, jak to się mówi, "pozycję" w niewielkim miasteczku, gdzie na pewno bardzo wiele młodzieży zazdrościło mi mego położenia, gdzie większość mieszkańców (z uwagi na Rodziców) znało mnie i odnosiło się z pewną dozą "szacunku", bo byłem synem pana dyrektora. Jeśli idzie o tę zazdrość, to prawdopodobnie odnosiła się ona także do zapewnienia, w przeciwieństwie do innych, mojej przyszłości, bo ... "jak to możliwe, by syn dyrektora gimnazjum nie miał zapewnionej promocji z klasy do klasy, pewności otrzymania matury, a później dostania się na wyższą uczelnię"? Z uwagi na to, że gimnazjum pruszkowskie miało ustaloną opinię o wysokim poziomie i stawiało swym uczniom duże wymagania przy dość surowej ocenie ich postępów, nic dziwnego, że w opinii innych należałem do szczęśliwców.

Nikt, albo bardzo niewielu tylko, znało prawdę, z jakim trudem dałem się nakłonić do zmiany gimnazjum i jak bardzo ja, z kolei zazdrościłem kolegom, że nie mogą być takim samym jak oni. Nie wiedzieli z pewnością o tym, że zwłaszcza Ojciec, traktował mnie w szkole jak syna, tzn. na lekcjach pytał mnie albo na końcu albo wcale (w przeświadczeniu, że i tak nie potrafię rozwiązać danego zadania), w domu zaś traktował mnie jak ucznia w tym sensie, że nie udzielał żadnych wyjaśnień, twierdząc, że inni koledzy nie mogą przecież z tego przywileju korzystać. Dobrze, że istniały klasówki, które mogły być wykładnikiem moich postępów, ale co podejrzliwi i tak mogli przypuszczać, że temat zadań klasowych jest mi wcześniej znany. Taka to już dola osób uprzywilejowanych.



Rok 1938 (1939?) Bolesław Ostrowski, kawalerzysta ppor. 21 pułku ułanów w Równem, w trakcie efektownego skoku przez przeszkodę

Gdy pokuszę się dzisiaj odpowiedzieć na pytania postawione wyżej, oddając jednak wiernie ówczesny swój nastrój, tzn. piętnastoletniego chłopaka, to muszę przyznać, że należałem do głębiej myślącej młodzieży. Bardzo chciałem osiągnąć taki stopień doskonałości zarówno moralnej, umysłowej jak i fizycznej, by móc jak najlepiej służyć swej Ojczyźnie i wypracować wspólnie z innymi, już później jako człowiek dojrzały, taki model życia państwowego i społecznego w Polsce, by naród nasz, jak to już niejednokrotnie bywało, mógł promieniować na inne narody w dążeniu do jak najszybszej realizacji szczęśliwego życia na ziemi.

Czytałem dużo biografii sławnych postaci historycznych, analizowałem przyczyny ich wzlotów czy upadków i bardzo chciałem odegrać w swym życiu jakąś pozytywną rolę w służbie społeczeństwa. Już wtedy rozumiałem, że przewodzić, rozkazywać może tylko ten, który sam nauczył się słuchać, a nawet ochoczo wykonywać rozkazy i to wtedy, gdy w jego przekonaniu są one nawet nie bardzo celowe. Uznanie moralnych wartości przełożonych i programu, który realizują wymaga, w imię dobra społeczności, ścisłego się im podporządkowania, w przeciwnym bowiem przypadku nie może być mowy o jakichkolwiek osiągnięciach.

Oprócz książek psychologicznych, historycznych, czy raczej historyzoficznych, od wczesnych lat interesowałem się polityką i to zarówno zagraniczną jak i wewnętrzną.

"Sztuka rządzenia" dlatego tak mnie interesowała, bo na podstawie znajomości historii z tamtego tylko okresu dochodziłem do wniosku, że przodkowie nasi nie "byli mistrzami w tej materii", że zmarnowali możliwości jaki dawał "rząd dusz" słowiańskich w tym pięknym i bogatym kraju, że nie pokierowali losami pracowitego i zdolnego narodu polskiego w spo-

sób, który zapewniłby jego najlepszy rozwój, a jednocześnie siłę i autorytet państwu. Zmarnowali oni szanse historyczne, wmanewrowali Polskę w bardzo trudną sytuację polityczną, w jakiej znalazła się po długiej niewoli (pogardliwe niemieckie "Seson Stadt"). W tych warunkach zadanie każdego Polaka naszego pokolenia polegać powinno na wypracowaniu w sobie takich cech charakteru i umysłu, którymi przewyższałby, a przynajmniej dorównywał obywatelom państw ościennych, bo w przeciwnym wypadku nie dopracujemy się nigdy wielkości państwa i nie poprawimy doli jego obywateli.

Oczywiście swe wczesne poglądy polityczne wyrabiałem sobie na skrupulatnym czytaniu rządowego organu, jakim była przed wojną "Gazeta Polska". Nie znaczy to wcale, by jedynie ona kształtowała moją opinię, bo niejednokrotnie zapoznawałem się z poglądami ówczesnej oficjalnej lewicy, studiując "Robotnika", czy prawicy jak "Goniec Warszawski" lub "Kurier Poranny".

Jak wyobrażałem sobie wtedy najbardziej owocną przyszłą służbę narodowi? W swych najsłynniejszych dążeniach bardzo pragnąłem zostać posłem na Sejm. Uważałem, że wybranie przez społeczeństwo w wolnych, nieskrępowanych wyborach swego reprezentanta do najwyższej władzy ustawodawczej w państwie jest największym zaszczytem, jaki spotkać może obywatela. Bardzo chciałem dostąpić tego zaszczytu i z trybuny sejmowej walczyć według swych sił i zdolności o realizację programu sprawiedliwości społecznej i godnie reprezentować interesy swych wyborców.

Poważnie myśląc o odegraniu większej roli w życiu swego narodu doskonale rozumiałem, że konkurentów na tej drodze będę miał bardzo wielu, a chciałem wierzyć wtedy, że obowiązywać będzie zasada: "niech zwyciężą najlepsi". Dlatego wszystkie swe siły oddawałem pracy nad sobą, nad tępieniem lenistwa i skłonności do lekkiego życia, pilnie obserwowałem świat zewnętrzny, przysłuchiwałem się rozmowom i opiniom ludzi starszych i światłych, konfrontowałem najbardziej odmienne zdania na temat najróżniejszych zagadnień czy z życia współczesnego, czy wypadków z dawnej lub najświeższej historii.

Nie przyjmowałem bezkrytycznie ani tego co napisane, ani tego co powiedziane, nawet gdy głosił to jakiś uznany autorytet. Pragnąłem, by moje poglądy na taką, czy inną sprawę nie były żadnym doktrynerstwem, by były najbardziej obiektywne i do przyjęcia przez każdego zdrowo i logicznie myślącego człowieka. Hołdowałem zasadzie: do niczego nie uprzedzaj się z góry, wysłuchaj nawet najbardziej dziwnych, twoim zdaniem, wypowiedzi, staraj się wczuć w argumentację swego interlokutora i



Dyr. Ostrowski ze swoim przyjacielem prof. Bolesławem Krupińskim i jego żoną

przyjmij od niego wszystko to, co wpłynąć może na wzbogacenie twego światopoglądu.

Oprócz szkolnej lektury obowiązkowej, kilka książek przed wojną wywarło na mnie bardzo silne wrażenie. Były to: "W pogoni za pełnią życia" Harrisa, "Przełaziło z wiatrem" Mitchell, "Ziemia gromadzi prochy" Kisielewskiego, "Na tropach Smętka" i "Sztafeta" Wańkowicza oraz "Dzieje bez dziejów" Stachniuka.

Pierwsze z nich, bo opisywały w dość interesujący i oryginalny sposób, jaką drogą osiągnąć można tzw. powodzenie życiowe - ostatnie zaliczyć można do literatury politycznej i to naświetlające zagadnienie z różnych stan-

nowisk.

Wakacje roku 1938 spędziliśmy razem z Rodzicami i bratem Staśkiem w Bukowinie Tatrzańskiej koło Poronina. Wtedy właśnie poznałem piękno naszych Tatr, bo z pierwszego tam pobytu w roku 1928 nic prawie nie pozostało w mej pamięci.

Surowość, ogrom i potęga bijąca z gór, na każdym człowieku wyrzucić musi bardzo silne wrażenie. Ludzkie sprawy i kłopoty maleją jakoś w zestawieniu z tą przebogata naturą, a człowiek mimo woli, wydaje się sobie tworem bardzo słabym i szybko przemijającym. Mimo to odpoczywa się w górach, zapomina o codziennych sprawach życia miejskiego, a na szlakach mniej uczęszczanych poczuć można zadowolenie, jakie zawsze sprawia swoboda, której brak tak mocno daje się nam we znaki w dzisiejszym cywilizowanym świecie.

Z okresu tego pamiętam pisanie pierwszych nieśmiały listów do swej sympatii i związane z tym uszczypliwe nazwanie mnie przez starszych epouseur'em. Zwrócono przy tym uwagę, że dla zadokumentowania ważności wypełnianej misji i dużej dozy szacunku dla swej nadobnej, idąc z tym listem na pocztę, zakładałem długie spodnie.

Notuję tu te szczegóły, ponieważ już w tym okresie budziły się me zainteresowania dziewczętami i zdawałem sobie doskonale sprawę, że

właściwe ustosunkowanie się do tego problemu decydować może o kolejach całego życia.

W czasie tamtych wakacji właśnie Stasiek nawiązał pierwszy swój romansik z młodą dziewczyną góralską, a ja byłem ich kibicem i może nawet w pewnej, mniejszej mierze - uczestnikiem.

W każdym bądź razie wyniosłem pewne doświadczenie w tej drażliwej materii i wracałem do domu bardziej uświadomiony.

W październiku tego roku odbyła się w Grudziądzu uroczysta, jubileuszowa promocja oficerów kawalerii, w której udział wziął Marszałek Rydz-Śmigły.

Rodzice także pojechali do Grudziądza, aby uczestniczyć w podniosłym momencie pasowania ich pierworodnego na podporucznika.

Nie wiem, czy w przedwojennym wojsku polskim nie zwracano zbyt wielkiej uwagi na zewnętrzną stronę (wygląd, fason) kosztem jego treści (siła, uzbrojenie), ale przyznać trzeba, że nasi oficerowie prezentowali się doskonale.

Jak miło było patrzeć na te zgrabne, eleganckie, doskonale skrojone mundury! Naprawdę jaśniej robiło się na ulicy, gdy sprężystym krokiem, w lśniących oficerkach szło kilku młodych oficerów, z sympatią patrzyło na nich społeczeństwo, a wiele dziewcząt stało im tęsknie i bardzo wymowne spojżenia.

Kilku najserdeczniejszych kolegów mego najstarszego brata przyjęło z nim razem do Pruszkowa, aby uczcić promocję oficerską. Pamiętam, że - ubrany akurat wtedy w mundur P.W. - musiałem meldować się kolejno wszystkim "panom porucznikom", odśpiewać "zórawiejki" na ich pułki, musiałem wykazać znajomość "cuku" (od strony poddawanego temu "zabiegowi"), a na końcu mogłem dostąpić zaszczytu wypicia bruder-saftu, oczywiście ... austriackiego, tzn. "pan porucznik będzie ci mówił ty ... świnió, a ty: panie poruczniku".

Z przyjęcia tego, dość mocno zakropionego alkoholem, pełnego radości, śpiewu, gorących dyskusji i miłego brzęku ostróg, zapamiętałem kilka wskazań życiowych, które przekazał mi jeden z młodych oficerów: "pamiętaj Julek, jak chcesz być zdrowy, a nie cherlawy, to przynajmniej do lat dziewiętnastu nie pal papierosów, nie pij wódki i nie wypuszczaj się na ... kobiety.

Zalecenia te wydawały mi się słuszne i dlatego dość łatwo trafiły mi do przekonania.

Po paru dniach Bolek wyjechał do Równego, aby rozpocząć służbę w 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich, Stasiek był w Rydzynie, w ostatniej klasie licealnej, a ja ... jedynie pozostałem w cichym teraz mieszkanku, uczęszczając do IV-tej klasy gimnazjalnej do Zana w Pruszkowie.

Tak zaczął się u nas ostatni (jak się później okazało) przedwojenny rok szkolny 1938/39.

Zajęcie Zaolzia, aczkolwiek uważane za sukces przez oficjalną polską propagandę, przyjęte było w naszych sferach jako błąd polityczny, umożliwiający Hitlerowi wchłanianie jednej ofiary po drugiej (Austria 1937, Czechosłowacja 1938). Generał Sosnkowski, który podobno był przeciwnikiem tego kroku w naszym rządzie, powiedział miał wtedy: "pan Beck drogo zapłaci za swą politykę".

5 maja 1939 roku polski minister spraw zagranicznych wygłosił pamiętne historyczne przemówienie. Była do odpowiedź na znane sugestie niemieckie o konieczności przyjęcia przez polską warunków, jakie dyktowała Rzesza, w zamian za utrzymanie dobrosąsiedzkich stosunków. Streszczały się one bodaj do rezygnacji z naszych uprawnień na terytorium wolnego miasta Gdańska i zgody na zbudowanie eksterytorialnej autostrady z Prus Wschodnich do Niemiec. Minister Józef Beck odrzucił te warunki i oświadczył, że są sprawy, które wyżej się ceni nad życie. Sprawą taką dla narodu polskiego jest honor (imponderabilia Piłsudskiego).

Przemówienie to, zarówno na mnie jak i na całym społeczeństwie polskim, wywarło bardzo duże wrażenie, a na miano historycznego zasługuje dlatego, ponieważ był to wyraźny zwrot w polityce zagranicznej Polski w czasie "drugiej niepodległości".

W oparciu o gwarancje Anglii i Francji zaczęliśmy się od tego czasu przygotowywać do przyjęcia ataku hitlerowskiej Rzeszy.

Gdy dzisiaj sięgnę pamięcią do tych wydarzeń, to mimo woli nasuwa się spostrzeżenie o braku myśli przewodniej w naszej polityce, o doprowadzeniu przez nią do stanu całkowitej prawie izolacji Polski (splendid isolation) wobec państw ościennych (z wyjątkiem nie najważniejszych chyba naszych sąsiadów, jakimi była Rumunia i Węgry).

Drugim zarzutem, jaki dzisiaj postawiłbym ludziom odpowiedzialnym za losy kraju w Polsce przedwrześniowej, byłby brak informacji lub błędna, fałszywa informacja o naszych potężnych sąsiadach, zarówno ze wschodu jak i z zachodu. Wychowanie społeczeństwa w głębokiej podejrzliwości do wszystkiego co radzieckie, przedstawianie panującego tam ustroju jako ustroju niesprawiedliwości i gwałtu, pisanie o słabości ekonomicznej i militarnej ZSRR, postawić można było w tym samym rządzie faktów, co opowiadki o drewnianych niemieckich czołgach, braku masła w Niemczech i niedożywieniu całego narodu. Pasowanie Polski na mocarstwo i prowadzenie strategii w oparciu o zasadę dwóch wrogów doprowadziło, jak się później okazało, do opłakanych skutków. Dalekie alianse tak samo niepewne są w wieku samolotów jak to było w czasach, kiedy koń był najszybszym środkiem komunikacji!

Z początkiem czerwca 1939 roku wrócił do domu z maturą w kieszeni brat mój Stasiak. Przyjemnie patrzeć było na jego świadectwo maturalne, gdzie od góry do samego dołu widniały stopnie bardzo dobre. Jak hojny był nasz Ojczulek, kiedy - wzruszony - w uznaniu zasług brata, dał mu z okazji osiągnięcia przez niego tak wyjątkowych rezultatów nauki w szkole średniej ... pięć złotych.

Tymczasem ja, obok dość sumiennej nauki, studiowania prasy, czytania dobrych książek, stosunkowo dużo czasu poświęcałem na gry sportowe i w ogóle osiągnięcie dobrych wyników na odcinku kultury fizycznej.

Pod koniec czerwca otrzymałem świadectwo ukończenia gimnazjum (tzn. małą maturę) posiadając na nim stopnie zupełnie dobre, ale nie najlepsze. Cieszyłem się na tę myśl, że w drodze wyjątku (opinię wyrobił mi starszy brat) przyjęty będę w roku szkolnym 1939/40 do liceum w Rydzyńcu, gdzie normalnie należało rozpoczynać naukę od I klasy gimnazjalnej. Radość swą opierałem na tym, że tylko dwa lata musiałem uczęszczać do "gimnazjum swych Rodziców", że w Rydzyńcu skorzystam dużo, biorąc udział w samorządzie uczniowskim, że wyrobię się pod względem społecznym, żyjąc przez dwa lata w kolektywie, że pomogą mi tam w rozwinięciu zainteresowań i w wyborze zawodu, a ponadto będę miał doskonałe warunki do uprawiania sportu.

Jeśli chodzi o plany wakacyjne, to lipiec spędzić miałem na obozie harcerskim w łomżyńskim nad Narwią, w sierpniu czekał mnie wyjazd na cztery tygodnie do Sierakowa w poznańskim na międzyszkolny obóz wychowania fizycznego.

Po raz pierwszy na obóz harcerski jechałem w charakterze zastępczego i zastępcy dowódcy drużyny. Odczuwałem więc wtedy zadowolenie, jakie daje sprawowanie władzy, dodatkowe obowiązki i odpowiedzialność, które są nieodzownymi jej atrybutami. Już wtedy przekonałem się, że postawienie nas na najmniejszym nawet, lecz eksponowanym stanowisku, wyzwala dodatkową energię, pozwala ukrytym dotychczas zdolnościom "ujawnić się", rozwija i wzbogaca człowieka, a dla kilkunastoletniego chłopaka jest momentem, który wpływa na jego wydoroslenie.

Miło wspominać ten ostatni swój obóz harcerski: atmosfera była pogodna, mogliśmy odpocząć nerwowo od zgiełku życia miejskiego, zapomnieć o napiętej sytuacji politycznej i oddać się odpoczynkowi, patrząc na łagodny krajobraz jaki rysują rzadko porośnięte, piaszczyste brzegi wznoszące się nad leniwie płynącymi wodami Narwi.

Nie bardzo zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że były to ostatnie tygodnie, kiedy mogliśmy oddychać wolnym powietrzem pięknego naszego kraju.

Jeszcze dzisiaj pamiętam jak w rannej mgle unosił się rzeński śpiew naszego wojska śpieszącego na codzienne ćwiczenia.

Bardzo przypadła do gustu harcerzykom piosenka utrzymana w takcie czardasza, z następującymi słowami:

*"Podhalańska idzie wiara
Z piosenką góralską w świat,
Z okna błyszczy oczu para
I buzia jak róży kwiat.*

I refren:

*Bacność, pośród mgieł i chmur,
Szumu orlich piór, hen spod dalekich gór
Pozdrowienia, od stron rodzinnych
Niesie górali ród ..."*

Po kilku już dniach i nasza drużyna, opanowawszy tę trudną sztukę dobrego śpiewu zbiorowego, mogła robić konkurencję żołnierzkom, wzbudzając zachwyty okolicznych mieszkanek.

Wśród gier sportowych, zabaw, pływania, zdobywania sprawności, alarmów nocnych, ćwiczeń taktycznych, teoretycznych oraz ognisk z zaproszonymi gośćmi, szybko mijał czas obozowy i nastąpił wyjazd do domu.

Po kilku dniach znowu pożegnałem dom rodzinny, by, jak się mówiło, wrócić do niego dopiero za pięć miesięcy, tzn. na ferie Bożego Narodzenia, prosto z Sierakowa, miałem bowiem jechać do liceum w Rydzynie (obie miejscowości położone w województwie poznańskim).

W Sierakowie na obozie wychowania fizycznego, zamieszkaliśmy w kilkunastu domkach "campingowych" rozlokowanych w lesku, a służących specjalnie do takich celów, tzn. przeznaczonych dla uczestników najróżniejszych obozów.

Mieliśmy rzeczywiście doskonałe warunki dla rozwijania swojej sprawności fizycznej. Dobrze wyposażone boiska sportowe, bieżnie, pływalnie i skocznie położone w malowniczej okolicy, do tego bardzo dobrą kadrę trenerską - wszystko to składało się na obraz obozu. Uczestniczenie w nim każdy z nas poczytywał sobie za zaszczyt.

A byli tam przedstawiciele wszystkich niemal gimnazjów państwowych z terenu całej Polski.

Nie było jednak wśród nas żadnych antagonizmów dzielnicowych, tym bardziej, że wymieszano nas dokładnie, rozmieszczając po 20 w każdym domku. Tak więc w grach sportowych i eliminacjach lekkoatletycznych czy pływackich uczestniczyły "reprezentacje domków".

Obraz, który przytoczyłem powyżej, mógłby składać się na sielankę, gdyby nie jedno poważne ale. Mieliśmy tutaj bowiem radio, dostęp do ga-

zet, a przebywaliśmy w rejonie nadgranicznym, zaś atmosfera polityczna była bardzo naładowana i podświadomie wyczuwało się duży niepokój. Nic dziwnego, był to przecież sierpień 1939r.!

Jak śmieszna wydaje mi się śpiewana wtedy przez nas piosenka na melodię "Przybyli ułani pod okienko":

"... Z Warszawy pojedziem do Berlina

Z Warszawy pojedziem do Berlina,

Powiesić Hitlera, bo to świnia..."

Tych kilka wierszy oddawało nastrój większości społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży, która ufając oficjalnej propagandzie, chciała widzieć zwycięstwo Polski (z sojusznikami) w starciu zbrojnym z hitlerowską Rzeszą.

Poza tym nie byliśmy jeszcze pewni wybuchu wojny, a wiadomo przecież, że buńczuczne piosenki podnoszą na duchu, który jak się później okazało, był naszą najsilniejszą bronią w walce z okupantem.

W ostatniej dekadzie sierpnia sytuacja polityczna znacznie się zaostrzyła i konflikt rzeczywiście wisiał na włosku.

Obóz nasz zakończony został o dwa dni wcześniej, a ja zamiast do Rydzyny udałem się z powrotem do domu, dokąd zawezwano mnie telefonicznie, wobec odłożenia terminu rozpoczęcia roku szkolnego.

Z ciężkim sercem wracałem do Pruszkowa, obserwując po drodze wzmożony ruch wojska i ludności cywilnej, przysłuchując się ożywionym rozmowom, gdzie plotka goniła plotkę, a ton rozważli i pesymizmu przeplatał się z nieuzasadnionym optymizmem i hurra patriotyzmem.

Ostatnie trzy dni sierpnia spędziłem wraz z bratem Staśkiem w Pruszkowie. Mijały one jakoś dziwnie wolno, czas jak gdyby zatrzymał się w miejscu, a powietrze było duszne, nie tylko chyba na skutek wyjątkowych upałów.

Jakaś wielka burza zawisła w powietrzu!

II. Wojna

"Uwaga, uwaga La-ka 22 nadchodzi ..." - podobne komunikaty radiowe w dniu 1 września 1939r. utwierdziły nas w przekonaniu, że Niemcy napadli na Polskę, rozpoczynając w ten sposób drugą wojnę światową.

Pierwsza moja reakcja na tę wiadomość, to chyba moment pewnej ulgi, że skończyło się tak męczące oczekiwanie nie wiadomo na co, druga, to chłopięca ciekawość, jak się ta "przygoda" skończy.

Jednocześnie już po trzech dniach uprzytomniłem sobie doskonale, że tak często podkreślana mocarstwowość Polski bardzo krótko mogła się ostać wobec poważnej próby.

Zawód, smutek i gorycz porażki - oto uczucia, które opanowały nasze serca. Szybko rozwiął się "sen o sławie", a komunikaty radiowe z bardzo płynnych frontów były doskonałą ilustracją potwierdzającą fakt, że kraj nasz nie był nie tylko dobrze, ale nawet dostatecznie przygotowany na przyjęcie skoncentrowanego uderzenia niemieckiego.

Wielka przewaga w powietrzu, silna broń pancerna i doskonale zmotoryzowana większość formacji, obok przewagi liczebnej atakujących wojsk, dawało Niemcom tak potężne atuty, że nie mógł im się na dłuższą metę oprzeć żołnierz polski, choć ożywiony wspaniałym duchem walki, bardzo dobrze wyszkolony i przepojony wolą zwycięstwa w walce o słuszną sprawę obrony umiłowanej Ojczyzny.

Wypowiedzenie wojny Niemcom przez Anglię i Francję w dniu 3 września nie wpłynęło w żadnej mierze na zmianę naszej sytuacji militarnej, a tyłko poprawiło może nieco "morale" społeczeństwa.

4 września byłem w Warszawie pożegnać się ze swym wujkiem - oficerem zawodowym.

Z miarodajnych ust usłyszałem bardzo smutne wiadomości o walkach na froncie i zapamiętałem zdanie, że nowoczesnej wojny nie można wygrać bez sprawnie działającej łączności, którą Niemcy systematycznie nam dezorganizowali.

5 bodaj września usłyszeliśmy przez radio pamiętny apel pułkownika Umiastowskiego, by wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, opuścili swoje stałe miejsca zamieszkania i udawali się w kierunku wschodnim, wycofując się przed inwazją niemiecką.

Gdy wczesnym rankiem 6 września 1939r. szykowaliśmy się wraz ze Staśkiem do wymarszu, czuliśmy się jak prężne, młode zwierzęta, osaczone przez silniejszego drapieżnika. Pamiętam jak Ojciec nasz, który wydał mi się wtedy przez jedną noc starszy o 10 lat, chodził po mieszkaniu z szarą twarzą i opuszczoną głową, powtarzając nie swoim głosem: "To już koniec, to już koniec...".

Z pewnością nie można było mu się dziwić, bo w ciągu tych paru dni z trzaskiem i zbyt szybko zawałiła się przecież nasza druga niepodległość, budowana tak mozolnie w okresie dwudziestolecia. Ponadto, z punktu widzenia rodzinnego, także nie miał nasz Ojczulek powodów do radości. Najstarszy syn na froncie pod Wieluniem, pozostali dwaj idą gdzieś w "nieznane", a w najbliższym czasie spodziewani są pod Warszawą Niemcy.

● Nie opuściliśmy Pruszkowa z główną grupą uciekinierów, lecz zaopatrzeni w mapy sztabowe 1:100000, dla możliwości sprawnego posuwania się po mniej uczęszczanych szlakach, wyszliśmy na tzw. "rajzę" we czworo: nas dwóch braci oraz koleżanka i kolega Staśka. Wobec krążących pogłosek, że przejście przez mosty w Warszawie jest dla cywilów utrudnione, skierowaliśmy się na Raszyn, by koło Jeziorny przeprowić się przez most na Wiśle. Gdy od mostu tego dzieliło nas nie więcej niż pół kilometra, byliśmy świadkami ataku lotniczego kilku samolotów niemieckich na ten właśnie obiekt. Atak skończył się uszkodzeniem jednego przyczółka. Tak więc przeprowiliśmy się przez Wisłę łódką jakiegoś przewoźnika.

● Chociaż wiadomości z frontu były skąpe, to jednak z nich wynikało, że sukcesów nie odnosimy. Nękające naloty samolotów, dezorganizujące ruchy wojsk i normalne życie, były głównym czynnikiem, który przypięczętował naszą klęskę.

● Chyba 12 września dość forsownym marszem osiągnęliśmy Żerocin (koło Międzyrzecza Podlaskiego), gdzie nadleśniczym był nasz krewny. Oczywiście dom oblężony był przez "uciekierów" z miasta, więc musieliśmy zorganizować sobie nocleg w stodole.

● Po kilku dniach odpoczynku, następnym etapem naszego marszu miał być majątek dalszych krewnych koło Kowla na Wołyniu, gdzie chcieliśmy przeczekać pierwsze uderzenie niemieckie i wziąć ewentualnie udział (gdy nas przyjmą) w kontrofensywie przegrupowanych wojsk polskich, które w południowo-wschodniej Polsce miały szykować się do przeciwnatarcia.

● Wiadomość o wkroczeniu wojsk radzieckich do Polski w dniu 17 września 1939 r. była dla wszystkich zaskoczeniem, a nam pokrzyżowała plany. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy się wycofać w stronę Warszawy, ale drogą na Dęblin.

● Wobec zaistnienia nowej sytuacji, wszelka ewentualność późniejszej obrony nie miała żadnych szans powodzenia. Wyglądało na to, że nasi potężni sąsiedzi, chociaż w innych warunkach, tzn. bez carów i cesarzy, zupełnie po staremu chcą podzielić się Polską, nic nie robiąc sobie z jej oporu.

● Zakorzeniona w naszych sercach głęboka nieufność względem ZSRR nie pozwoliła na podjęcie decyzji ewakuowania się na wschód tym bardziej, że będąc w wieku szkolnym, chcieliśmy ulokować się bliżej Warszawy, gdzie nawet w warunkach okupacyjnych łatwiejsze powinno być zorganizowanie nauki.

● Nie wykluczaliśmy jeszcze wtedy możliwości szybkiego zakończenia wojny (Blitzkrieg), chociaż zwycięstwo nasze mogło mieć miejsce jedynie po zniszczeniu militarnej potęgi Reichu, a próbkę jej - i to niepośledniej -

wartości, dała właśnie kampania wrześniowa. Nie bardzo różowo przedstawiała się więc nasza przyszłość!

W czasie drogi powrotnej via Kock i Dęblin natknęliśmy się najpierw na jakąś milicję ludową (uzbrojonych cywili), która szukała broni, w kilka dni później zaś zatrzymał nas patrol niemiecki, zabierając nam mapy sztabowe i latarki.

Ciekawa była ta pierwsza rozmowa z młodymi żołnierzami hitlerowskimi. Na naszą wypowiedź, że chyba długo nie zagrzeją miejsca na polskiej ziemi, twierdzili oni z butą, że podbili Polskę już na zawsze. Nie zrażeni tą pewnością siebie poszliśmy dalej, w przekonaniu, że okupacja nie może trwać przecież dłużej niż 1 rok. W każdym bądź razie sami bezbronni, patrząc na tych po zęby uzbrojonych wrogich żołdaków, musieliśmy przeżywać dość nieprzyjemne chwile, zdając sobie sprawę z naszej słabości.

Jeśli chodzi o tę czterotygodniową wędrówkę, to ważnym do zanotowania jest fakt, że nie byliśmy ani razu świadkami większej bitwy, lub poważniejszego nalotu. Oczywiście nie ma prawdopodobnie czego żałować, ale dziwnym może się to wydawać, że w czasie totalnej wojny (a raczej kampanii wojennej) nie mieliśmy okazji "powąchać prochu".

Później mogliśmy się przekonać, że okolic, gdzie tego pamiętnego września obracaliśmy się, w żaden sposób nie można było nazwać głównym teatrem działań, a szukanie w czasie naszej wędrówki bocznych dróg i unikanie większych skupisk ludzkich, pozwoliło nam uniknąć bombardowania czy ostrzeliwania z samolotów.

Trzeba jeszcze z naciskiem podkreślić, że warunki atmosferyczne sprzyjały Niemcom w czasie tej kampanii doskonale. Był to bezsprzecznie jeden, jedyne w moim życiu, tak pogodny, prawie upalny, wrzesień. Deszcz, który miał być naszym sojusznikiem przez utrudnianie poruszania się czołgów i zmorotyżowanej, ciężkiej, niemieckiej broni po błotnistych "polskich drogach" nie spadł chyba ani razu. I w tym wypadku więc potwierdziło się Napoleońskie stwierdzenie "Pan Bóg trzyma ze zwycięzcą".

Pierwszą, większą miejscowością zniszczoną w czasie tej kampanii, oglądaną przez nas, był Garwolin - miasteczko powiatowe.

Rząd zburzonych lub wypalonych domów z okopconymi otworami na miejscu oszklonych dawniej okien, sprawiał przygnębiające wrażenie martwoty i beznadziejności. Śwąd dopalających się zgliszcz, trupy padłych koni, porzucone na poboczach i w rowach wzdłuż drogi pojazdy, dopełniały obrazu śmierci, jaki pozostawia po sobie wojna.

Dalszą drogę powrotną odbyliśmy z bratem na bryczkach, dzięki uprzejmości jakiegoś ziemianina. Ze ściśniętymi sercami zbliżaliśmy się ku konającej stolicy.

Chociaż bohaterstwo wojska, mieszkańców i niezłomnego prezydenta miasta, Stefana Stażyńskiego, zatrzymało Niemców aż na trzy tygodnie na przedmieściach Warszawy, wystawiając niezłomność narodu, tak zaciekle broniącego swej stolicy, to jednak koncentryczne ataki wroga, brak żywności, wody, lekarstw i amunicji nie pozwolił na jeszcze dłuższą obronę oblężonego miasta i zmusił je do kapitulacji. Nastąpiło to w dniu 27 września 1939r., tzn. prawie w cztery tygodnie od czasu wybuchu wojny. Nie był to jednak ostatni punkt oporu, jaki zdobyli Niemcy w kampanii wrześniowej. Oddziały regularnej armii polskiej broniły się jeszcze miejscami do połowy października.

1 października, w kilka dni po kapitulacji, przybyliśmy do Warszawy od strony Pragi. Chociaż w większości domów brakowało szyb, dużo z nich było zburzonych lub uszkodzonych, większość ostrzelanych, to jednak na tle obrazu Garwolina straty stolicy wydawały nam się mniejsze, niż tego oczekiwaliśmy.

Oczywiście jedynym niezniszczonym środkiem komunikacji były wtedy w stolicy nogi (o ile oczywiście właściciel ich przetrwał oblężenie żywy i cały). Dlatego też po spędzeniu jednej nocy w zimnym mieszkaniu mego wujka w Warszawie, zjadłszy na śniadanie trochę jakiegoś ryżu, udaliśmy się na drugi dzień rano piechotą do Pruszkowa (ok. 20 km od Śródmieścia).

Im bliżej rodzinnego domu, tym większa obawa napawała nasze serca troską o jego całość jako kształtu materialnego, a przede wszystkim o zdrowie i życie naszych najbliższych.

W chwilach takich, gdy plotka goni plotkę i szczególnie kobiety lubią dokładać (np. do jednego zbombardowanego domu - całą dzielnicę), zbliżaliśmy się na Cedrową w niezbyt różowych nastrojach.

Oprócz Rodziców, głównym tematem naszych rozmów był oczywiście Bolek, którego znaleźmy z jego odwagi i braku przywiązania do życia. Brałszy pod uwagę trzy możliwości: albo jest ranny, albo udało mu się osiągnąć Rumunię, albo ... tę możliwość każdy odrzucał podświadomie, bo przecież otrząskanie ze śmiercią nie dotyczy nigdy naszych najbliższych.

Na progu całego - na szczęście - domu, przywitała nas ze smutnym uśmiechem radości nasza Mateczka. Jak wielkie wrażenie sprawia zawsze przywitanie matki z dziećmi, gdy powrót ich nie był pewny w warunkach wojennych. A instynktownie w chwilach takich przestaje mówić się o obecnych, nie śmiąc (aby nie uroczyć) spytać o tych, których jeszcze nie ma.

Jak grom z jasnego nieba uderzyła nas wiadomość, że Bolek bardzo ciężko ranny leży w szpitalu ujazdowskim i walczy ze śmiercią. W momen-

cie tym każde z nas wszystką swoją moc duchową przekazało temu najstarszemu, żeby zagrozić śmierci drogę po zbyt młode, bo dopiero 23-letnie życie. Moc ta była mu tym potrzebniejsza, ponieważ swoją własną wyczerpał on w obronie Ojczyzny. Krótco się zresztą nawojował, a pamiętam, że otrzymawszy szlify oficerskie wyrzekł te znamienne dla jego podejścia do misji swego życia, słowa: teraz tylko wojna, bo przecież inaczej będziemy malowanym wojskiem.

Trzeba podkreślić, że te trzynaście dób walki do czasu ranienia go pod Dębami Wielkimi, spędził prawie cały czas na koniu. I dziwne ... rany został jako spieszony, idąc na patrol rozpoznawczy.

Dla wielu oficerów moment ciężkiego ranienia w takich jak brata okolicznościach, równałby się śmierci, ponieważ rozpętała się wtedy duża strzelanina i ewakuację swoją zawdzięczał Bolek tylko odwadze podwładnych, którzy pod ogniem nieprzyjacielskim czołgali się, by uratować mu życie.

Jak wiemy, dla ratowania zbyt wyniosłego dowódcy, nie narażają swego własnego życia jego żołnierze.

Relacje Mamy z pierwszych odwiedzin w szpitalu świadczyły o tym, że Bolek wierny był do końca sobie i swemu niewyszukanemu bohaterstwu. Pierwsze jego słowa wyrzeczone do Matki: "Mamusiu, mamusiu tak się starałem i ... po co to wszystko? Nie ratujcie mnie, bez wolnej Polski nie ma dla mnie życia!"

Przy ciężkim ranieniu (przestrzelenie stawu biodrowego i groźbie amputacji całej nogi) taka głęboka depresja psychiczna nie wpływa, jak wiemy, dodatnio na proces leczenia. Anty-sanitarne warunki, które panowały wówczas w szpitalu (brak wody, brak narzędzi, trudności w dostawie leków i żywności) dopełniały obrazu tej bardzo smutnej rzeczywistości, w jakiej znajdował się mój nastarszy brat, kładąc przez to jeszcze bardziej ponury cień na egzystencję całej naszej rodziny w tym początkowym okresie mrocznych dni okupacji.

Tymczasem, po otrząśnięciu się z pierwszego szoku przegranej bitwy w toczącej się jeszcze wojnie, należało przystosować się do życia w całkowicie odmienionej sytuacji. Utrata własnej państwowości, obok dotkliwych skutków moralnych, pociągnęła za sobą przede wszystkim poważne następstwa gospodarcze i kulturalne. W końcu października 1939r. wiadomym było, że Niemcy nie zgadzają się na uruchomienie polskich gimnazjów, ani ogólnokształcących ani technicznych. Zaczęły się więc organizować tajne komplety, gdzie przerabiano materiał przewidziany przedwojennym programem. Poza tym wprowadzenie racjonowania żywności przekonało społeczeństwo polskie o głodowym programie, jaki

przygotowali nam hitlerowcy. Duża część ludności rozpoczęła zarabiać handlem czy szmugłem żywności lub czym się dało.

Jeśli chodzi o nasz dom, to Ojciec odznaczał się bardzo małą zaradnością, a właściwie pierwsze lata okupacji przeżył w stanie pewnej obojętności, która graniczyła z chorobą. Matka rozpoczęła naukę w szkole powszechnej, pobierając bardzo niskie wynagrodzenie, które przez dłuższy czas jednakże było podstawą utrzymania naszej całej rodziny. Ja dorabiałem dorywczo handlując, Stasiak został korepetytorem dwóch synów u polskiego administratora pobliskiego majątku i też pomagał domowi, otrzymując wynagrodzenie w naturze; "pomoc domowa" przychodziła tylko dorywczo (babcie musiały się uaktywnić) i w ten sposób nędzne życie toczyło się dalej.

Początkowo, posiadając jeszcze radioodbiorniki, można było słuchać regularnie audycji zagranicznych, w tym także w polskim języku z Paryża i Londynu. Jednakże komunikaty z teatru działań wojennych były jałowe, co świadczyło o prawie zupełnym braku tych upragnionych przez nas działań. Martwość wiała z całego świata. Zanosilo się na długą wojnę!

W listopadzie minął kryzys choroby Bolka. Nabral wiary w siebie, wiary, że nogi mu nie odejmą, że będzie chodził o własnych siłach, że zostanie przywrócony życiu.

Rzeczywiście, w połowie lutego 1940r. opuścił on szpital jako 70% inwalida. Nogę złożono mu niezbyt prawidłowo, a nie mogąc jej w zasadzie zginać w biodrze, chodził bardzo opornie, kulejąc i nachylając się przy każdym kroku. Oczywiście pomagał sobie w tym "raczkowaniu" opierając się o laskę.

Aż serce się krajało, patrząc na tę ledwie poruszającą się prawie pokrakę i porównując ją z sylwetką ślicznie prezentującego się w mundurze przedwojennego podporucznika, jakim był Bolek, zawdzięczający conajmniej połowę swojej urody zgrabnej figurze i energicznym, eleganckim ruchom. Metamorfoza ta stanowiła jakże przygnębiający kontrast. Niezbądane są wyroki Nieba!

Jednakże porównywać można zawsze w obie strony: z czymś lepszym i z czymś gorszym. Śmierć lub całkowita utrata nogi, obie sytuacje, których Bolek był tak bliski, kazały cieszyć się nawet z tego, co zostało uratowane. Już samo wyjście ze szpitala po pięciomiesięcznym prawie pobycie mogło stanowić powód do radości, tym bardziej, że co lżej rannych oficerów zabierali hitlerowcy do obozów jenieckich.

Twardy jednak był ten nasz Boleczek. Po krótkim okresie rekonwalescencji "zwąchał się" z organizacjami podziemnymi, początkowo ZWZ, później AK i brał czynny udział w akcjach tzw. dywersji bojowej.

Pracę uzyskał jako urzędnik w Elektrowni Pruszkowskiej. Z tytułu inwalidztwa dostał skromną koncesję na wódkę, co także stanowiło wkład w utrzymanie naszego domu.

Na wiosnę roku 1940, w obawie przed wywiezieniem do Reich'u, rozpocząłem pracę na roli w majątku, gdzie w administracji pracował także Stasiak, pełniąc jednocześnie obowiązki korepetytora.

Wypadki wojenne (agresja na Norwegię i Bałkany) zelektryzowały trochę opinię publiczną kraju, jednakże fatalna klęska czerwcowa Francji, z której postawą wiązano u nas wielkie nadzieje, sprawiła, że w najbliższą przyszłość patrzono przez jeszcze czarniejsze okulary.

Doprawdy, trzeba było wielkiego hartu ducha, by wobec sytuacji powstałej latem 1941r. nie zwątpić w ostatecznie zwycięstwo słusznej sprawy, a więc w klęskę hitlerowskich Niemiec i odzyskanie niepodległości przez Polskę. Francja, ta bohaterska Francja, która w czasie I wojny światowej na swoich głównie barkach dźwigała ciężar czteroletnich, morderczych a zwycięskich zmagania, w dwadzieścia parę lat później stawiała czoło Niemcom krócej niż Polacy, którzy przyjęli pierwszy impet uderzenia w roku 1939. "Tempore mutantur et nos mutanur in illis".

I znów pozostała nam tylko silna wiara. Jeszcze myślami biegliśmy do dwóch potęg: USA i ZSRR, które były potencjalnymi przeciwnikami Niemiec...

Nie można było jednak na dłuższą metę załamywać rąk. Walka z okupantem (bez względu na jego siłę) była pierwszym nakazem chwili. W tych warunkach ja także wstąpiłem do organizacji, która była załącznikiem AK. Sytuacja nasza - Polaków - nie była przecież beznadziejna. Posiadaliśmy na emigracji legalny rząd, uznawany przez wszystkie państwa oprócz Niemiec i ich satelitów, posiadaliśmy (czy organizowaliśmy) ruch oporu w kraju i chcieliśmy wierzyć, że czas pracuje dla nas. Złowrogo wyglądał tylko układ Ribentrop-Mołotow, ale nikt nie przypuszczał, by było to coś więcej od chwilowej koniunktury politycznej. W każdym bądź razie marzenia o szybkim zakończeniu wojny wzięły w łeb i optymiści szacowali jej trwanie na trzy - pesymiści zaś na sześć lat.

Jednakże dopiero konflikt niemiecko-radziecki z czerwca 1941r. oczyścił atmosferę. Oczywiście, napaść Japonii na USA także poprawiła naszą sytuację, ale dla Polski walka dwóch potężnych sąsiadów posiadała znaczenie dominujące.

Zmieniła się też sytuacja oświaty w Polsce: w tak zwanej Generalnej Gubernii jesienią 1940r. Niemcy zezwolili na otwarcie liceów technicznych i szkół zawodowych.

Tak więc miałem możliwość kontynuowania nauki i po zdaniu egzaminu zostałem przyjęty na Wydział Drogowy Liceum Kolejowego w Warsza-

wie. A zatem wybór zawodu został mi narzucony, nie wynikał z dobrowolnego wyboru.



Ćwiczenia z miernictwa w Liceum Kolejowym w 1941 r. Czwarty od prawej (w skórzanej kurtce) - Juliusz Ostrowski

Uczęszczanie do szkoły (po 8 godzin wykładów) przy marnym odżywianiu, wymagało niewątpliwie dużej siły woli, ale w porównaniu z losem tysięcy uwięzionych czy przebywających w obozach koncentracyjnych, było z pewnością przywilejem. Tak to właśnie traktowaliśmy, tym bardziej, że przez cały rok pozbawieni byliśmy możliwości oficjalnego korzystania z radości zdobywania wiedzy.

Począwszy od roku 1941 pokrzepiało nas na duchu systematyczne czytanie prasy konspiracyjnej, na której korzyść należy zapisać, że nie obiecywała za dużo, a podawane wiadomości były obiektywne i umiarkowane w tonie. Słuchanie (już teraz nielegalne) radia także odrywało człowieka od smutnej rzeczywistości i podtrzymywało wiarę w przetrwanie.

Latem 1942 roku ukończyłem szkołę techniczną otrzymując tytuł technika drogowo-kolejowego. Z uwagi na ciężkie warunki materialne nie mogłem kontynuować studiów w Wyższej Szkole Technicznej, którą na jesieni tego roku powołali Niemcy do życia (dawna Politechnika), lecz musiałem rozpocząć pracę zawodową. W sierpniu tegoż roku dość przypadkowo ożenił się Stasiiek. Żona jego posiadała sklep pod Żyrardowem i po paru miesiącach wyjechałem do nich, pomagając w prowadzeniu interesu. Ponadto handlowałem trochę spirytusem, nawiązawszy potrzebne kontakty przez bratową.

Wcześniej, po ukończeniu kursu wojskowego, zostałem mianowany plutonowym podchorążym AK. Z dużym sentymentem wspominam dzisiaj te nasze ćwiczenia i zajęcia, kiedy narażając życie, bezbronni - zbieraliśmy się dość często w pobliskich lasach, przerabiając musztrę i wyszkolenie bojowe lub na kwaterach zapoznawaliśmy się z bronią. Chociaż połączone to było z dużym ryzykiem, przypuszczam jednak, że było potrzebne: pogłębiało przywiązanie do Ojczyzny, pozwalało poznawać kolegów i przełożonych, zadziergało więzy prawdziwej, bo powstałej w bie-

dzie, przyjaźni. Wyzwalało obowiązkowość i entuzjazm, wyrabiało wszystkie szlachetne cechy charakteru, tępiło egoizm i asekuranctwo.

Razem z bratową w K. mieszkał też jej brat, zawodowy podporucznik, który zajmował się oczywiście robotą konspiracyjną. W związku z tym wydarzył się następujący wypadek.

Było to, jak do dzisiaj doskonale pamiętam, w dzień św. Barbary, 4 grudnia 1942r., tzn. niespełna cztery miesiące po ślubie Braterstwa. Pogoda była zimowa, lekki mróz przy opadach śnieżnych. Ciężko, bardzo ciężko jechało mi się na rowerze z Radziejowic, gdzie brałem spirytus do K. W tornistrze na plecach miałem 8 l spirytusu, a w teczce przymocowanej do ramy, jeszcze 4. Dość cenny ładunek, którego dostarczenie do Warszawy dawało ponad 100 zł zarobku, co równało się 1/4 miesięcznych poborów mojej matki. Parę kilometrów przed K. szosa biegła przez las. Gdy wjechałem właśnie tam, z daleka dostrzegłem słabe światła reflektorów samochodowych, które ledwo przebijały przez dość gęste płatki sypiącego śniegu. Światła te zniszczyły spokój, jaki dawało piękno natury, kiedy przejeżdżało się między tysiącami choinek, ślicznie przystrojonych nieskazitelnym, białym puchem. Natychmiast nasunęły mi się refleksje: może to auto niemieckie, rewizja, konfiskata tak cennego towaru i ... ewentualne aresztowanie. Zmęczone ciało i leniwy duch nie chciał zdobyć się na decyzję zejścia z drogi w las ... a światła reflektorów stawały się coraz wyraźniejsze i jednocześnie coraz bardziej złowrogie. Wtedy właśnie ostatecznie przekonałem się, że teoria Bergsona jest słuszna: intuicja istnieje na pewno! Przecież wyraźnie mówił mi jakiś głos: śpiesz się, uciekaj, to auto niemieckiej żandarmerii.

Tak też zrobiłem. Zeskoczyłem z roweru i skierowałem się na prawo w las. Jednakże była chwila, która wydała się wiecznością, że zwątpiłem w powodzenie tego kroku. Pod wpływem bowiem zmęczenia i obciążenia tornistrem, przewróciłem się w głębokim rowie przydrożnym na plecy i nie miałem siły, czy chęci wstać. Gdyby Niemcy znaleźli mnie w tej pozycji, z pewnością zostałbym ostrzelany. Ostatkiem sił zerwałem się więc i zdążyłem uskoczyć najwyżej 30 m w las, gdy światła reflektorów zaczęły obejmować mnie swym zasięgiem. Szybko więc położyłem rower i sam także położyłem się na plecach za jakimś drzewkiem. Byłem bardzo zdenerwowany, a usta same złożyły się do modlitwy: "Pod Twoją Obronę..." Trudno opisać te chwile, kiedy leżąc tak - bezbronny - wiedząc, że na drodze zostały wyraźne ślady prowadzące do mej kryjówki, kiedy zalał mnie strumień jaskrawego światła reflektorów. Co gorsza, auto zaczęło zwalniać, tak, że już wyraźnie słyszałem rozmowę prowadzoną w języku niemieckim. Auto, jadąc wolno, minęło mnie o kilka metrów, więc korzystając z tego wyszedłem ze strumienia światła i nie czekając na zatrzymanie samo-

chodu, zerwałem się na równe nogi, złapałem rower i zacząłem uciekać w kierunku ukośnym do szosy. Uchwyciły mnie jeszcze na chwilę światła ręcznych reflektorów, dobiegły mnie głosy: Halt, halt! Padło kilka strzałów i nastąpiła ... cisza. Auto z Niemcami odjechało, a ja zostałem sam w lesie; mogła być godzina 8 wieczorem.

Nie był to jednak koniec mych emocji; sądzonym mi było przeżyć jeszcze tej nocy tyle, by utkwiała mi ona dobrze w pamięci na całe życie.

Pierwsze pytanie, jakie nasunęło się po tym nieprzewidywanym spotkaniu, to było: co dalej robić? Bałem się wyjść z lasu na drogę, bo Niemcy mogli się wrócić, a perspektywa całonocnego tułania się po lesie i ryzyko pokazania się z nielegalnym towarem w ciągu dnia także nie były różowe. Zdecydowałem więc dojść lasem do jego końca, a później już wśród zabudowań zbiec na drogę wiodącą do mieszkania brata w K.

Śnieg padał coraz większy tak, że droga została zupełnie zasypana i musiałem po wyjściu z lasu wracać się, bo ją minąłem jak zaspę śniegu na polu.

Gdy podjeżdżałem pod dom braterstwa znowu serce ścisnęło mi złowrogie przecucie. Sklep był zamknięty, okiennice także, a z ciemnego domu bił jakiś wymarły spokój. Coś złego musiało się tu stać. Bałem się zajeżdżać od podwórka, ponieważ skojarzyłem sobie to pustkowie z niedawną leśną przygodą.

Poszedłem więc do właściciela pobliskiego młyna, znajomego bratowej, aby zasięgnąć języka. Wiadomości były niepomyślne. W Żyrdowie nastąpiła lokalna wpadka organizacji. Mieszkanie braterstwa zdekonspirowano jako punkt kolportażu nielegalnej prasy na okolice. Braterstwu udało się uciec. Mieszkanie zostało zapieczętowane. Auto, które mnie minęło, należało do niemieckiej żandarmerii i patrolowało teren. W tym świetle moje aresztowanie równałoby się pożegnaniu z życiem. Tak niewiele do tego brakowało!

Zaproponowano mi, bym tę krytyczną noc spędził w stajni pobliskiego młyna. Zgodziłem się na to, tym bardziej, że w nocy musiałem wydostać ze stodoły należącej do zabudowań bratowej, zapalniki do granatów, które schował tam szwagier. Szkoda było je utracić, a poza tym należało usunąć dodatkowe materiały kompromitujące, by osłabić akt oskarżenia w stosunku do już aresztowanych.

Udała mi się ta akcja, zapalniki zostały zabezpieczone, a ja po nieprzespanej z nadmiaru wrażeń nocy, wczesnym rankiem, z częścią spirytusu udałem się przez Jaktorów do P. Tam potwierdziły się wiadomości z K. Braterstwo wyjechali chwilowo do Warszawy, później udać się mieli gdzieś dalej. W ten sposób skończyło się dla brata stosunkowo spokojne bytowanie.

Po tych wszystkich wypadkach, z początkiem 1943 roku udałem się do krewnych do leśniczówki w Żerocinie koło Międzyrzecz Podlaskiego.

Był to zwrotny moment w dziejach II wojny światowej: Stalingrad - początek końca III Rzeszy.

Po dwóch miesiącach pobytu na wsi, wypoczęty i odprężony (ważyłem ponad 80 kg, gdy normalna moja waga wynosiła 76 kg, a w czasie okupacji ważyłem 70 kg) wróciłem do domu. Wziąłem dalszy urlop z AK i w kwietniu wyjechałem na 2 miesiące na wieś koło Radzymina, gdzie z ramienia jakiejś polskiej firmy prowadziłem roboty melioracyjne. W czasie jednego z sobotnich powrotów do domu także najadłem się strachu, ponieważ gdzieś w polu zatrzymali Niemcy "ciuchcię", wyciągnęli wszystkich pasażerów na drogę, gdzie stały karabiny maszynowe i pytali kto zostawił w wagonie materiał wyglądający jak plastelina. Był to angielski materiał wybuchowy o sile większej od dynamitu. Na szczęście skończyło się na strachu poza tym, że Niemcy zatrzymali kilku młodych ludzi, którzy uciekali w pole. Reszcie pasażerów bez większych bagaży, rąbanki czy śmieci, pozwolono wracać już spokojnie do Warszawy.

Podałem wyżej kilka ważniejszych wypadków z mego życia w pierwszych latach okupacji, ale nic dotychczas nie powiedziałem o swym życiu wewnętrznym w tym okresie. Nie naświetliłem także swoich stosunków z otoczeniem, ze starszym bratem i w ogóle poglądów środowiska, z którego pochodzę, na bądź co bądź zmieniający się stale obraz sytuacji politycznej i militarnej.

Czy wobec tak nerwowego i trudnego życia przestałem pracować nad sobą, czy ideały, do których dotychczas dążyłem, straciły nagle swoją siłę przyciągającą, czy nastawiłem się tylko na przeżycie tych ciężkich czasów, rezygnując z kształcenia swojej osobowości? Otóż nie!

Wojna była doskonałą lekcją poglądową i bardzo surowym egzaminatorem dla dotychczas wypracowanego przeze mnie światopoglądu.

Pokazała ona, że wiele w naszym przedwojennym życiu było zakłamania i obłudy, wiele zła i niekompetencji, wiele pięknych słówek przy braku dokładnej znajomości omawianych tematów, wiele hurra patriotyzmu i faktycznej słabości kryjącej się za nim. Ten zimny i krwawy prysznic, jaki dla niektórych nadszedł niespodziewanie po dwudziestoletnim zaledwie okresie II niepodległości, pokazał nam - młodemu pokoleniu - wychowanemu w wolnej Polsce, że należy zrewidować poglądy na wiele, bardzo wiele spraw, a przede wszystkim należy się nauczyć realizmu politycznego i kierowania się w życiu bardziej rozumem czy wyrachowaniem, niż uczuciem.

Teoria, której hołdowałem, że Polacy przy swoim trudnym położeniu geopolitycznym muszą przynajmniej dorównać wartościami moralnymi,

umysłowymi i fizycznymi obywatelom państw ościennych, nie straciła nic ze swej aktualności, a przeciwnie - wobec ponoszonych stale przez nasz naród ciężkich strat - nakładała obowiązek na tych, którzy pozostali, by tym usilniej pracowali nad sobą.

Wobec tego, że jednym z rodzajów walki Niemców z Polakami było stopniowe ich rozpijananie (stosunkowo niska cena wódki i wiele deputatów wódczanych w naturze), starałem się pić bardzo mało. Papierosów nie paliłem w dalszym ciągu. Pozostał jeszcze jeden problem, którego dotychczas nie poruszyłem: kobiety. W tym czasie (a relacjonuję wiek 17-20 lat) problem ten zarysował się u mnie dość silnie. Oczywiście na przeszkodzie "puszczenia się w wir pełnego życia" stało bardzo wiele czynników, przede wszystkim natury ekonomicznej, a to: brak pieniędzy na porządne, a tym samym bardziej gustowne ubranie (chodziło się przeważnie w "miejskim" przerabianym z garniturów ojca) brak czasu na częste składanie wizyt wybrankom swego serca, niemożliwość zabrania którejś do bokotowanego wówczas kina czy teatru, stałe uczucie pustki w żołądku, spowodowane kiepskim odżywianiem, psuły nastrój młodzieńczych miłosnych wzlotów. Lecz nie zdołały ich zniweczyć.

Dziewczyny, które budziły moje zainteresowanie, były mieszkankami Brwinowa i Milanówka, później Grodziska. Gdy dzisiaj analizuję stopień swego zaangażowania uczuciowego w stosunku do dwóch aktualnych wówczas obiektów mojej adoracji, to wiem, że z pierwszą - Halinką łączyła mnie miłość platoniczna do tego stopnia, że w ciągu dobrych kilku lat znajomości nawet jej nie pocałowałem. Do drugiej - Hani czułem miłość raczej zmysłową. Była ona o dwa czy trzy lata starsza ode mnie i z nią to, drogą ciągłych ćwiczeń z dziedziny sztuki całowania, doszedłem do perfekcji. Przyczyny, że nie łączyło nas nic więcej, należy szukać w mojej wierności zasadzie, że do lat dwudziestu należy unikać kobiet, a z drugiej strony bałem się, że bliższe kontakty groziłyby mi związkiem małżeńskim, podczas gdy jakiś głos mówił mi, że "nie jest to materiał na żonę".

Jeśli chodzi o urodę, to zaliczyć mnie wtedy było można raczej do chłopców zaledwie przystojnych, ale już wtedy przekonałem się, że o powodzeniu u kobiet nie decyduje tylko gładka twarz.

Oczywiście wrodzona próżność kazała mi żałować, że nie jestem ładny, jednakże ważniejszym mi się wydawało być odważnym, męskim i mądrym, a tych cech przecież można się dopracować.

W miarę posiadanego czasu czytałem wiele ciekawych książek oraz uczyłem się rosyjskiego i angielskiego. Francuskiego uczyłem się cztery lata w gimnazjum przed wojną, niemieckiego w latach 1940/42 w Liceum Technicznym, więc zanosilo się na to, że będę znał cztery najbardziej potrzebne nam obce języki. Niestety, skończyło się tylko na ich początkach.

Jeśli chodzi o życie naszej rodziny, to osią wokół której ono pulsowało, była bezsprzecznie, szczególnie w pierwszych latach okupacji, nasza Mateczka. Jej hartowi ducha, jej krzątaniu się i jej gospodarności zawdzięczamy przede wszystkim przetrwanie w warunkach mniej więcej wystarczających, bez skrajnej nędzy. Ona też rozładowywała konflikty, jakie muszą się zdarzać w życiu rodziny, składającej się z babek, rodziców i trzech dorosłych już synów, rodziny - gdzie wobec słabego odżywiania i trudnych czasów - stopień zdenerwowania zainteresowanych był stale o kilka kresków wyższy od normalnego.

Pomijając te złe chwile należy podkreślić, że tworzyliśmy grono naprawdę kochających się, bardzo bliskich sobie ludzi, którzy wzajemnie starali się sobie pomagać i w miarę możliwości zapominać, w jak złowrogich czasach przyszło nam żyć.

Osobny rozdział w tych rozważaniach należy się memu najstarszemu bratu, Bolesławowi. Otóż nie załamał się on swoim inwalidztwem! Potrafił być wesoły i promieniować humorem na otoczenie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy było to robione, czy wyływało z dopracowanego się przez niego przeświadczenia, że i tak biadolenie nic nie pomoże. W każdym razie ta jego postawa świadczyła o nim jak najlepiej i uczyła nas szacunku dla szarego, a tym cenniejszego bohaterstwa.

Moje stosunki z Bolkiem układały się coraz lepiej, chociaż w dalszym ciągu nie mogłem pozbyć się rezerwy i szacunku, jakim darzyłem tego o siedem lat starszego, a tak kochanego brata.

Był przecież starszy nie tylko wiekiem, ale doświadczeniem i przeżyciami, poza tym dorósł w wolnej Polsce! To była różnica chyba największa i nieodwracalna. Nasze młode dusze nie miały szczęścia rozwinąć się w atmosferze niepodległej Ojczyzny. Zetknęły się zbyt prędko z zimnym ostrzem wrażego bagnetu, za szybko usłyszały suche serie karabinów maszynowych, odbierające życie Bogu ducha winnym zakładnikom spośród cywilnej ludności. Zamknęły się więc w sobie i zatrzymały w rozwoju: czekały na wolną Polskę. Oczywiście ten rozwój w tak trudnych warunkach nie wyszedł im na dobre, a wiele z nich wchłonęło w siebie w tych złych czasach tak wiele jadu, że proces uzdrowienia tych serc - już po wojnie - trwać musiał o wiele dłużej niż samo zakażenie.

Jeszcze jeden z tych pozornie błahych, ale mimo to bardzo ważnych, ujemnych skutków wojny i okupacji.

Z rozmów z najstarszym bratem wyniosłem przeświadczenie, że nigdy nie podkreślał on ważności swojej własnej osoby, nie starał się nigdy wywyższać, a o innych wyrażał się ujemnie tylko wtedy, gdy na to bezwarunkowo zasłużyli. Rzadko w dzisiejszych czasach spotyka się takich rozmówców, którzy pomniejszają swoją osobę, bagatelizują swe bohaterskie

czyni, a skromność przebija z każdego ich słowa. Do takich właśnie ludzi należał Bolek i za to także należą mu się słowa najwyższego uznania. Bo naprawdę nie można było dopatrzeć się w nim jakiejś tendencji czy gry, wypływało to bowiem z jego ze wszech miar szlachetnej osobowości. Czy było mu z tym dobrze? Chyba tak, bo cieszył się, między innymi dzięki temu, dużą sympatią znajomych i niekłamana miłością najbliższych.

Moje stosunki z kolegami biegły kilkoma torami. Pierwsza część - to bliżsi koledzy z przedwojennej ławy szkolnej, druga - to nowi znajomi, których nasunął mi zmieniony tryb życia, trzecia - to nowi koledzy szkolni poznani w 1940 roku i wreszcie czwarta - to mała grupka podchorążych, a później kolegów i podwładnych z plutonu AK.

Tak się złożyło, że do pierwszej grupy należało także kilku kolegów mego dwa lata starszego brata Staśka - łączyły nas najbliższe stosunki towarzyskie, zbieraliśmy się na brydża, nieraz, bardzo rzadko, urządzało się jakąś prywatną potańcówkę.

Prawdopodobnie każdy z nich, lub przynajmniej znakomita większość, zajmowała się jakąś robotą konspiracyjną, ale na dobro organizacji podziemnych należy zapisać, że żaden z nas nie znał ani pseudonimów swoich bliskich przecież kolegów (nawet niejednokrotnie przyjaciół), ani ich powiązań organizacyjnych. Moja przynależność służbowa nie zbliżyła mnie z żadnym z tych najbliższych kolegów, ponieważ należeliśmy do innych oddziałów. Oczywiście, w tym gronie nie mieliśmy żadnych tajemnic, czuliśmy się bardzo swobodnie i pewnie, a humor tylko wtedy ustępował z naszych rozmów, gdy byliśmy pod bezpośrednim wrażeniem nowych ciosów, których nie szczędził przecież naszemu narodowi okupant.

Dziwne, że w tych "sferach" ani na chwilę nie zwątpiliśmy w nasze zwycięstwo, a twarde życie znosiło się ochoczo w myśl modnej wtedy dewizy: "im gorzej, tym lepiej". Wystawia do dobre świadectwo wychowawcom i szkole, którą ukończyliśmy (a w większości byliśmy absolwentami gimnazjum Tomasza Zana), że potrafiła tak zahartować naszego ducha, tyle przekazać nam patriotyzmu i ofiarności, że najcięższą nawet próbę potrafiliśmy przejść zwycięsko.

Z drugą grupą znajomych łączyły mnie stosunki raczej konwencjonalne, początkowo nawet ostrożne, lecz w miarę poznawania się - cieplejsze i serdeczniejsze, które później zadzierzgnęły się nawet w więzy przyjaźni. Nie wiem, czy to było nasze szczęście, ale naprawdę pokolenie moich okupacyjnych rówieśników składało się w większości z dzielnych, zdolnych i odważnych ludzi, którzy dla hitlerowców stanowili twardy orzech do zgryzienia. Moi koledzy szkolni z liceum technicznego przedstawiali materiał dość niejednorodny: w połowie byli to inteligenci, w mniejszej zaś części synowie przedstawicieli sfer robotniczych lub półinteligentkich; już

przed wojną starali się oni dostać do gimnazjum technicznego, by szybciej zdobyć zawód i pomagać biednej przeważnie rodzinie. Jeżeli chodzi o rozwój umysłowy tej młodzieży, to nie zawsze odpowiadał on sferze, do której należeli ich rodzice. Często chłopcy z tych zamożnych (czytaj inteligentnych) domów ustępowali znacznie zdolnościami i dodatnimi cechami charakteru potomkom sfer nie pretendujących do miana intelektualistów.

Pod względem politycznym zaś, nasza przynajmniej klasa (a było w niej 40 kolegów), stanowiła zgraną paczkę patriotycznie nastawionej młodzieży.

Czwarta, najmniejsza lecz nie najmniej znacząca grupa kolegów spod jednego znaku, stanowiła monolit, który powstał pod wpływem wspólnych przeżyć, wspólnych celów i co najważniejsze ... wspólnego niebezpieczeństwa, jakie groziło tym młodym podchorążym, pragnącym w swojej młodzieńczej zapalczywości zbawić Polskę. I znowu należy się pochwała zdolnościom konspiracyjnym naszych dowódców. Nazwiska, adresy, zawód, miejsce pracy itp. dane osobiste naszych współkolegów - były nam nieznanne. Poznawaliśmy je tylko w miarę upływu czasu, gdy mieliśmy ćwiczenia kameralne w którymś z mieszkań, ale podawany nam był tylko adres: ulica, numer domu i mieszkania oraz godzina (od-do), o której mieliśmy się w danym miejscu stawić. Nie wiem, jak było w innych ugrupowaniach, ja bowiem przerabiałem podchorążówkę w grupie 7-9 kolegów, z których ukończyło ją, o ile wiem, tylko sześciu. Uważam, że liczba ta była wygodna, bo zgromadzenia nasze można było tłumaczyć grą w karty lub wspólną, legalną nauką.

Gdy pokuszę się dzisiaj o naświetlenie profilu politycznego tych podchorążówek AK z lat 1941-1942, to dziwne mi się wydają modne w Polsce Ludowej do czasu odwilży zarzuty reakcyjności, o wysługiwaniu się okupantowi, o sprzymierzeniu się z imperializmem itd. Przede wszystkim samo pochodzenie zainteresowanych zaprzeczało istnieniu jakichkolwiek powiązań ziemiańskich czy kapitalistycznych. Byli to bowiem synowie średniozamożnych rodzin rzemieślniczych, nauczycielskich czy robotniczych. Nasze sztandary symbolizowały wierność legalnemu polskiemu rządowi generała Sikorskiego w Londynie, nasz program polityczny to walka do ostatniej kropli krwi o Polskę Niepodległą, Polskę sprawiedliwości społecznej, Polskę-Matkę dla wszystkich Jej dzieci, gdzie najwyższym organem władzy będzie Sejm wybrany w wolnych, powszechnych wyborach!

Nic więc dziwnego, że prawie cały ruch niepodległościowy oprócz skrajnej prawicy NSZ i skrajnej lewicy (bardzo zresztą wtedy nielicznej) skupiał się w latach 1940-1943 pod tymi sztandarami. I do niedawna, gdy patrzyłem na to fałszowanie historii, to ograniało mnie zdumienie, a za

największą plamę na honorze Polski Ludowej uważam jej podejście do żołnierzy Armii Krajowej.

— Czy ktokolwiek z tych kilkuset tysięcy ludzi, którzy przynależność do AK uważali za powód do największej dumy, a walkę pod jej sztandarami - o Polskę wolną - za swoje najwyższe posłannictwo, przypuszczać mógł przez chwilę, że w Polsce "sprawiedliwości społecznej" będzie musiał ukrywać swoje bohaterstwo i swoje przywiązanie do Ojczyzny, swoją walkę o jej wolność i w ogóle to wszystko, co było jego najlepszą częścią w czasie mrocznych dni okupacji?

— Na szczęście nastąpił u nas okres rehabilitacji, ale chyba sprawcy tych zbrodni na duszy i ciele, jakich doznało tak wielu, często najlepszych synów Ojczyzny, nie przypuszczają w swej naiwności, że takie załatwienie sprawy wyrównało krzywdy i po dwunastu latach oprawcy i ich ofiary wzniosą wspólnie kielichy ze staropolskim toastem "kochajmy się"! Nie o to zresztą chodzi, nie pragnę bynajmniej jątrzyć i tak zbyt bolesnych i świeżych jeszcze ran, pragnę zwrócić jedynie uwagę, że bywają w życiu narodu karty, które łatwo było pogrzebać, ale dużo trudniej jest reaktywować. Że oprócz śmierci cielesnej można tak skazić duszę człowieka, że nigdy już nie przywróci go się życiu. I te właśnie dusze może bardziej niż zmarłe już ciała wołają o pomstę do Nieba. Obecne kierownictwo polityczne musi wykazać wiele taktu, delikatności i dobrej woli, żeby wszyscy, naprawdę wszyscy Polacy pociągnęli te ciężkie taczki z naszą Ojczyzną i to w jednym kierunku!

— Wróćmy jednak do roku 1943. Chociaż rozpoczął się on klęską Niemiec pod Stalingradem, to nie świadczyło to jeszcze o wyczerpaniu sił militarnych III Rzeszy. Przeciwnie - bardzo krwawe walki na froncie wschodnim toczyły się ze zmiennym szczęściem. Cała Europa ugięła się pod jarzmem srogiej i bezlitosnej okupacji. Wywożenie młodzieży "krajów podbitych" na roboty do Reich'u było na porządku dziennym. Jednakże duch narodów, a w szczególności duch oporu narodu polskiego - nie małał, a nawet wzmagał się, świat dowiadywał się systematycznie o brawurowych akcjach AK, kładących kres życiu najgroźniejszych hitlerowskich oprawców umęczonego naszego społeczeństwa.

— Na początku 1943 roku zginął w Warszawie szef Arbeitsamt'u Hofman. Po nim wydziałem młodzieżowym tegoż urzędu - organizującym łapanki i wywożenie Polaków do Rzeszy - kierował niejaki Geist. Był to mężczyzna w sile wieku, potężnie zbudowany, a urzędował z pistoletem na biurku stale powtarzając buńczucznie, że "ja się polskich bandytów nie boję".

— Jednakże wyrokiem polskich sądów (bo jak wiemy, działały takie na terenie kraju w czasie okupacji) został on skazany na karę śmierci. Za wy-

konanie wyroku odpowiedzialny został mój brat - Bolesław - pseudonim "Elektryk".

Gdy wróciłem 13 maja 1943 roku po południu do domu, zastałem Bolka siedzącego wraz z Ojcem na otomanie i oddanego bardzo żywej rozmowie. Z twarzy i całej jego postaci bił niepokój, widać było, że człowiek ten był pod wrażeniem jakiegoś bardzo silnego przeżycia. Gdy na moje wejście ściszyli oni głos nie chcąc wtajemniczać mnie w szczegóły rozmowy, domyśliłem się, że brat mój musiał tego dnia brać udział w jakiejś poważnej akcji.

Po paru dniach dowiedziałem się o szczegółach tego udanego (z takim trudem!) zamachu na Geista. Chłopcy brata z oddziału dywersji bojowej AK stwierdzili, że Geist codziennie około godziny 13-tej opuszcza lokal Arbeitsamt'u i udaje się na obiad, przechodząc piechotą kilkadziesiąt metrów. Zdecydowano więc, że zostanie on zastrzelony właśnie w tym czasie, a więc w biały dzień na ulicy Mazowieckiej, która z jednej strony prowadziła, przecinając Świętokrzyską - do placu Napoleona, z drugiej zaś, przecinając Kredytową i Traugutta - do Królewskiej.

W akcji wzięło udział tylko 6 ludzi: brat z "obstawą" dla dokonania zamachu, dwóch na jednym rogu Mazowieckiej i dwóch na drugim. Powodzenie akcji zależało od szybkości działania bez alarmowania sił policyjnych okupanta. Dość znaczny ruch, jaki panował w tej dzielnicy Warszawy, miał ułatwić uczestnikom powyższej "imprezy" zmieszanie się z tłumem i szybkie wycofanie.

Nie trzeba chyba opisywać zdenerwowania brata, gdy w samo południe pięknego, majowego dnia z odbezpieczonym pistoletem za paskiem na brzuchu, pod marynarką, przechadzał się spokojnie ulicą Mazowiecką, czekając na nieprzyjemne i ryzykowne spotkanie. Powodzenie tej akcji wisało na włosku. Z chwilą bowiem gdy Geist ukazał się i począł iść chodnikiem, brat podszedł zbyt blisko, a gdy wyciągnął pistolet, by oddać strzał, potężny Niemiec odwrócił się instynktownie i zdążył chwycić brata za przegub ręki; rozpoczęła się szamotanina, lecz brat zdążył jeszcze zauważyć pod numerem domu, obok którego spotkała go ta przygoda, jakiegoś małego człowieka z wymierzonym w niego pistoletem. Szamocząc się więc z Geistem zdążył jeszcze tak ustawić pistolet, aby kilka oddanych z niego strzałów raniło "obstawę" Niemca. Teraz powodzenie zależało tylko od tego, czy brat nie zostanie przewrócony przez Geista i ewentualnie zastrzelony. Na szczęście w tego inwalidę wojennego, dużo gorzej zresztą odżywionego od spasionego i wyższego o pół głowy Niemca, wstąpiło tyle siły, że nie tylko nie dał się przewrócić, ale potrafił ustawić i unieruchomić Geista na moment, w którym Tadeusz (wspólnik brata) mógł spokojnie strzelić, raniąc Niemca w brzuch.

W tej samej niemal chwili rozległy się strzały z pistoletu brata i Geist bardzo ciężko ranny, z czterema kulami w brzuchu, kręgosłupie i szyi, osunął się - krwawiąc - na płyty chodnika. Bolek z kolegą przeszli szybko kilkadziesiąt kroków (ludzie oczywiście na odgłos strzałów rozbiegli się), wsiedli do modnych wówczas rikszy i pojechali najspokojniej na plac Żelaznej Bramy, gdzie skonsumowali obiad w knajpie, prowadzonej przez ich kolegę z AK.

Kiedyś, przy okazji jakiejś rocznicy, BBC z Londynu w audycji w języku polskim, wymieniało kilka najbardziej znanych akcji AK - między innymi podano zamach na Geista. W ten sposób brat mój przeszedł do historii, co daje rekompensatę natury moralnej, bo za akcję tę, a także jej podobne, nie otrzymywał odznaczeń, awansów ani dolarów, które przeznaczone może dla niego lub innych zasłużonych żołnierzy - trafiły gdzieś albo do kieszeni wyższych oficerów albo bardziej zaradnych kolegów.

Tę moją autobiografię pozwalam sobie przeplatać ważniejszymi epizodami z życia naszego najstarszego brata: robię to świadomie i to z dwóch, wydaje mi się, wystarczających przyczyn. Przede wszystkim był on bez wątpienia bohaterem i jego życie bardziej niż moje, zasłużyło na opisanie; po drugie, jak to wspominałem już na wstępie, bardzo długo chowałem się w uznaniu dla "wielkości" Bolka i wpływ tego kompleksu na pewno zaciążył na moim życiu. Chciałem bowiem (i pragnę nadal) upodobnić się do brata, eliminując jednak (o ile stać mnie na to) ze swego życia to wszystko, co jemu przeszkadzało, by w pełni zasłużyć na miano ze wszech miar pozytywnej jednostki.

W świetle tego, co wyżej powiedziałem, postawiłem sobie bardzo wysokie zadania. Czy rzeczywiście realizowałem je stopniowo i jak mi to wtedy wychodziło?

III. Trwać i wytrwać

Gdy uprzytomnimy sobie, że czasy wojenne wyjątkowo sprzyjają demoralizacji młodzieży, to za okres okupacji - przy pełnej obiektywizmu ocenie - postawiłbym sobie stopień celujący.

Wypełniłem bowiem, w miarę swoich wątpliwych sił, trzy zasadnicze obowiązki: 1. wobec Ojczyzny - przez czynny udział w polskim ruchu oporu, 2. wobec Rodziny - przez pomoc materialną i moralną, 3. wobec samego siebie, ponieważ nie zszedłem na złą drogę ani pod względem moralnym, ani pod względem życiowym (nie dochoząc dość mętną drogą do pieniędzy i nie żyjąc w luksusie, na tle ogólnej nędzy), ani pod względem intelektualnym (czy lepiej: wykształcenia), bo czasu nie zmarnowałem.

Opisując dalszy tok mego życia, wracam do roku 1943, kiedy na jesieni, po zdaniu egzaminu wstępnego, zostałem przyjęty na I rok Wyższej Szkoły Technicznej w Warszawie - Wydział Komunikacyjny. Zawdzięczam to faktowi, że Ojczulek mój po pierwszych latach głębokiej depresji, pod wpływem lepszej sytuacji politycznej, doszedł zupełnie do zdrowia i rozpoczął pełnoetatową pracę nauczyciela na kompletach.

W ten sposób kierunek moich studiów (co powinno w zasadzie odpowiadać fachowi) został przypieczętowany. Z nieśmiałyh marzeń o karierze wojskowej, politycznej, o studiach historiozoficznych, a w każdym bądź razie humanistycznych, nie pozostało nic. Los mi narzucił kierunek "inżynier dróg i mostów". Już wtedy Ojciec udowodnił mi w zasadzie, że wszystko bardzo dobrze się składa: "będziesz miał piękny fach, pracę ciekawą i ruchliwą, a co najważniejsze zdrową, często na powietrzu" itp. Jeśli chodzi o studia prawnicze, to Ojciec nie uznawał ich, mówiąc: szczerze mówiąc nie musisz być zawodowym, a możesz z powodzeniem oddawać się temu z amatorstwa, to nie jest żaden fach.

W kilkanaście lat później okazało się - wobec jeszcze silniejszego nastawienia w całym świecie na politechnizację - że Ojczulek miał pełną rację. Nic dziwnego, przecież to wytrawny i zdolny pedagog, w prawdziwym tego słowa znaczeniu!

W bardzo przykrej, przygnębiającej wprost atmosferze rozpoczął się ten pierwszy rok moich studiów akademickich (W.S.T. odpowiadało w zasadzie programowi dawnej Politechniki Warszawskiej). Mniej więcej w tym samym czasie, za obrzucenie granatami auta z policją niemiecką, rozstrzelali Niemcy przy remizie tramwajowej na ulicy Puławskiej 50 polskich zakładników, wśród nich światowej sławy uczonego, profesora Politechniki Lwowskiej - Bryłę.

Cień żałoby, bezsilnej wściekłości i przeogromnej nienawiści do bezliatosnego wroga kładł się na aule politechniki w czasie ostatniego roku jej egzystencji, przed pamiętnym powstaniem. Niech historyk, komentujący po latach celowość wybuchu powstania w Warszawie w roku 1944, weźmie także pod uwagę fakt, że złożyła się na nie, między innymi, suma tłumionej nienawiści za te i setki podobnych jej zbrodni hitlerowców, niech weźmie pod uwagę, że "od śmierci silniejszy jest gniew".

Równolegle z nauką pobieraną w W.S.T. w Warszawie, zostałem w AK dowódcą drużyny i zastępcą dowódcy plutonu. Połączone to było z periodycznym szkoleniem swych chłopców i kryło w sobie niebezpieczeństwo "wpadki".

Jednakże z przyjemnością wspominam tę "zabawę w wojsko" tym bardziej, że (doszukujcie się w tym paradoksie) osiem lat później, już jako inżynier, uniknąłem wcielenia do prawdziwego wojska tylko dlatego, że by-

łem w AK. Widocznie byłem, czy jestem, (?) niebezpieczny, lub w najlepszym razie niepewny.

Z przeżyć bardziej intymnych (które notuję tutaj dla prawdy historycznej) muszę zaznaczyć, że na jesieni tegoż roku poznałem jak wygląda "miłość" i to z kobietą prawdopodobnie "wątpliwej konduity".

Chwilę rozkoszy przypłaciłem jednak kilkutygodniową obawą, czy przypadkiem nie jestem zarażony. Naczytawszy się wiele broszurek na ten temat, wmawiałem w siebie chorobę i chwilami dochodziłem do wniosku, że nie warto żyć.

Doświadczenie to miało jednak tę dobrą stronę, że podobne przygody nigdy już więcej mi się nie przytrafiły i nie wyobrażam sobie, jak mogłoby do nich dojść w przyszłości.

Jesienią roku 1943, po inwazji aliantów na Włochy, nikt nie mógł mieć już żadnych wątpliwości co do tego, że Niemcy przegrają wojnę. Otwartym pozostawał jedynie termin, w którym to miało nastąpić.

Na nas, Polaków, w tym pamiętnym roku 1943, największe wrażenie wywarło ogłoszenie wiadomości o potwornym i bez precedensu wymordowaniu w Katyniu kilkunastu tysięcy polskich oficerów, jeńców wojennych z kampanii 1939r.

Między innymi w Katyniu zginął mój wujek (mąż siostry ojca) i ojciec chrzestny śp. major Bronisław Czołowski. Trzeba dodać, że dostał się do niewoli radzieckiej przez piękny czyn, ustępując miejsca w samochodzie osobowym, zmierzającym do Rumunii, byłemu premierowi Świtalskiemu. Jako szczerzy demokrata, znający doskonale język rosyjski i rosyjską duszę, sądził, że idąc na wschód, zmierza, wbrew oficjalnej przedwojennej propagandzie, ku przyjaciołom. Czy nie zawiódł się, to najsprawiedliwiej oceni Bóg i historia.

Z polskiego punktu widzenia, zbrodnia katyńska wywarła ten niepożądany dla nas skutek, że ZSRR zerwał z rządem polskim w Londynie stosunki dyplomatyczne, dopatrując się złej woli ze strony naszej władzy w podejściu do "Katynia". Nikt może wtedy nie zdawał sobie sprawy, że fakt ten po wojnie pozbawi Ojczyznę bardzo wielu Polaków, którzy w innych warunkach nie mieli żadnych podstaw do kontynuowania w nieskończoność emigracji politycznej. Wraz z tajemniczą śmiercią generała Władysława Sikorskiego, wydarzenia te pociągnęły za sobą zgubne skutki dla Polski.

12 października 1943 roku pod Lenino stanęły na V froncie wschodnim wojska I Armii, by walczyć o wolną Polskę.

Początek roku 1944 minął na ogół spokojnie, lecz każdy przeczuwał, że jest to przysłowiowy spokój przed burzą.

Wiosenna i letnia kampania wojsk radzieckich przeniosła teatr wojny na ziemie polskie. Ofensywa wojsk alianckich na półwyspie Apenińskim, wspaniała, krwawa a zwycięska bitwa wojsk II Korpusu Polskiego pod Monte Cassino, gdzie żołnierz polski wykazał swą wyższość nad innymi i otworzył drogę na Rzym armiom sprzymierzonym, wszystko to świadczyło o bliskim już wyzwoleniu Włoch.

Inwazja aliantów na Normandię 6 czerwca 1944r. rozpoczęła nowy, już niespełna rok trwający etap II wojny światowej. Nieudany zamach na Hitlera z 20 lipca tegoż roku pokazał światu, że hitleryzm załamuje się. Dla umęczonego świata, a szczególnie Europy, nadszedł więc dzień krwi, chwały i zwycięstwa.

Na tle tych wypadków politycznych mam do zanotowania trzy ważniejsze wydarzenia ze swego życia.

Studia na W.S.T. raczej pomijam, bo nie były wówczas one najważniejsze. Wspomnieć tylko muszę, iż dobór studentów był bardzo trafny, byli to przeważnie chłopcy o wysokiej inteligencji, wartościowi, solidni i nastawieni patriotycznie. Zdanie to wyrobiłem sobie podczas długich międzywykładowych dyskusji, toczonych w korytarzach Politechniki. Dla ścisłości podkreślić jeszcze należy wyjątkowo sympatyczną atmosferę, jaka panowała między młodzieżą a gronem profesorskim.

Widać było, że nasi profesorowie sami zaganiani, często nie dożywieni, nadać chcieli swoim wykładom obok głębokiej treści, najpiękniejszą formę, pragnąc tym biednym (bo bez wolnej Ojczyzny) wychowankom przekazać jak najwięcej jak najwartościowszych wiadomości.

W końcu kwietnia 1944 roku wezwał mnie mój dowódca kompanii, przekazując do wykonania następujące zadanie: tego i tego dnia (a właściwie nocy) wysadzić w powietrze aparaturę kina w Pruszkowie. Otrzymacie 2 kg plastiku (angielski materiał wybuchowy), lont, łom, pistolety - w akcji winno wziąć dział 5-6 ludzi. Trzeba zaznaczyć, że kino o którym mowa, znajdowało się ok. 200 m od posterunku żandarmerii niemieckiej, na jednej z głównych ulic miasta.

Ustaliliśmy następujący plan akcji: przed końcem ostatniego seansu w kinie (a więc jeszcze przed godziną policyjną) dojdziemy do domu sąsiadującego z budynkiem kina i ukryci tam, ewentualnie w ustępie, poczekamy na opuszczenie gmachu przez widzów, rozpoznamy sytuację i wykonamy przekazany nam rozkaz.

Gdyby nas rozproszono, czy w wypadku niepowodzenia akcji, ustaliliśmy miejsce zbiórki w mieszkaniu X. Przynam się, że z małą wiarą szedłem na tę swoją pierwszą akcję bojową. Byłem bowiem pod wrażeniem trudności i niebezpieczeństwa, na jakie narażam siebie i (jako dowódca) czterech młodych (w wieku od 17 do 19 lat) chłopców, oraz dziwny roz-

kaz: "rannych, których nie da się ewakuować - dobijać". Domyślałem się, że podyktowane to było chyba zbyt leniwym przed dekonspiracją, ale rozkazu tego nie przekazałem swym podwładnym i sam nie brałem tego poważnie. Później, już gdy dowiedziałem się, że mój dowódca tej nocy nie spał w swoim mieszkaniu w obawie przed ewentualną wpadką w razie niepowodzenia akcji, ogarnęło mnie wielkie przygnębienie i poczułem ogromny zawód. Przecież zlecić niewykonalne prawie i w tamtych warunkach nie bardzo może już potrzebne zadanie młodym, niedoświadczonym chłopcom, to było równoznaczne z narażaniem ich na pewną śmierć i jednocześnie zabezpieczenie własnej skóry miało niedwuznaczną wymowę.

Ale "ad rem".

Do wspomnianego domu obok kina udało nam się dojść cało. Szliśmy w następującym porządku: najpierw jeden, potem dwóch i dwóch na końcu, w odstępach umożliwiających kontakt wzrokowy i możliwość wsparcia się ogniem w razie nieprzewidzianej interwencji Niemców.

Już się zmierzchało, kiedy znaleźliśmy się na podwórku. Trzem ludziami wraz z całym "majdanem" (materiał wybuchowy, łom, siekiera dla wysadzenia drzwi od kabiny) poleciłem zająć miejsce w ustępie, znajdującym się ok. 20 m od ulicy, sam zaś z jednym strzelcem uplasowałem się dla lepszej widoczności na podwórku pod płotem koło drzewek. ^x

Ustalono zostało, że bez rozkazu nikt nie opuści wyznaczonego postępowania, chyba że zostaniemy ostrzelani, a więc akcja się nie uda i będzie trzeba ratować się ucieczką, dążąc do jak najmniejszych strat. Ledwo zdążyliśmy zająć swoje pozycje, na podwórko weszło jakieś rozbawione towarzystwo: trzech mężczyzn i dwie kobiety. Gdy mężczyźni zobaczyli nas pod drzewami, zaczęli krzyczeć coś po polsku i niemiecku, kierując się w naszą stronę; wtedy ja skinąłem na sąsiada i zaczęliśmy biec w kierunku furtki. Mężczyźni ci nadal wołali w dwóch językach, żebyśmy się zatrzymali. Wybiegliśmy jednak na ulicę aby odwrócić uwagę od naszych trzech pozostałych kolegów, a zadanie wykonać ewentualnie trochę później.

Gdy byliśmy już na ulicy, padło za nami kilka strzałów. My wyjęliśmy posiadane pistolety, ale nie robiliśmy z nich użytku, bo mieliśmy inne zadanie.

Nastąpił punkt kulminacyjny, a jednocześnie moment bardzo dramatyczny (dla młodego dowódcy) w tej akcji. Co robić dalej? Nas dwóch ukrytych w rowie na najbliższym polu za kościołem, około 300 m od nas pozo-

^x Wersja ta różni się w szczegółach od relacji J.S. "Tomahawka", uczestnika opisanych wydarzeń, publikowanych w nr 2/1993 "Przeglądu Pruszkowskiego". Rozbieżność ta jest zrozumiała z uwagi na czas, jaki minął od przedstawionych wypadków.

stali trzej "zamachowcy" i w tej samej mniej więcej odległości siedziba niemieckiej żandarmerii.

Chociaż wiedziałem z regulaminu wojskowego, że brak decyzji jest gorszy niż nawet zła decyzja, to jednak w tym wypadku uważałem za najbardziej wskazane poczekać. Rozumowałem tak (w największej trosce o życie "uwięzionych w ustępie" trzech podwładnych): o ile nie padną żadne strzały, to wszystko w porządku. Ci, co nas wytropili, wrócą do domu i za jakąś godzinkę będzie można przystąpić do kontynuowania zleconego nam zadania.

W wypadku odgłosu jakiejś strzelaniny, mieliśmy, co koń wyskoczy, biec w jej kierunku dla wsparcia kolegów. Operacja ta hipotetycznie wydawała mi się bardzo problematyczna i trudna do przeprowadzenia, ale wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, by nie dopuścić do utraty trzech żołnierzy, czekając biernie końca wydarzeń. Zresztą (naprawdę wtedy tak myślałem), wolałbym także sam zginąć, niż mieć na sumieniu ich młode życie i przytłaczający balast też i przekleństw matek tych młodzieniaszków pod moim adresem.

Na marginesie chciałbym opisać, co człowiek przeżywa w takich momentach; trudno jest jednak to zrelacjonować, a dla wszystkich, którzy nie brali udziału w podobnych akcjach, nie będzie nigdy zrozumiałe i "wyczuwalne" to szalone napięcie nerwowe, te błyskawicznie rodzące się myśli, podsuwające w tej samej sekundzie dziesięć różnych projektów działania; czas wtedy zatracą swą powszednią wartość: sekunda wydaje się ciężką i powolną godziną.

Wracając do naszej akcji (a właściwie momentu jej przerwania) muszę wyjawić, że obie wersje przebiegu wydarzeń, jakie przyjąłem za prawdopodobne, okazały się błędne. Wypadki potoczyły się bowiem inaczej: w jakieś 20 minut po zajęciu przez nas nowego stanowiska, padł pojedynczy strzał. Przeczekaliśmy jeszcze 10 minut i postanowiliśmy wracać do umówionego mieszkania. Rozumowaliśmy w ten sposób: akcja się nie udała! Strzał pochodził na pewno od naszych chłopców, którzy wycofując się napotkali na jakąś przeszkodę. Niemców nie mogło być wielu, bo wtedy słyszelibyśmy silniejszą strzelaninę. Wracaliśmy we dwóch drogą przez pole, nie "zaczepiając" już o "plac boju", obawiając się, że na odgłos strzału mogła się tam pojawić żandarmeria niemiecka.

Nikt nie opisze mej radości, gdy po przybyciu na miejsce postoju zastałem wszystkich swych chłopców całych i zdrowych, w dobrych nastrojach. Tak jak przypuszczaliśmy, zastrzelili jakiegoś Niemca, który zastawił im przejście przez furtkę, gdy wycofywali się z feralnego podwórka.

W połowie lipca sytuacja na froncie wschodnim była tak krytyczna dla Niemców, że liczone się już powszechnie z nadejściem wojsk radzieckich

wraz z I Armią W.P. W tym czasie właśnie nastąpił mój, zakończony niepowodzeniem, wyjazd do partyzantki w lubelskie. Gdy wszystko miałem załatwione, a Rodzina uroczyście pożegnała "samodzielnego partyzanta" okazało się, że pociąg, którym mieliśmy jechać w kierunku Lublina, dojechał zaledwie kilka kilometrów za Otwock. Dalsza jazda była niemożliwa ze względu na zbliżający się front. Wróciłem więc zawiedziony i rozgorączkowany, bo młoda krew burzyła się na myśl o upragnionej walce po latach upokorzeń.

Największym wtedy świętem, które obchodziliśmy na pewno goręcej i z większą radością niż rdzenni Francuzi, było zajęcie przez aliantów Paryża. Tradycyjna przyjaźń tych dwóch wielkich narodów, odbijała się silnym tętnem w naszych żyłach!

Pod koniec lipca przerwano wykłady na W.S.T. - jak to się mówiło - na ferie letnie. Jednakże wszyscy byli głęboko przekonani, że w starych warunkach nie spotkamy się już na Politechnice. Do Warszawy dochodziły już przecież grzmoty dział błyskawicznie zbliżającego się do nas frontu wschodniego, a wraz z nim apele radiostacji radzieckich nawołujące do powstania ludności polskiej przeciw hitlerowcom.

Ostatni tydzień lipca 1944 roku do złudzenia przypominał tę ostatnią dekadę sierpnia sprzed pięciu laty, kiedy rozpoczęła się największa wojna w dziejach świata.

Odetchnąłem z ulgą, gdy wezwał mnie dowódca kompanii AK z poleceniem rozbijania Niemców na terenie Pruszkowa. Było to 31 lipca 1944 roku. O godzinie 10-tej wyszło nas trzech. Ja, dowódca ze stemem (angielskim pistoletem maszynowym o bardzo nieskomplikowanej osłudze) w teczce i dwóch strzelców jako moje ubezpieczenie, z bronią krótką. W miasteczku kręciło się bardzo dużo Niemców. Zadanie nasze polegało na zdobyciu broni, bez zabijania nieprzyjaciela. Pierwszą swą akcję postanowiliśmy wykonać trochę poza miastem, gdzie panował mniejszy ruch. Rozbroiliśmy wartownika warsztatów kolejowych (foxa), uzbrojonego w karabin i pistolet. Karabin schowaliśmy w szuwarach, skąd zabraliśmy go nocą, a pistolet wzięliśmy ze sobą. Mieliśmy szczęście, bo 2 minuty przed rozpoczęciem przez nas tej akcji, nadjechało auto z niemiecką żandarmerią i gotowym do strzału karabinem maszynowym, ustawionym po środku.

^{xx} Po obiedzie wyruszyliśmy znowu, ale już we czterech i tylko z bronią krótką. Wytropiliśmy trzech kolejarzy niemieckich, których zaatakowaliśmy na rogu ulicy Polnej i Szopena. Aczkolwiek obowiązywał rozkaz nie używania broni, to ja sam, wyjmując pistolet strzeliłem (język spustowy

^{xx} Vide przypisy na str. 47

mojego starego Colta reagował na najdelikatniejszy nacisk). Wywołało to ogólną strzelaninę ze strony moich chłopców, zakończoną ciężkim zranieniem jednego Niemca. Odebrałem brón najstarszemu stopniem i kazałem mu uciekać. Do śmierci będę pamiętał spojrzenie tego Niemca, cofającego się z podniesionymi rękami, nie spuszczonego ze mnie wzroku. Wyczytałem w nim bezgraniczny strach o życie i nienawiść do nas, młodych polskich "bandytów", którzy na nich, najspokojniejszych ludzi na świecie, napadli.

Ze zdobytymi pistoletami przenocowaliśmy u znajomych w stodole, a nazajutrz rano przekazaliśmy je na punkt zbiorczy. Następnej nocy nie spałem w domu i dlatego nie dotarł do mnie rozkaz mobilizacyjny naszej kompanii, która zebrała się przed kilku dniami w pobliskich lasach.

1 sierpnia 1944 roku o godz. 17.00 wybuchło powstanie w Warszawie. Na ten temat nie będę nic pisał, bo nie byłem jego uczestnikiem, a nam pozostała tylko bierna rola słuchania odgłosów walki, audycji radiowych i przeżywania permanentnego dogorywania miasta i tragedii jego mieszkańców, a z nimi całej Polski.

Oprócz licznej dalszej rodziny, przebywał w Warszawie Bolek uczestniczący w powstaniu. Ze Staśkiem, który w 1943r. wyjechał do Nałęczowa, od chwili wybuchu powstania straciliśmy wszelką łączność. Tak więc nie było powodów do radości.

Bohaterska walka Polaków przejdzie na pewno do historii, ale jak i w wielu powstaniach poprzednich, poniesione ofiary nie pozostawały w żadnej proporcji z osiągniętymi zdobyczami. Chociaż nalot ponad 100 samolotów alianckich z 18 września tegoż roku z pomocą żywnościową i bronią dla Warszawy uczynił z punktu widzenia propagandowego duże wrażenie, to na losy powstania nie mógł mieć większego wpływu. Jedynie ofensywa ze wschodu mogłaby zmienić bieg wypadków.

Po upadku powstania, 2 października 1944 r. nastroje wśród społeczeństwa polskiego były kiepskie, ale pocieszano się, że i tak za kilka miesięcy Niemcy odpowiedzą za swe zbrodnie.

W połowie listopada zorganizowano, w P. akcję rewindykacji dzieł sztuki i nauki z muzeów i bibliotek warszawskich. Polegała ona na codziennych wyjazdach kolumny samochodów ciężarowych, którymi przewożono ocalałe dzieła albo na dworce warszawskie, skąd koleją były transportowane do bezpiecznych miejsc w głębi kraju, albo dowożone bezpośrednio do Pruszkowa. W akcji tej brało udział kilkadziesiąt osób (z dyrektorem muzeum p.Lorentzem i kustoszami oraz profesorem p.Borowym). Byłem tam, między innymi i ja.

Z ciężkim sercem zbliżałem się po raz pierwszy do skrwawionej i opustoszałej stolicy. Jednakże zastałem widok lepszy, niż to sobie początkowo wyobrażałem.

o Znaczna część miasta nie była zburzona, ocalał dworzec główny, pałac Brühlowski (siedziba MSZ), Marszałkowska i Chmielna były jedynie spalone, część domów stała, a niektóre mieszkania zupełnie ocalały. Tak więc przynajmniej połowa strat, jakie poniosła Warszawa, była dziełem Niemców w ciągu tych trzech miesięcy po powstaniu, kiedy nie niepokojeni przez nikogo, mogli do reszty dokonać swego wandalskiego dzieła.

O losach Bolka docierały do nas jedynie mętne wiadomości, że w końcu września jeszcze żył i miał być ewakuowany. Mijał jednak listopad, a nie dawał on żadnego znaku życia. Oczywiście, wszyscy niepokoiliśmy się bardzo o jego los.

W połowie stycznia 1945 roku wielki huk dział artyleryjskich zapowiadał wznowienie ofensywy na froncie wschodnim. 17 stycznia wojska radzieckie i polskie wkroczyły do Warszawy (a właściwie do jej szczątków). 18 stycznia, wracając do domu, po raz pierwszy od czasu powstania, ujrzałem promienny uśmiech na twarzy Mateczki. Okazało się, że były wiadomości od Bolka. Żywy i cały zgłosił się - po powstaniu - na ochotnika do 1-szej Brygady Kawalerii przy I Armii W.P. i w stopniu podporucznika walczył o Warszawę w styczniowej ofensywie.

Przytoczyć tu trzeba pierwszą rozmowę jaką miał brat z dowódcą brygady.

- Jaki mieliście stopień przed wojną? - zapytał dowódca.

- Podporucznika.

- Po trzymiesięcznym kursie zrobimy was rotmistrzem i będziecie oficerem polityczno-wychowawczym, tym bardziej, że jesteście inwalidą.

- Dziękuję, towarzyszu pułkowniku, ja pragnę być oficerem bojowym, pragnę walczyć z Niemcami.

- To zostaniecie podporucznikiem.

19 stycznia wczesnym rankiem zjawił się w naszym domu w Pruszkowie Boleczek ze słowami:

- Walczymy o Polskę demokratyczną.

W mundurze wyglądał bardzo ładnie, a kiedy jechał na koniu, nie można było dostrzec, że jest inwalidą. Po paru godzinach spędzonych radośnie w domu, pożegnał nas i udał się do swego szwadronu, by walczyć z Niemcami.

Z ciężkim sercem żegnałem go, gdy klusował na zachód znikając na zakręcie drogi. Nie miałem pewności (znając jego odwagę i bohaterstwo), czy zobaczę go jeszcze w tym życiu.

Z końcem lutego wyjechałem do Lublina, gdzie zorganizowano w niewielkim zakresie Politechnikę Warszawską. Zostałem przyjęty na drugi rok i rozpocząłem naukę przerwana w lipcu 1944r. Mieszkałem początkowo u brata (Staśka), który tam pracował, a później w domu akademickim.

Z przyjemnością wspominam te czasy, kiedy mimo braku pieniędzy żyło się wreszcie, po pięciu przeszło latach, życiem względnie wolnym, korzystając z uprawnień akademickich, ucząc się, bawiąc i zajmując sportem. Należy podkreślić atmosferę, jaka panowała wtedy na uczelni, gdzie gro- no profesorskie bardzo zżyło się z młodzieżą akademicką, a młodzież nie szczydziła wysiłków, by robić jak najlepsze postępy w nauce. W tamtych czasach Lublin śmiało nazwać można było największym, najradośniej- szym ośrodkiem akademickim w Polsce.

IV. 1945-1950 Lata zawiedzionych nadziei.

8 maja 1945 roku Niemcy podpisały kapitulację i wojna w Europie za- kończyła się. Na placu boju pozostała jeszcze Japonia, ale wiadomo by- ło, że ona także skazana jest na rychłą klęskę.

Dzień zwycięstwa 9 maja obchodziliśmy w podniosłych nastrojach. Rozpoczął się okres żmudnej odbudowy zniszczonego i wynędzniałego kraju.

Jednakże w sercach naszych nie było tej bezbrzeżnej radości, jaką przynieść powinna po tylu latach wojny prawdziwa wolność. Oswobodze- nie od Niemców przyszło ze Wschodu, a Zachód?

Rząd Jedności Narodowej skleić miał jakoś tę Polskę i sprawić, by sta- ła się Ojczyzną dla wszystkich Polaków, a w szczególności tych wszy- stkich bohaterskich synów, którzy w ciągu długich lat nigdy nie zwątpili, że doczekają się ... Niepodległej. Niestety, jasnym było, iż po pięciu la- tach okupacji niemieckiej szykuje się okupacja ... sowiecka.

W kwietniu tego roku aresztowano - w dość niejasnych okoliczno- ściach - mego brata Stanisława, który wiernie pragnął zrealizować pro- gram sojuszu radziecko-polskiego.

W końcu maja, zamiast powrotu Bolka z frontu, nadszedł list:

"Z ogromnym bólem w sercu komunikujemy Panu żałobną wiado- mość, że syn Pana, ppor ... Boleśław w dniu 27 kwietnia 1945r. zginął bo- haterską śmiercią na polu chwały. Walczył jak prawdziwy bohater, bu- dząc szacunek i podziw u swych kolegów i podwładnych. Oddał ofiarnie życie za Polskę, którą nade wszystko ukochał. Mścił nieopisane krzywdy, które brutalny sprawca germański wyrządził naszym braciom i siostrom.

Władze również oceniły Jego bohaterstwo, podając go do wysokiego odznaczenia. Z dala od rodzinnej ziemi, w mieście Germendorf, 6 km na zachód od m.Oranienburg, leży pochowany z honorami wojskowymi syn Pana ppor ... Boleśław."

Żeby dziwnej zaiste "sprawiedliwości" stało się zadość, Rodzina nasza jak prawie każda rodzina polska, musiała w tej wojnie złożyć daninę krwi. Za nas poległ Bolesław, urodzony nad Wołgą; doszedł za Odrę, by tam zgodnie z imieniem, które nosił - na Bolesławowych granicach - swą serdeczną krwią potwierdzić odwieczne prawa Polaków do ziem zachodnich, spełniając marzenia Mickiewicza, że:

*"Orły nasze lotem błyskawicy
spadają u dawnej Chrobrego granicy"*

Później, od naocznych świadków dowiedzieliśmy się o szczegółach śmierci brata. Wyglądało to następująco:

11 dni przed końcem wojny dowódca pułku przekazał bratu, jako dowódcy szwadronu spieszonoego, zadanie zdobycia przeprawy przez kanał, broniony przez hitlerowców. Czas wykonania rozkazu określiło dowództwo na 45 minut. Tak więc 70 ludzi bez ciężkiej broni towarzyszącej, miało zdobyć przeprawę znajdującą się 600 m od naszych pozycji, gdzie przedpołem było gołe pole. Poza tym Niemcy ostro ostrzeliwali się z ciężkiej broni.

Po pewnym, bardzo skromnym przygotowaniu ogniowym, brat podał rozkaz do natarcia, jednakże nikt się nie ruszał. Gdy Bolek powtórzył komendę jeszcze dwukrotnie nie znajdując żadnego odzewu, wyrzekł następujące słowa: "ja ich poderwę". Na to ordynans (luzak) powstrzymując brata:

- Niech pan porucznik nie idzie, pan zginie!

- Nie, mnie się kule nie imają, honor oficera polskiego nie pozwala nie wykonać rozkazu.

Pobiegł tylko 20 m i padł ciężko ranny. Gdy zatelefonowano do dowództwa, że brat jest umierający, wstrzymano rozkaz natarcia, doczekawszy nocy kazano wycofać szwadron do drugiej linii. Dla tych chłopców skończyła się już wojna. Wszyscy płakali na pogrzebie Bolka, bo uratował im swoją śmiercią życie. Przeprawę tę zdobyły dopiero na drugi dzień trzy kompanie piechoty! Rozkaz więc w tamtych warunkach był niewykonalny!

Nie trzeba chyba dodawać, jakie piorunujące wrażenie zrobiła śmierć Bolka na całej rodzinie, a zwłaszcza na Rodzicach. Był to ostatni, ale najpotężniejszy cios jaki spadł na nas podczas II wojny światowej.

Jeśli chodzi o wypadki polityczne z tego okresu, to wspomnieć trzeba o konferencji poczdamskiej, która uznała de facto przesunięcie granic polskich na zachód i tymczasem zagwarantowała status quo w Europie. Ciekawą ilustracją ówczesnych nastrojów jest przegranie wyborów przez konserwatystów w Wielkiej Brytanii. Churchill, premier zwycięskiego rządu, miał ustąpić miejsca Atlee'mu, który podpisał protokoły z konferencji poczdamskiej.

W końcu maja wybrany zostałem do zarządu Towarzystwa Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Warszawskiej i odtąd z dużym zapałem poświęcałem się pracy społecznej. We wrześniu przeniesiono Politechnikę z Lublina do Warszawy. Mieszkałem w domu w Pruszkowie i dojeżdżałem na wykłady, jak to miało miejsce przed wojną i w czasie okupacji. W nowym zarządzie Bratniaka zostałem przewodniczącym Komisji Gospodarczej. Muszę się pochwalić, że moją koleżanką w zarządzie była córka prezydenta Bieruta (zresztą mało aktywna). W Warszawie jeszcze gorącej oddałem się pracy społecznej, bo głównym zadaniem było stworzenie z niczego stołówki. Po niespełna miesiącu intensywnych starań stołówka została uruchomiona! Jednakże pracując dużo społecznie, zacząłem zaniedbywać studia, tak więc w maju 1946r. wystąpiłem z zarządu Bratniaka (zresztą zaczynała się wtedy psuć zdrowa początkowo atmosfera polityczna) i rozpocząłem praktykę zawodową przy odbudowie mostu im.ks.J.Poniatowskiego w Warszawie. Jednocześnie zacząłem odrabiać ćwiczenia i zdawać zaległe egzaminy.



25 lipca 1946 r. Pracownicy biurowi zatrudnieni przy odbudowie mostu Poniatowskiego w Warszawie; piąty od lewej Autor

2 czerwca 1946r., jako jeden z 60 studentów wyższych uczelni warszawskich, zostałem odznaczony przez Premiera Osóbkę-Morawskiego "Medalem Wolności i Zwycięstwa" (za udział w czasie okupacji w ruchu oporu). 22 lipca tegoż roku, w dzień oddania dla ruchu mostu Poniatowskiego, otrzymałem dyplom odbudowy Warszawy.

1 sierpnia wyjechałem do Sopotu, gdzie mój brat Stanisław osiedlił się, pracując w Urzędzie Wojewódzkim. Byłem nad morzem półtora miesiąca, pracując jednocześnie w Powiatowym Zarządzie Drogowym z dość dobrym wynagrodzeniem.

1.10.1946r. miałem zaszczyt dowodzenia zbiórką studentów Politechniki na uroczystej inauguracji nowego roku akademickiego. Ustawiłem młodzież w czworobok, podałem komendę "na prawo patrz" i złożyłem raport rektorowi Warchałowskiemu. Wielka duma napawała wtedy moje serce.

Jednakże pod wpływem przepracowania (brak wakacji) na jesieni tegoż roku rozchorowałem się i musiałem przerwać studia prawie na trzy miesiące.

24 stycznia 1947r. rozpocząłem pracę w Wydziale Komunikacyjnym Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego z siedzibą w Pruszkowie. 9 lutego tegoż roku ożeniłem się.

Narzeczoną moją znałem dwa lata. Była ona sierotą i to kompletną, bo Matka jej zmarła w roku 1941, młodszy brat zginął w Niemczech w 1944r., a Ojciec zmarł w 1946r. Po ślubie przeprowadziłem się do mieszkania małżonki. Wobec tego, że żona także pracowała i zarabiała tyle co ja, powodziło nam się nieźle, tzn. co miesiąc pozostawała nam pewna kwota pieniężna na jakieś inwestycje.

Jeśli chodzi o moją pracę, to nie byłem specjalnie nią zachwycony, ale pocieszałem się, że pracując w Oddziale Mostów dojdę po pewnym czasie do perfekcji w tej trudnej dziedzinie inżynierii. Stosunki w biurze układały mi się pomyślnie, byłem zwalniany na wykłady i uwzględniano fakt, że jestem studentem.

Chciał bym choć trochę zatrzymać się na wrażeniu, jakie zrobiło na mnie zawarcie małżeństwa. Krok ten bezsprzecznie traktowałem poważnie i wiedziałem, że rzutować on będzie nie tylko na moją przyszłość, ale na przyszłość tej całej komórki społecznej, jaką jest rodzina. Nie wyobrażałem bowiem sobie nawet przez chwilę, abyśmy mogli żyć bez potomka. Najciekawsze, że z góry było ustalone, iż pierwszym dzieckiem musi być koniecznie syn i damy mu na imię Bolesław - dla uczczenia mego poległego na polu chwały brata. Żona moja była kobietą poważną, z charakterem, przy tym była ładna, wysoka, tak, że niektórzy twierdzili o nas "w korcu maku się szukali". Nie chcę wystawiać sobie cenzurki za postępowanie swoje w owym czasie, ale wydaje mi się, że dojrzałem do małżeństwa i nigdy w zasadniczych sprawach mu się nie sprzeniewierzyłem. Czy byłem dobry dla żony? Sądzę, że mógłbym być lepszy, tym bardziej, że ona była dla mnie bardzo dobra.

Pożycie małżeńskie brata - Staśka układało się także dobrze, w tym czasie mieli już oni dwóch chłopców (ur. 1945 w Lublinie i 1947 w Sopocie). Rodzice moi uczyli w gimnazjach: Mama w Pruszkowie, Ojciec w Warszawie.

Latem 1947r. wyjechaliśmy z żoną na wczasy do Szklarskiej Poręby - był to pierwszy nasz miesiąc miodowy, spędzony wśród piękna przyrody i w warunkach pełnej beztroski.

Jednego tylko w tym czasie żałowałem: że nie mam czasu ani możliwości oddawać się uprawianiu przynajmniej jednej dyscypliny sportu. Uważałem, iż pod tym względem wyraźnie marnuję się i odmawiam sobie (jakby dla wyższych celów) przyjemności, jaką daje uprawianie sportu.

3 czerwca 1948 roku otrzymałem absolutorium i pozwolenie na rozpoczęcie dyplomowej pracy magisterskiej.

6 czerwca tegoż roku urodził się nasz upragniony synek - Bolesław Norbert. Przyszedł na świat co do godziny w czterolecie wyładowania wojsk alianckich w Normandii (6.06.1944r.). Było to wielkie święto w naszej rodzinie, do którego przyczyniłem się w pewnym stopniu i ja, ponieważ poród odbył się w domu. Jednakże wszystko poszło gładko, bez żadnych powikłań tak, że oprócz zwykłych w takiej sytuacji emocji nie było żadnych kłopotów.



Sierpień 1948 r. Plaża w Sopocie. Od lewej: St. Ostrowska, B. Jakubowski, Leon i Juliusz Ostrowscy

pierś na myśl o swoim drogim potomku. Tylko te chwile dają pełną rekompensatę za dodatkowe obowiązki i obciążenia, jakie łączą się z posiadaniem potomstwa. Dopiero wtedy człowiek zdaje sobie sprawę ze swego posłannictwa gdy wie, że schodząc ze świata pozostawia swoich następców. Nowe zadania wychowawcze wyrabiają ostrzejsze spojrzenie na ujemne cechy swego charakteru oraz mobilizują do lepszego postępowania w myśl zasady, że przykład jest najlepszą metodą właściwego wychowania innych.

Sprawie swego wykształcenia ogólnego poświęcałem teraz (w trakcie wykonywania pracy dyplomowej) mniej czasu, jednakże w dalszym ciągu czytałem trochę wartościowych książek i uczyłem się obcych języków.

Ponadto interesowałem się bardzo polityką. Z sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, nie byłem bardzo zadowolony. W moim pojęciu nie była ona Ojczyzną dla wszystkich Polaków.

Cierpiałem nad tym osobiście i dlatego nigdy w tych latach nie czułem się w pełni szczęśliwy. Nie łączyłem szczęścia z "pełną kieszą" lecz z zadowoleniem społeczeństwa, w którym żyłem. Jeżdżąc dużo po terenie, sty-

Z całego serca i z całej duszy wdzięczny byłem swej kochanej żonie za to dzieciątko, które zgodnie z naszymi pragnieniami okazało się płci męskiej. Życie potoczyło się swoją koleją: ja wyjechałem wykonać prace polowe do projektu dyplomowego, żona zaś z synkiem do swej babci na wieś koło Konina - w poznajskim.

Wielkie wzruszenie i dumą ojcowska rozpierła mi



Leon Ostrowski ze swym najstarszym wnukiem Maciejem (synem Stanisława); lato 1946

wrotne kariery ludzi, którzy niczym obiektywnym na to nie zasłużyli, patrzyłem na świadome poniżenie naszych naprawdę wartościowych ludzi, aż wreszcie po pewnym czasie przestałem się wszystkiemu dziwić. Zaczynałem się dopracowywać postawy nihilistycznej. Od pełnego pograżenia się w niej uratowała mnie jedynie silna wiara w rządy Opatrzności.

Na jesieni 1948r. zapisałem się do Naczelnej Organizacji Technicznej i odtąd stałem się jej aktywnym działaczem. Doszedłem do wniosku, że program pozytywistów jest najbardziej aktualny dla życia w ówczesnej Polsce. Toteż postanowiłem pogłębiać stale swą wiedzę zawodową i stać się dobrym specjalistą w dziedzinie budowy mostów i dróg.

Muszę zaznaczyć, że jako pracę dyplomową robiłem wykonawczy projekt drogi i mostów, tak że otrzymywałem dodatkowe wynagrodzenie, przewyższające nawet moje pobory w biurze. Powodziło nam się w dalszym ciągu dość dobrze. Od września 1948r. zaangażowała żona nianię, żeby móc powrócić do pracy. W tym samym czasie nacierpiła się ona

kając się z przedstawicielami najróżniejszych warstw wiedziałem, że ludziom na ogół żyje się kiepsko. Jednakże w ówczesnej sytuacji politycznej nie wiele można było wpłynąć na jakieś zmiany. W dalszym ciągu "system" zmuszał człowieka do pograżania się, wbrew własnej woli, w emigracji wewnętrznej. W pewnym sensie zaryzykować można stwierdzenie, że w tamtych czasach przeżywałem dramat osobisty: nie mogłem z pożytkiem dla kraju wykazać swojej aktywności. Cierpiałem nad tym bardzo, modliłem się gorąco o zmiany, nie przespałem wielu nocy, rozmyślając nad tym jak sprawiedliwość daleka jest od jej realizacji. Patrzyłem na za-

bardzo, bo miała operowany wrzód piersi, w związku z tym o dwa miesiące przedłużył się jej urlop macierzyński. Synek rozwijał się bardzo dobrze, był duży i dość ładny.

18 kwietnia 1950r. urodziła się córeczka Małgorzata-Klara. Ja w tym czasie miałem trzymiesięczny urlop bezpłatny na definitywne ukończenie Politechniki. W końcu maja tegoż roku żona wraz z dziećmi i nianiusią wyjechała na wieś, a ja zostałem sam w domu, przygotowując się do egzaminu dyplomowego. Egzamin ten zdałem 30 września 1950 r. otrzymując dyplom inżyniera budownictwa lądowego - magistra nauk technicznych.

V. 1950-1956. Lata „kultu jednostki”

Otrzymanie dyplomu uważałem za ważny moment w swoim życiu, przekonany że z tą chwilą stałem się dojrzałym człowiekiem.

Ten rozdział mej biografii zbiega się z początkiem ustawy o planie sześćoletnim, planie, jak to się początkowo mówiło, sytości i dobrobytu. Później dowiedzieliśmy się, że w okresie tym nastąpiło nasilenie rządów opartych na kulcie jednostki.



Autor uprawiający "białe szaleństwo", Zakopane, luty 1950 r.

W każdym razie, gdy na drugi dzień po egzaminie jechałem do żony na wieś, czułem się jakiś lżejszy, ważniejszy i szczęśliwszy. Miałem 27 lat, wyższe studia ukończone w bardzo ciężkich warunkach, zorganizowany dom, dwoje bardzo przyjemnych dzieci cieszących się dobrym zdrowiem, kochanych rodziców. Mógłbym więc być człowiekiem w pełni zadowolonym z życia, gdyby nie pewne istotne zastrze-

żenie. Muszę tu zacytować Mickiewiczowskiego "Wallenroda": "...szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie". Bolałem nad tym, że w dalszym ciągu nie mogę oddać swych wszystkich sił w pracy dla Ojczyzny. Wydawało mi się, że wina leżała po jej stronie, bo odnosiła się do ludzi mego pokroju ze zbytnią nieufnością.

Po powrocie z urlopu do pracy w biurze, dostałem wyższą grupę i stanowisko zastępcy kierownika Oddziału Mostów. Do charakteru pracy przyzwyczałem się już, chociaż wiedziałem, że dla zyskania pełnej fachowości za mało poznawaliśmy w czasie studiów samą budowę mostów.

W marcu 1951 r. zostałem wybrany przewodniczącym Rady Miejskowej. Wybór ten potraktowałem poważnie, pragnąc według swych sił i możliwości pracować społecznie. Jak się po roku okazało, zaliczano mnie do najlepszych przewodniczących, a Rada była w czasie mojej kadencji bardzo żywotna.

W tym samym czasie miałem być powołany na oficera zawodowego do wojska, lecz przynależność w czasie okupacji do AK była wystarczającym powodem dla zrezygnowania przez władze wojskowe z mojej osoby.

1 stycznia 1952 r. Wydział nasz przekształcił się na Wojewódzki Zarząd dróg Publicznych. Wobec tego, że mój kierownik przeniesiony został do Centralnego Zarządu Dróg Publicznych, ja awansowałem o dwie grupy, zostając kierownikiem Oddziału Mostów. Byłem najmłodszym ze wszystkich kierowników oddziałów. Bardzo mi to imponowało.

Cofając się w swoich rozważaniach muszę zaznaczyć, że brat mój Stanisław w roku 1947 wstąpił do PPR, upatrując w programie tej partii politycznej dobro Polski. Był bardzo aktywny - w przeciwieństwie do wielu innych członków partii - należał do niej z przekonania i ... w roku 1951 został wydalony za odchylenia prawicowe (Gomułkowszczyzna). Żałowałem wtedy szczerze brata, ale nie dziwiłem się wcale takiemu obrotowi wypadków, ponieważ w moim przekonaniu po PPR można się było wówczas wiele spodziewać. Likwidacja PPS drogą wchłonięcia jej przez PZPR nie była chyba pociągnięciem najszcześniejszym. Wyglądało na to, że wszystko co tradycyjne, nawet tradycje lewicowe, są eliminowane. Ówczesna rzeczywistość dążyła do całkowitego odcięcia się od przeszłości, tymczasem naród - to pokolenia minione, obecne i przyszłe.

Jeśli chodzi o mnie, to do partii nie wstąpiłem, uważając że przy silnej wierze nie można propagować materialistycznego podejścia do świata i życia. Pomijam już tu zupełnie względy polityczne. Jednakże począwszy od roku 1950 byłem wybierany do Zarządu Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Naukowo-Technicznego Inżynierów i Techników Komunikacji i tam właśnie starałem się żyć społecznie. W opinii moich kolegów uchodziłem za dobrego mówcę, na wszelkich plenarnych zebraniach zawsze zabierałem głos. Jak wiem od słuchaczy, przemówienia moje były ciekawe, bo charakteryzowała je głębia i nie sztampowe ujęcie tematu. Jednakże ja sam nie byłem z nich zadowolony, bo czułem się skrępowany i zawsze wiedziałem, że nie są to przemówienia, które chciałbym wygłosić, że nie mogę wypowiedzieć się do końca szczerze.

Jako kierownik Działu Mostów pracowałem w biurze bardzo intensywnie, lecz rezultaty pracy działu nie były takie, jakie chciałbym widzieć. Mój młody zespół nie wykazywał bowiem entuzjazmu w pracy, każdy skarżył się, że niewiele zarabia, a inżynierowie z nakazu pracy traktowali zajęcie u nas jak pańszczyznę, czekając tylko okazji by się "urwać". Gdy przekonałem się, że moje oddziaływanie na powierzonych mi ludzi nie odnoszą pożądanego skutku, na początku 1953 r. poprosiłem o przeniesienie mnie na stanowisko inspektora nadzoru budowy mostu drogowego przez Wisłę w Górze Kalwarii. Prośba moja została przed dyrekcją uwzględniona i w połowie tegoż roku zostałem definitywnie przesunięty na nową placówkę. Podejście do pracy mego personelu było jednym z motywów zmiany "mojej pozycji", to jednak główną przyczyną była chęć poznania dużej budowy. Tam poczułem się od razu lepiej, nowe problemy techniczne, życie z załogą, piękno natury - wszystko to razem dawało mi zadowolenie a nawet radość.

Miałem dużo nowych kłopotów (zupełnie innej natury) ale wiedziałem, że to, co zależy ode mnie, będzie zawsze załatwione dobrze i terminowo. Nie chcę tu szczegółowo opisywać, jak to na swoją odpowiedzialność wziąłem kontynuowanie montażu całego mostu zimą i jak zdążyliśmy na jeden dzień przed pochodem lodów (metrowej grubości) zabezpieczyć ostatnie przęsło wartości kilku milionów złotych; jakie napięcie nerwowe cechowało całą załogę i kierownictwo, gdy niedaleko od Warszawy przy

35°C mrozu i dużym wietrze, w nocy, polski robotnik dokonywał montażu zimnej konstrukcji stalowej mostu, w warunkach podobnych do opisywanych w powieści Ażajewa "Daleko od Moskwy".

14 listopada 1954r. w czasie oddania do użytku mostu zostałem, między innymi, odznaczony przez ministra Transportu Drogowego i Lotniczego Srebrnym Krzyżem Zasługi. Wniosek opiewał na złoty, ale komitet PZPR obniżył - dobre i to!



5 października 1954 r. - Góra Kalwaria - autor (trzeci z lewej) przy teodolicie



Stanisława Mizerska "Nianiusia" - przyjaciół i dobrych duchów rodziny Juliusza i Klary

Trzeba wspomnieć, że 6 sierpnia tegoż roku urodziła się w Koninie nad Wartą druga córeczka (a trzecie dziecko) Klara Stanisława.

W roku 1955 miałem po dwóch latach nerwowej krzątaniny, trochę lżejszą pracę: nadzór nad robotami wykończeniowymi budowy w Górze Kalwarii.

Mimo to jesienią zachorowałem i przez prawie trzy miesiące korzystałem z lekarskiego zwolnienia z pracy.

Życie w domu układało się dość pomyślnie. Miewaliśmy, oczywiście, kłopoty materialne, ale zawsze się z nich jakoś wychodziło. Dzieci na ogół chowały się zdrowo, Nianiusia zaangażowana w 1948 roku pracowała w dalszym ciągu, dzieląc wspólnie z nami kłopoty, traktowana jak członek rodziny.

Na jesieni 1955 r. synek poszedł do szkoły, co było dla nas wielkim przeżyciem.

Po powrocie do pracy na początku 1956 roku zlecono mi nadzór nad robotami przy naprawie mostu i wiaduktu im. ks. J. Poniatowskiego w Warszawie. Muszę zaznaczyć, że od roku 1954 pracowałem jednocześnie na pół etatu w Wojewódzkim Biurze Projektów w Warszawie.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że w październiku 1955 r. zostałem odznaczony przez ministra Transportu Drogowego i Lotniczego Medalem X Lecia.

Tak więc posiadałem już trzy odznaczenia, które otrzymałem od Polski Ludowej, mimo wielu do niej zastrzeżeń, czego nie ukrywałem.

Żona, po rocznej przerwie, jesienią 1952 r. rozpoczęła pracę w PKPG w Warszawie. Wyższe studia przerwała, bo na przeszkodzie stanęło macierzyństwo i obowiązki pani domu. Nie zawiodłem się więc, uważając już przed 10-ciu laty, że jest dobrym materiałem na matkę i żonę. A to jest wielki los na loterii życiowej!

XX Zjazd KPZR był wydarzeniem sięgającym daleko poza granice ZSRR. Pociągnął on za sobą zasadnicze zmiany zarówno w polityce jak i w ideologii, czy moralności. Ujawnienie całej ohydy, jaka połączona była z wyznawanym dotychczas prawie bezkrytycznie kultem jednostki, prze-

konała teraz świat o obłudzie systemu, który miał się nazywać (chyba na urągowski) systemem sprawiedliwości społecznej bez "wyzysku człowieka przez człowieka".

W Polsce jednakże zasadnicze zmiany nastąpiły w pół roku po wspomnianym zjeździe, to jest po VIII plenum KC PZPR, ale niestety nie na długo.

Wierzcie mi, że po 17 latach dopiero w tych dniach bezkrwawej, a zwycięskiej polskiej rewolucji 1956 r. odetchnąłem wreszcie spokojniej. Wolna Polska obecna dotąd tylko w marzeniach, zdawała się być dotykalna. Od nas tylko zależy, jak to szybko nastąpi, a przecież mówiąć słowami wieszczka:

*"Jest tyle sił w narodzie,
Jest tyle mnogo ludzi.
Niechaj w nie, duch twój wstąpi
I śpiące niech pobudzi."...*

VI. Moja wizja przyszłości

Mając 34 lata, troje dzieci, 10-letni dorobek pracy zawodowej i pożycia małżeńskiego, wydawało mi się, że czasu nie zmarnowałem. W tych bardzo trudnych warunkach, jakie były i są udziałem mojego pokolenia, w swojej karierze życiowej posiadałem dorobek bezsporny. Nie szedłem i nie idę na łatwiznę życiową. Pragnąłem wszystkie swoje siły, całą wiedzę i doświadczenie oddać w służbie Ojczyzny. Zaistniały również warunki do nowego startu. Stale przyświecała mi zasada: "per aspera ad astra".

Było przed nami jeszcze wiele trudu, ale osiągnięcie pełnego zwycięstwa wydawało się już bliższe. Autobiografia ta to próba syntezy. To wyznanie wiary inteligenta polskiego, dotychczas zawiedzionego, ale nie załamane, zahartowanego w bojach z wrogim i w bojach najtrudniejszych - staczanych nie na polach bitew - lecz z samym sobą, ze swoją nieokiełznaną dumą. Z pewnością zaszeregować siebie muszę do pokolenia romantyków, ale śmiem twierdzić, że bez pewnej, choćby niewielkiej, dozy romantyzmu, życie traci wiele ze swych blasków i radości, a tym samym i ze swej wartości.

Na koniec przedstawię pobudki, jakie skłoniły mnie do napisania niniejszej pracy konkursowej:

- zapoznanie innych ze zdrową atmosferą wychowawczą, jaka panowała w naszym domu;

- ujawnienie postaci bohatera, jakim bezsprzecznie był mój najstarszy brat - Bolesław:

- przedstawienie jakże ciężkiego życia prawego Polaka, nie tylko w czasie okupacji niemieckiej, ale także w okresie kultu jednostki.

Nie sądzę, by praca ta została wyróżniona; materiał, który podałem nie jest może zbyt bogaty i zbyt ciekawy. Trudno, nic nie zmyślałem!

Interesującą stroną tej autobiografii jest z pewnością fakt, że pisał ją człowiek, który przez cały czas nie zmieniał prawie (poza półrocznym pobytem w Lublinie) miejsca zamieszkania. Wypadki toczyły się wokół niego, a on obserwował, wchłaniał i co zapamiętał - wraz ze swym komentarem - opisał.



Dzieci Juliusza i Klary: Bolesław Norbert, Małgorzata Klara i Klara Stanisława w 1957 r.

Staralem się, żeby z tych kart przebijała szczerość. Czas swój i trud, jaki włożyłem w tę pracę, będę uważał za całkowicie zrekompensowany, jeśli czytający ją uchylą czoła przed wspomnieniem mego poległego brata i oddadzą hołd pamięci mych Rodziców, doskonałych pedagogów i wychowawców kilku pokoleń młodzieży pruszkowskiej.

Jak wyobrażam sobie przyszłość? Najbardziej optymistycznie. "Zapanuje jeden pasterz i jedna owczarnia".

Komunizm pójdzie trochę na prawo, kapitalizm na lewo i świat spotka się w jednym punkcie, by w wieku atomowym rozpocząć nowe, wspaniałe życie. Polska odegrać powinna w tym procesie poważną rolę, jako pomost łączący dwa światy.

Warszawa, 13 lutego 1957 r.

Wstęp do części II

W dniu dzisiejszym, tj. 12 września 1995 r. (w godzinach wieczornych) zadzwoniła do mnie pani Zofia Chmurowa - z Redakcji "Przeglądu Pruszkowskiego" - i (ku mojemu zaskoczeniu) zaproponowała mi zamieszczenie "Autobiografii inteligenta polskiego" napisanej przeze mnie w 1957 roku i obejmującej okres od roku 1935 (to jest od roku śmierci Józefa Piłsudskiego, jedynego marszałka Polski z prawdziwego zdarzenia) do jesieni 1957 roku, to znaczy do "Gomułkowskiej odwilży".

Pani redaktor zaproponowała mi ponadto kontynuację tej autobiografii do czasów współczesnych, to jest do 1996 roku. Prawie 40 lat!

Nie wiem dlaczego, ale wyraziłem zgodę prawie natychmiast; teraz - a piszę te słowa w sobotę 16 września 1995 r. - znalazłem najprostszą odpowiedź: chciałbym przedstawić nie swoje osiągnięcia długiego już przecież życia (a mam 72 lata), lecz kawałek prawdziwej historii Polski, to jest "kawałeczka Polski", która była w zasięgu mojego wzroku, mojej percepcji i ... mojego serca.

Chciałbym, a to będzie gigantyczna praca, odsunąć trochę swoją postać, przybliżając Czytelnikom ten świat i tę dziwną, a tak splątaną różnymi więzami naszą Ojczyznę, która na moich oczach skończyła już 60 (słownie: sześćdziesiąt) lat!

I jeszcze jedno: chciałbym - a czy mi się to uda, ocenią Czytelnicy - być w tej czterdziestolatce obiektywny, bo tylko wtedy będę uważał, iż zdałem ten bardzo trudny egzamin przynajmniej z wynikiem dostatecznym.

Juliusz Ostrowski



Kontynuując moją autobiografię, pragnę sprecyzować moje miejsce na tle drugiej połowy lat pięćdziesiątych. Jestem magistrem inżynierem budowy dróg, mostów i lotnisk. Na szczęście swojego wykształcenia nie zawdzięczam Polsce Ludowej, co w odniesieniu do półinteligentów i inteligentów w pierwszym pokoleniu tak skwapliwie podkreślali "właściciele" PRL.

Wobec tego, że to co napiszę, będą przeglądali raczej ci, co przeczytali w życiu nie tylko jedną książkę, więc nie rozwijam tej myśli dalej. Jeśli chodzi o wykształcenie (to co napiszę odnosi się do całego tzw. "Pokolenia Kolumbów") to II Rzeczpospolita nie ma się czego wstydić. Stworzyła

w "tri miga" szkolnictwo (powszechne) na takim poziomie, do którego nie doszła komuna przez 45 (słownie: czterdzieści pięć) lat.

W tym "swoim" szkolnictwie popełniła śmiertelny grzech, ponieważ 2 1/2 (słownie: dwa i pół) Pokolenia Polaków uczyło się historii ze świadomie zafalszowanych podręczników.

Niestety, tego nie da się od zaraz naprawić! Niech sprawcy tej moralnej zbrodni nie mają już do końca swoich dni spokojnej starości.

W drugiej Rzeczypospolitej większość nauczycieli, (w tym moi Rodzice), szło na wyższe czy półwyższe studia pedagogiczne z powołania. Teraz odnosi się to do najwyższej 20% kadry pedagogicznej. Reszta to urzędnicy, którzy stali się "pedagogami" przez przypadek; przeważnie drogą odsiewu z innych wyższych uczelni, przygotowujących do zawodów bardziej popłatnych. Zadaję teraz retoryczne pytanie: kto ma w Polsce kształcić młodzież na poziomie XXI wieku? Czy ci, którzy strajkują?!!!

Mówiąc o szkolnictwie nie sposób nie wspomnieć o patriotyzmie. I tu znów miniona mroczna epoka przegrała z kretesem z II Rzeczypospolitą.

Pokolenie "Kolumbów" (bo tak będę je nazywał) wychowane zostało na przepięknej rzymskiej maksymie, która w oryginale brzmi: "Salus Rei Publicae suprema lex esto", co w wolnym tłumaczeniu - na język polski - przyjmuje postać: "Zdrowie (szczęście, pomyślność) Rzeczypospolitej niech będzie najwyższym prawem". I teraz, z całą odpowiedzialnością za to co mówię, muszę stwierdzić, że 90% Polaków wierne było tej idei zarówno w szkolnictwie jak w życiu. Potwierdziła to krwawa danina ich krwi w czasie wojny i okupacji (1939-1945), którego apogeum było Powstanie Warszawskie (1.08.1944-2.10.1944).

Tu pozwolę sobie na ocenę potrzeby i sensu Powstania; otóż (potwierdziły to źródłowe publikacje historyków i moja obserwacja): "gdyby nie wybuchło Powstanie, Czerwona Armia razem z "Berlingowcami" zdobyłaby Warszawę z marszu i nasza Stolica stałaby się miastem frontowym; strasznego okaleczenia miasta i ofiar ludności nie dałoby się uniknąć".

Nawiasem mówiąc, wiemy doskonale, jak krasnoarmiejcy zachowują się w takich okolicznościach.

W tym miejscu nie będę już się cofał do tego, co najwięcej boli nasze Społeczeństwo, lecz zacznę spokojnie wypełniać zadanie, jakie postawiły przede mną przemiłe i przemądre ^{x)} Panie Redaktorki "Przeglądu Pruszkowskiego".

Muszę przypomnieć, że przez dwa lata (1937/38 i 1938/39) byłem w klasie III-A i IV-A (z językiem francuskim) uczniem "Stasi", tzn. prywatnie mojej Kochanej Mateczki. Jak to zaczynam pisać, to proszę Ją, żeby kierowała moją ręką, bo do Mistrzyni to mi bardzo a bardzo daleko.

^{x)} Gruba przesada, ale doceniamy kurtuazję Autora - Redakcja.

A więc mają to być wspólne dzieje rodziny Ostrowskich, bo i Ojca, i Matki, i porucznika kawalerii Bolesława, i tragicznie zmarłego w lutym 1995 r. pod lodem jeziora Gołdap - Stanisława; a właściwie to pragnąłbym, aby utożsamić się mogli z tym tekstem wszyscy Zaniacy i wszyscy Pruszkowiaczy, bo to ma być "Krótki kurs historii Polski na tle rozwoju miasta (chciałem dodać stołecznego) PRUSZKOWA.

VII. Lata 1957 - 1967

Podział na te dekady nie wynika z jakichś wyjątkowo ważnych wydarzeń, lecz po prostu z faktu, że pierwsza część mojej autobiografii "inteligenta polskiego" (tak to się wtedy nazywało) kończy się na dacie 13 lutego 1957 r., ale wcale nie jestem pewien, czy z wykształceniem wyższym, ale technicznym, zaliczam się do inteligentów. Coś z łaciny przypominam sobie, że intellegere znaczy rozumieć. A ja powiem Państwu otwarcie: tego dzisiejszego świata nie mogę zrozumieć.

Luty 1957 r. - miałem wtedy 34 lata, małą maturę, tajną naukę, tytuł technika drogowo-kolejowego i inżyniera, o czym już wcześniej wspominałem. Byłem od 10 lat żonaty, miałem troje dzieci (syna i dwie córki), oczywiście żonę i chyba największy skarb - pomoc domową w postaci Stanisławy Mizerskiej, która zmarła 3 grudnia 1994 r. .po 46 latach pracy u nas. Nazywaliśmy ją "Nianusią". Od początku traktowana była jak członek rodziny. Niech nasza dobra pamięć o Niej będzie skromną nagrodą za Jej ofiarną i prawie bezinteresowną pracę.

Dotychczas pracowałem w Oddziale Mostowym Wojewódzkiego Warszawskiego Wydziału Komunikacji z tymczasową siedzibą w Pruszkowie. Gdy 1 stycznia 1952 r. powołano do życia Wojewódzki Zarząd Dróg Publicznych (duże województwo) zostałem kierownikiem Działu Mostów, a była to funkcja bardzo ważna, ponieważ cały czas "śmierdziało wojną", a wiadomo, że mosty mają to do siebie, że służą i celom cywilnym, ale także militarnym.

Siedzibą naszą był w Warszawie "dom pod sedesami", tzn. przy ul.Sienkiewicza 12 (V piętro). Piszę o tym tak szczegółowo, bo cały czas mieliśmy doskonały wgląd na budowę "daru", tzn. Pałacu Kultury i Nauki, a w październiku 1956 r. z dachu tego budynku byliśmy bezpośrednimi świadkami triumfalnego powrotu do władzy Władysława Gomułki.

Ale w drugiej połowie 1957 r. coś w tej polskiej, bezkrwawej rewolucji zaczęło się psuć. Zlikwidowano "PO PROSTU", które przez cały czas wydawania było "rozchwytywane" przez Czytelników.

W tym momencie przyszło mi do głowy następujące skojarzenie: skończyło się "Po Prostu", a zaczęło się "po krzywo", tzn. tow. Wiesław szybko zweksłował na manowce.

Chyba wtedy powstał kawał: "partia jak mówi, że nie da, to nie da, ale jak mówi, że da to ... mówi".

I teraz refleksja: jak to się stało, że kilkunastu "desantowców" mogło tak zniewolić naród i tyle lat nim rządzić?

Odpowiedź jest prosta: kilkadziesiąt tysięcy prężnych, wykształconych ludzi kolaborowało z władzą, nie zastanawiając się wcale nad tym, z czyjego nadania ta władza w Polsce i innych "demoludach" zainstalowała się? Chyba teraz pytanie to jest dla wszystkich (w tym także "bohatera" narodowego Wojciecha Jaruzelskiego) pytaniem retorycznym.

1 października 1957 r. zacząłem pracować jako starszy inspektor nadzoru w Kierownictwie Budowy i Dokumentacji Trasy Mostowej i mostu przez Wisłę, która to trasa od niedawna nosi imię bohaterskiego prezydenta Warszawy - Stefana Starzyńskiego.

Zdecydowałem się na ten krok, ponieważ przez 10 lat "obskoczyłem" całe (dawne, tzn. duże) województwo warszawskie, a teraz miałem bardzo ciekawe i trudne z punktu widzenia inżynierskiego zadanie - spiąć obie części Warszawy trasą z prawdziwego zdarzenia.

Wszystkim humanistom, tj. historykom, polonistom, socjologom, prawnikom, ekonomistom itd. muszę wyznać szczerze: nigdy, ale to nigdy nie będziecie przeżywać takiego zadowolenia (nawet dumy) z najlepiej wykonanego przez siebie zadania, w porównaniu z przeżyciem jakie ma miejsce, gdy inżynier (a szczególnie inżynier budowy mostów) pokona żywioł i przewycięży wszystkie trudności, patrząc na swój projekt w skali 1:1. My po prostu kochamy swoje dzieła, a gdy uświadomimy sobie, jaką one spełniają funkcję społeczną, to naprawdę mamy powody do dumy.

Trzeba tu dodać, że podobnie jak mamy wrodzoną słabość do konnicy, jazdy, kawalerii, tak niegdyś sławnej narodowej formacji, to w równym stopniu mają Polacy "smykałkę" do budowy mostów. Może dlatego, że ich funkcja polega na łączeniu, nie dzieleniu.

Gdy 22 lipca 1959 r. premier Józef Cyrankiewicz przyjechał na otwarcie tej trasy (dołem był most dla tramwajów, a górą dla samochodów), to wszyscy zebrani bili budowniczym brawo - to jest bardzo duża nagroda. Robić, coś, co cieszy całe społeczeństwo. To, że przy okazji otrzymałem "Złoty Krzyż Zasługi", jest mniej ważne.

W tym miejscu zastanawiam się, jakim premierem był Józef Cyrankiewicz, a może najpierw zapytać jakim był człowiekiem?

Z wykształcenia był prawnikiem, cierpiał w czasie okupacji, będąc więźniem Oświęcimia, a poza tym operował doskonałą polszczyzną, co

go wyróżniało z całej plejady towarzyszy. Ale miał straszny grzech na sumieniu: dla żądzy władzy sprzedał Polską Partię Socjalistyczną z jej wspaniałym, niepodległościowym rodowodem. Było to tym perfidniejsze, że wielu Polaków, żeby nie wstępować do PPR zapisywało się do PPS. Potem, jak wiemy, od 15 grudnia 1948 r. powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (która zawsze miała rację). Co jeszcze napisać można o Cyrankiewiczzu? Że był najmłodszym szefem rządu i jak się później okazało, najdłużej premierował ze wszystkich swoich kolegów z innych "demoludów".

W Kraju następowała jakaś stabilizacja (chyba jednak bardziej biedy, niż bogactwa), a Gomułka coraz żwawiej odchodził od programu, który przywrócił mu władzę w 1956 roku.

W domu zacząłem mieć kłopoty, bo moja żona po urodzeniu trojga zdrowych dzieci (1948, 1950 i 1954) zaczęła mieć kłopoty ze zdrowiem i co najgorsze... psychicznym. Bez gosposi, o której już wspomniałem w samych superlatywach, nie wyobrażam sobie naszego życia przy dość częstych pobytach żony w szpitalu.

Ale pocieszałem się, że w każdym domu (nie tylko polskim) także są jakieś zmartwienia, które trzeba przezwyciężać. To się nazywa (trochę uczenie) motywacją. A wspominając o motywacji - powiedzmy do życia - jest to cecha wyjątkowo dodatnia, bo stanowi siłę napędową naszego, a może lepiej powiedzieć - każdego działania.

Na podstawie swojej własnej znajomości historii, mogę zaryzykować twierdzenie, że wielkie potęgi, czy wielkie imperia, albo wielkie państwa (w tym Polska) gdy zaczynało brakować im motywacji ... upadały. Tutaj należy dodać, że motywacja źle ukierunkowana także może być przyczyną nieszczęścia.

Bo na przykład trudno się zgodzić ze znanym Machiawellowskim stwierdzeniem, że "cel uświęca środki". Stwierdzam jednak, że zaczynam wkraczać w dziedzinę filozofii (a Mama mówi-



Rok 1960. Juliusz Ostrowski zwiedzający Moskwę

ła mi, że mam skłonności do dygresji), spróbuję zdyscyplinować się i "iść do przodu" zgodnie z programem, który umieściłem na początku.

A więc jest rok 1960 - na świecie w dalszym ciągu "zimna wojna" i cały szereg małych, ale krawych wojenek czy ludobójstwa (bo nie skończyło się ono w roku 1945, po najkrwawszej z dotychczasowych wojen).

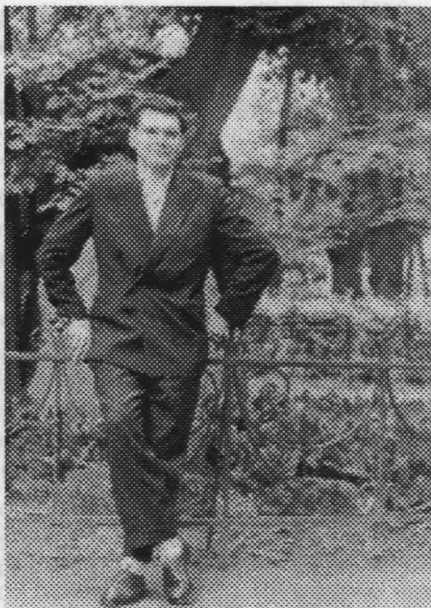
W Polsce szarżyzna, niby mała stabilizacja, ale na bardzo niskim poziomie, nie ma bezrobocia, bo dwóch robi to samo, co z powodzeniem (przy większej motywacji) mógłby zrobić jeden.

A my, tzn. inżynierowie z Trasy Mostowej wykonujemy kolaudację zakończonej budowy. Jest to zbiór dokumentów, z których wynika zużycie materiałów, koszty i zgodność wykonanych prac z zatwierdzoną dokumentacją techniczną. Po mojemu, dokumentów tych było zbyt dużo, ale biurokracja musiała kwitnąć, bo inaczej nie byłoby dodatkowych miejsc pracy. "Rozbuchanie" ponad miarę biurokracji (w szczególności dokumentów księgowych i finansowych) wynikało z braku zaufania do obywatela.

To był stalinowski model: "ufać i (ale) kontrolować" - jedno zaprzecza drugiemu.

Z pierwszym dniem stycznia 1961 roku powołano do życia Zarząd Dróg i Mostów w Warszawie, którego dyrektorem d/s inwestycji został mój kolega (może więcej niż kolega) mgr inż. Andrzej Markowski. Nie byłoby w tym fakcie czegoś szczególnego poza tym, że miał on wtedy 26 lat (jest młodszy ode mnie o 10 lat). Ale to naprawdę był facet wybitnie zdolny i nadający się na szefa. Nasze Kierownictwo (budowy Trasy Mostowej), a ja jako Kierownik Działu Nadzoru i Dokumentacji Tras Mostowych zostaliśmy na ulicy Wenedów (podczas gdy centrala mieściła się przy ul. Chmielnej 120).

Wymieniam tu nazwisko Andrzeja, bo poza tym, że był świetnym inżynierem i organizatorem, doskonale grał w brydża jako mój fix partner. Odnieśliśmy razem na tym polu sporo sukcesów.



Rok 1960. Autor w Rydze

Wspominając swoich Rodziców, pragnę przekazać Czytelnikom scenę rodzinną. Otóż jedząc drugie śniadanie słyszałem jak Ojciec (matematyk) mówi:

- Uczennica X doskonale się uczy i chyba postawię jej piątkę na koniec roku.

Mama:

- A ja nie wiem, czy z polskiego będzie mogła otrzymać stopień dostateczny. -

Świadczy to o tym, że nie jest warunkiem odosobnionym posiadanie przez młodzież uzdolnień jednokierunkowych, humanistycznych lub matematyczno-fizycznych, albo mówiąc szerzej - do nauk ścisłych.

U Mamy podziwiałem sumienność: mimo, że urzędowała często klasówki i miała do poprawiania ogromną ilość wypracowań, mimo że cały czas śledziła prasę, a głównie tygodniki literackie, mimo, że czytała wiele świeżo wydanych książek, to zawsze (choć krótko) przygotowywała się do wykładu. Tak, wykładu, bo inaczej nie można było nazwać prowadzonych przez nią lekcji.

Najgorszym okresem roku szkolnego był dla niej przełom maja i czerwca, bo stawiała często przed dylematem, dwójki na czyimś świadectwie końcowym, co przesądzało o konieczności repetowania klasy; dla rodzin niezamożnych był to cios ekonomiczny. Matka mówiła, że miała wówczas bezsenne noce.

Jeżeli chodzi o Ojca, to nie był przekupny (teraz powiedziałoby się "skorumpowany") nie robiły na nim wrażenia rangi i orderów wyższych oficerów przed wojną, ani po wojnie stanowiska ojców, nawet w przypadku młodego Jaroszewicza. Te okoliczności nie miały dla niego znaczenia i kiedy trzeba było stawiał dwóję, a matematyka to przedmiot wymierny. Urodzony w Kowlu jako pierworodny syn Władysława Ostrowskiego, który piastował funkcję Kierownika Odcinka Kolei, skończył gimnazjum rosyjskie w Łucku i był przyzwyczajony do wysokich wymagań nauczycieli Rosjan, którzy podobno mówili, że piątka przeznaczona jest dla Boga, czwórka dla nich, a dla uczniów pozostają jedynie trójki i dwójki. Dyrektorował Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana między 1929 a 1939 rokiem.

Gimnazjum to słynęło z wysokiego poziomu, bo prawie wszyscy abiturienti Zana kształcący się na wyższych uczelniach, wyróżniali się chwalenie jako studenci. A trzeba przyznać, że polscy nauczyciele akademicy przed wojną należeli do czołówki światowej, a teraz...?

Jeśli chodzi o mnie, to zostałem zaliczony w poczet rzeczoznawców Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji i wyspecjalizowałem się w dziedzinie wykonywania projektów organizacji poważniejszych budowli w naszej dziedzinie. Było to zajęcie pasjonujące, ponieważ trzeba

było w nich przewidzieć optymalny okres wykonania wszystkich robót dla kilkunastu przedsiębiorstw w ten sposób, aby zawsze i w terminie przygotowany był "front tych robót" dla następców.

Rozwijam nadal wątek o moich Rodzicach. Dla wielu, którzy znali oboje, zaskoczeniem chyba będzie fakt, że Mama była cztery lata starsza od Ojca (daty urodzenia: 20.04.1889 i 25.04.1893). Ta pierwsza data odnosząca się do Mamy jest także datą urodzin co do dnia, miesiąca i roku Adolfa Hitlera. Jak tu wierzyć horoskopom? Przecież Mama była prawie święta, a o Hitlerze każdy wie, że był zbrodniarzem. W roku, który opisuję (1960) Mama miała już 71 lat, a Ojciec 67. Oboje byli wybitnymi pedagogami: Ojciec nauczycielem matematyki w dobrym warszawskim Liceum im. H. Kołłątaja, a Mama nadal u Zana - wykładała już więc 39 lat, stale w tej samej "budzie", z pięcioletnią przerwą, bo w czasie okupacji uczyła w szkole (wtedy mówiło się - powszechnej) - im. T.Kościuszki w Pruszkowie, którą to szkołę w latach wcześniejszych ukończyli jej wszyscy trzej synowie: Bolesław, Stanisław i ja - Juliusz.

Był rok 1963. Siedem lat rządów Gomułki doprowadziło do pewnej stabilizacji, ale od tej stabilizacji w Polsce było jakoś szaro. Próby (o ile takie podejmowali) "właściciele Polski Ludowej" odseparowania się od Moskwy, nie przyniosły żadnych widocznych rezultatów. Gomułka, po siedmiu latach piastowania stanowiska I sekretarza, stał się innym człowiekiem, dzisiaj powiedzielibyśmy, że był "oszołomem". Władza mu zasmakowała; względny spokój społeczeństwa odbierał jako poparcie. Zapomniał o jednym, ale bardzo ważnym: o obietnicach, jakie złożył "poddanym" jesienią 1956 roku. Uwierzył w siebie i nie znosił żadnego sprzeciwu: taki "mały Stalinek".

Jednym, co można zapisać na jego korzyść (a być może niekorzyść) to fak, że nie brał pożyczek dewizowych, chociaż wiemy, iż pieniądź robi pieniądź. Nie kradł i nie tolerował złodziejstwa koło siebie. Komentarz: jak daleko dzisiaj odbiegliśmy od tej zasady.

Ja przyglądałem się temu, bacznie obserwowałem i czekałem na jakiś krach. Oddałem się całkowicie pracy zawodowej. Zaowocowało to przyznaniem mi "Złotej Odznaki Odbudowy Warszawy".

Przypuszczam, że zawdzięczam to odznaczenie inżynierowi - architektowi Józefowi Sigalinowi (z którym ściśle współpracowałem), o którym wszystko można powiedzieć, ale nie można postawić mu zarzutu, iż nie kochał Warszawy. Dzisiaj mam tych odznaczeń "multum", ale ta odznaka jest najbliższa memu sercu. Do mnie przez cały czas, który opisuję (a jest to pół wieku) można zastosować słowa Mickiewicza o Wallenrodzie: "...szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie."



Autor z córką Małgorzatą podczas wycieczki do Kielc

Staram się streszczać, ponieważ ta autobiografia musi mieć jakąś rozsądną objętość, dlatego też nie miejcie do mnie pretensji, że coś opuściłem, bo napisanie 40 lat współczesnej historii Polski musiałoby zająć przynajmniej cztery tomy (po jednym na każde dziesięciolecie)

Jeszcze jedno: piszę wszystko z pamięci, nie wertuję opasłych ksiąg, nikt mi nie podpowiada; jest to więc tylko amatorszczyzna. Pisząc dla "Przeglądu Pruszkowskiego", powinienem może bardziej uwypuklić to, co działo się z moim miejscem urodzenia, a ja już jako dwunastoletnie dziecko jeździłem codziennie do Warszawy, bo - jak uprzednio wspomniałem - byłem uczniem dość znanego gimnazjum państwowego im. Joachima Lelewela, które mieściło się przy

ul. Złotej i jak to do dzisiaj pamiętam miało na tarczy nr "3". Nie bez znaczenia jest fakt, że należałem tam do harcerstwa i jako 14-letni chłopak brałem udział w 1937 roku w V Jamboree skautów w Vogelenzang w Holandii. Widziałem na własne oczy i słuchałem Baden Powell'a - twórcy skautingu.

A przedwojenne harcerstwo, później "Przysposobienie Wojskowe" wychowywało dzielnych ludzi. Bardzo się to przydało w konspiracji i przypuszczam, że wielu podchorążych AK wywodziło się z tego pnia. Potem tylko przez trzy lata (1937-1940) byłem "całkowitym" pruszkowiakiem bo od roku 1940 do 1944 znowu jeździłem codziennie do Warszawy.

Zatajając przynależność do Armii Krajowej, mogłem w końcu lutego 1945 r. (jeszcze trwała wojna) znaleźć się w Lublinie, gdzie powołano do życia Politechnikę Warszawską z tymczasową siedzibą w Lublinie. Piękny był to okres w moim życiu (może dlatego wspominam go w z rozrzewaniem, bo miałem wtedy 22 lata). Mieszkaliśmy w jednym "akademiku" z profesorami, a na drugim roku studiów było raptem 8 (słownie: ośmiu) studentów - prawie okupacyjny komplet.

Z Warszawą związałem się ponownie chyba w roku 1950, kiedy przeniesiono Wydział Komunikacji z Pruszkowa do Warszawy. Ale z Pruszkowem związany jestem na



Lipiec 1961. Leon Ostrowski ze swym przyjacielem prof. Bolesławem Krupińskim na plaży w Warnie

zawsze dzięki moim wspólnym Rodzicom. Przecież rozwój kulturalny Pruszkowa nie wybuchnął nagle, z dnia na dzień. Moi Rodzice, w dużej mierze przyczynili się do tego, wychowując kilka pokoleń pruszkowiaków na ludzi szlachetnych i patriotów (nie mylić z nacjonalizmem).

Wskazówki Matki, która głosiła tezę, że w każdym człowieku jest jakaś część godności, która apelowała do każdego ucznia aby kochał swój kraj i widział w drugim człowieku tylko to, co dobre, żeby być solidarnym z grupą, żeby się nie wywyższać (oszołomy!?), żeby podać rękę upadającym, żeby zawsze pamiętać, iż dobro społeczne stanowi wartość najwyższą, żeby walczyć z egoizmem, który jest cechą prawie wszystkich (w mniejszym lub większym stopniu), żeby uśmiechnąć się do bliźniego, zamiast warczeć na niego, po prostu żeby być altruistą.



Plaża w Warnie. L. Ostrowski i p. Krupińska

Uwaga: jak dzisiejszy świat jest daleki od tego!

Przeskoczę teraz do roku 1965. W latach 1964/65 Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich pod kierunkiem mgr inż. Janusza Michalika przystąpiło do przebudowy Placu Zawiszy, aby nowa arteria, tzn. ul. Towarowa nie "dławiła" się na tym placu.

Zadanie było arcytrudne, ponieważ należało zlikwidować stary, wystłżony, ale zbyt wąski wiadukt przebiegający nad czynną (dołem) kolejową

trasą linii średnicowej (z elektryczną trakcją). Projekt techniczny (do realizacji) zakładał budowę trzech osobnych wiaduktów: zachodni dla zachodniej trzypasmowej nowej jezdni, wschodni dla wschodniej, a środkowy dla dwutorowej linii tramwajowej.



Autor z córkami; przejażdżka łódką na stawie w parku Potulickich

Uporaliśmy się z tą trudną robotą, a asfalt lany (na ulicy i placu) kładziono nocą, przy ulewnym deszczu, bo wszystko należało skończyć na 7 listopada (dla uczczenia rewolucji październikowej).

Uwaga: to wszystko działo się przy całym czasie czynnej linii kolejowej i zachowaniu przelotowości ulicy Towarowej. Dla tego zadania należało opracować projekt budowy i organizacji robót.

Ja, jako szef nadzoru w imieniu inwestora (czyli tego, który płacił), sprawowałem nadzór w jego imieniu, tzn. Zarządu Dróg i Mostów, czyli mojej macierzystej jednostki.

VIII. Stasiek

Cofam się teraz w czasie, aby przedstawić sylwetkę drugiego z kolei po Bolesławie brata - Stanisława. Urodził się 24 lutego 1921 roku w Samarze nad Wołgą, a zginął tragicznie 18 lutego 1996 roku. Był o dwa lata starszy ode mnie.

Nie będzie przesadą, gdy nazwę go genialnym. Ja wychowywałem się właściwie w jego cieniu. Czarne kędzierzawe włosy, piwne oczy; był dzieckiem bardzo ładnym i bardzo zdolnym. Cała rodzina nazywała go Siapą i hołubiła. Stale miał nowe pomysły i "cierpiał" od najmłodszych lat na kompleks prymusa. Bo rzeczywiście natura wyposażyła go w wiele talentów.

Ja, blondyn z niebieskimi oczami nie znałem swoich dziadków bo ten od Mamy umarł na tyfus w Samarze, dokąd uciekając przed Niemcami przeniosta się cała rodzina, a ten od Ojca - Władysław Ostrowski umarł kilka miesięcy po moim urodzeniu, ale widząc mnie, wówczas trzymie-

sięcznego niemowlaka, stwierdził, że mam romansowe oczy i to się chyba sprawdziło.

Pisząc o Staśku ograniczę się tylko do znaczących faktów z jego życia.

Skończywszy 12 lat został przyjęty do jedynej w ówczesnej Polsce (a było to w roku 1933) Gimnazjum i Liceum imienia Sułkowskich w Rydzynie, miejscowości odległej o kilkanaście kilometrów od poznańskiego Leszna. Niezwykłość tej szkoły polegała na tym, że uczniowie i nauczyciele mieszkali razem z barokowym zamkiem, wspólnie jadali posiłki a szkołę otaczał wielki park, z wkomponowanymi weń boiskami do różnych gier i uprawiania lekkoatletyki. Poza tym dyrektor Łopuszański, który przebywał dość długo w Anglii (gdzie był baczny obserwator tamtejszych college'ów) wyznawał zasadę "mens sana in corpore sano" (w zdrowym ciele zdrowy duch) i dlatego w szkole tej kulturze fizycznej, w pełnym jej wydaniu, poświęcano wiele czasu. Wychowanie fizyczne postawione zostało na wysokim poziomie i stopień na świadectwie z w.f. był nie mniej ważny, niż z innych przedmiotów. Poza tym uczniowie mieli swój samorząd i absolwenci Rydzyny wychowywani byli w duchu odpowiedzialności obywatelskiej. Wśród "Rydzyńiaków" był wnuk prezydenta Mościckiego i syn generała Kazimierza Sosnkowskiego, jednego z najbliższych współpracowników marszałka Józefa Piłsudskiego.

Na marginesie dodam, że mój brat - Stasiak udzielał młodemu Sosnkowskiemu korepetycji (w czasie wakacji), a odbywało się to w majątku żony generała w poznańskim. Ale uczęszczali do tej szkoły także chłopcy z biedniejszych rodzin (pełna demokracja!). W końcu maja 1939 roku przywiózł Stasiak z Rydzyny "świadectwo dojrzałości", gdzie od góry do dołu widniały: bardzo dobry, bardzo dobry, bardzo dobry itd.

Jak hojny był nasz Ojciec, Leon Ostrowski świadczy fakt, że wręczył (w dowód uznania) Staśkowi 5 zł, co równało się mniej więcej jednemu dolarowi. Dodać tu trzeba, że nasza złotówka (przed II wojną światową) była pieniądzem wymiernym, tzn. że wszyscy obywatele dysponowali dewizami, których w dzisiejszym świecie wielu chciałoby mieć jak najwięcej.

W sierpniu 1942 r. odbył się w kościele parafialnym w Żyrardowie ślub Stanisława Ostrowskiego z absolwentką Zana z 1938 roku - Euzebią Morawską.

Po wojnie Stasiak wylądował na Wybrzeżu, gdzie został sekretarzem wojewody. Mieszkał w osiedlu zbudowanym dla marynarzy niemieckich, w Sopocie. Po różnych perturbacjach, które nie są tak istotne w tej autobiografii, w roku 1961 (miał wtedy 40 lat) został mianowany dyrektorem departamentu turystyki w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Turysty-

ki, któremu przewodził Włodzimierz Reczek - przyjaciel premiera Cyrankiewicza.

Zapomniałem dodać, że mieszkając w Sopocie ukończył zaocznie Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim z ocenami bardzo dobrymi i miał autentyczne wyższe wykształcenie, nie takie, jakie podawał w swoim życiorysie Aleksander Kwaśniewski. Jeszcze jeden - bardzo ważny - szczegół, który miał niebagatelne znaczenie: władał biegle językiem angielskim i niemieckim, a mógł się porozumieć także w języku rosyjskim, francuskim i czeskim. Chyba był poliglotą. Ta jego niemal genialność miała źródło w tym, że był bardzo pracowity i szalenie wymagający, ale - na szczęście - przede wszystkim od siebie! Czy był karierowiczem?

Jeżeli kariera polega na tym, żeby stale piąć się do góry, to tak; to jest kariera szlachetna, budowana na fundamencie osiągnięcia coraz bardziej ambitnych celów, ale należy to czynić z zachowaniem fair play, tzn. nie można piąć się w górę, podstawiając innym nogę, nie można piąć się w górę, bo pchają cię "kolesie", a przede wszystkim nie można wyznaczać sobie celów, których realizacja przekracza możliwości posiadanych cech psychofizycznych i intelektualnych.

Mamy doskonały przykład na naszym, polskim podwórku. Nie będę wymieniał nazwisk, bo nie mam zwyczaju źle mówić o innych; może oceniamy ich tylko powierzchownie, bo nie jesteśmy w stanie zajrzeć do ich duszy.

Jeśli chodzi o Staśka, to całe jego życie było pasmem zwycięstw i ... porażek.

O jego nieprzeciętnej osobowości świadczyła zdolność podźwignięcia się i każdego upadku. Był twardy; swoje życie traktował jak misję do wypełnienia.

Miał jednak jedną wadę: sukcesy upajały go, co jest właściwie cechą pozytywną, ale zapominał wtedy, że przede wszystkim należy w każdych okolicznościach, być Człowiekiem (specjalnie napisałem to dużą literą, bo chodzi tu o pełnego człowieka). A każdego człowieka uważać musimy za ... partnera. Kochany Stasio potrafił być oschły. Zapominał o naukach naszej Mateczki, że z tą samą godnością należy zachowywać się w "pałacach królewskich", co w kurnej chacie. Bo każdy człowiek (obojętne, czy wierzy w to, czy nie wierzy) ma duszę. A dusza ludzka jest bardzo skomplikowana, utkana z delikatnej materii i nie powinno się nigdy jej ranić.

Następstwem tego, co wyżej powiedziałem, był fakt, że takim postępowaniem stwarzał sobie Stasio wrogów. Prawdą oczywistą jest stwierdzenie, że lepiej jest mieć dziesięciu przyjaciół, niż jednego wroga.

Polacy nie lubią, gdy ktoś ze znajomych odnosi same sukcesy - nawet najbardziej zasłużone. Z powodu "bezinteresownej zawiści" życzą temu

prymusowi potknięcia się, a gdy to od nich zależy, rzucają mu same kłody pod nogi.

Żeby skończyć rozdział o Stašku, muszę wybiec poza rok 1967, ponieważ normalnie powinienem pisać o żyjącym Bracie.

Niestety, pełniąc swoją misję, a działał przede wszystkim w dziedzinie turystyki i sportu, przeliczył się (nie docenił chyba sił natury), w konsekwencji czego zginął tragicznie, topiąc się w czasie jazdy na nartach pod lodami jeziora Gołdap. A miało to miejsce 18 lutego 1995 roku na terenie województwa olsztyńskiego.

I w ten sposób z trójki braci Ostrowskich: Bolesława, Stanisława i Juliusza pozostałem tylko ja, najmłodszy z nas.

Ciekawe, że obaj moi Bracia, urodzeni w Samarze nad Wołgą (rocznik 1916 i 1921) zginęli tragicznie. Ale gdy porównamy śmierć ze śmiercią (a porównywać można tylko wartości jednorodne), to Bolesław - porucznik kawalerii - poległ w boju, śmiercią bohaterską, prowadząc swój szwadron do natarcia, na pięć dni przed upadkiem Berlina (2 maja 1945), a Stasiak ?

Bohaterska śmierć Bolesława uratowała życie wielu ułanom, ponieważ sprawiła, że zdecydowano o wycofaniu ich szwadronu do drugiej linii i skończyła się dla nich wojna.

Rozkaz zdobycia przeprawy, wydany zdziesiątkowanemu szwadronowi Bolka, był zadaniem niewykonanym. Dokonano tego nazajutrz dużo większymi siłami przy wsparciu artylerii i lotnictwa.

Wracając do Staśka trzeba dodać, że do końca życia był bardzo aktywny. Stale coś pisał, coś czytał, prowadził korespondencję nie tylko krajową. Po jego śmierci ukazało się wiele kondolencji i nekrologów.

Oto jeden z nich:

"Odszedł od nas Sekretarz Generalny Zarządu Głównego T.W.W.P. dwóch ostatnich kadencji. Absolwent z 1939 roku Gimnazjum im. Sułkowskich w Rydzynie, wierny przez całe życie wzorcom edukacyjnym Tadeusza Łopuszańskiego. W pracy zawodowej i społecznej był przykładem, jak należy racjonalnie i aktywnie pracować, mając na względzie humanistyczne wartości ogólnospołeczne. Wieloletni Dyrektor Departamentu w GKKFIT i Instytutu Turystyki..."

Na tym kończę wspomnienia o Stašku.

I znów lata bieły w przyśpieszonym nieco tempie, oficjalne źródła krytykowały wszystko, co zachodnie, ale mając większą swobodę wyboru środków przekazu, wsłuchiwno się uważnie w rewelacje nadchodzące z drugiej półkuli. Właściwie współczułem naszym politykom, iż mieli tak związane ręce. Bo byli trochę jakby między młotem i kowadłem. Kowadłem było społeczeństwo któremu ta zabawa w kotka i myszkę przestała się podobać. Młot zaś znany jest prawie każdemu, więc nie warto z pewnością rozszyfrowywać go.

Co w takim razie winno robić społeczeństwo?

- Pogodzić się z tym, że partia zawsze ma rację.
- Żyć w przeświadczeniu, iż narzucony nam siłą w latach 1944/45 ustrój trwać będzie aż do końca naszych dni.
- Wpisywać się w ten system, zachowując rozdwojenie jaźni, tzn. noszenie na ramionach dwóch płaszczy: jednego oficjalnego i drugiego tego własnego; tego osobistego, tego prawdziwego.
- Przebijać gorliwością innych dla zdobycia większych szans w wyjazdach na koszt państwa za granicę przez opanowywanie obcych języków lub zdobywanie tytułów naukowych.
- Być donosicielem, czy nawet szpiegiem, co otwierało drzwi do wielkiej kariery.

Wybór nie był łatwy, pokusy wielkie i dlatego, jeśli ktoś potrafił zachować umiar, idąc jednocześnie prostą drogą, to należałoby go szanować.

Rządzący też nie mieli łatwego życia, gdy bowiem stać ich było na obiektywną ocenę sytuacji, widzieli ten wielki rozew między swoimi obietnicami (jak to dobrze będzie całemu Społeczeństwu) a faktycznymi, tzn. realnymi warunkami życia. I właśnie dlatego schyłek dekady zwiastował wielką burzę.

Stale wracam do polityki, ale niestety rzutowała ona na wszystko, co się w tym Kraju działo.

Ojciec miał zawód apolityczny (nauczyciel matematyki), ale prywatnie polityka bardzo Go interesowała. Mówił świetnie po rosyjsku i współczuł Rosjanom, że ich przywódcy często "kaleczyli" ten język. Jest takie powiedzenie: czego się Jaś nie nauczył, tego Jan umieć nie będzie. I jest godne podkreślenia, że przywódcy wielu narodów nie są tą śmietanką, elitą, a wywodzą się z niższych warstw. Jeśli można ten fakt zrozumieć, gdy chodzi o rewolucje, to w tak zwanych normalnych czasach, taki stan jest co najmniej dziwny. A tak przecież było i u nas.

Mama - nauczycielka języka polskiego - musiała niejednokrotnie wkra-
czać na teren polityczny, ale dotyczyło to bardziej dziejów literatury, gdzie
można było jednakże robić paralele. Wykłady (tak! - wykłady) Mamy nie
były nigdy agresywne, wydarzenia przedstawiane były obiektywnie, a gdy
wymagały wyrazistszej wykładni, naprowadzały uczniów na dokonanie
przez nich samych właściwej oceny.

Bo szkoła średnia zawsze i wszędzie powinna elewów nauczyć samo-
dzielnego myślenia.

Mój zawód (inżynier) także jest - na szczęście - zawodem apolitycz-
nym i nikt nie może np. nakazać, żeby 1 metr był równy 102 centymet-
rom. Korzystając z tego przywileju, w dalszym ciągu realizowaliśmy swo-
je zadania, tzn. przebudowę, czy budowę nowych arterii dla usprawnienia
komunikacji.

Tutaj cofnę się o parę lat i przypomnę, jak to się ludzie dziwili, gdy od-
dano do ruchu zaraz po wojnie nową ulicę Marszałkowską; była taka szer-
oka (w porównaniu z tą przedwojenną) i wydawało się, że przez długie
lata nie napełni się pojazdami, a jednak...

Planować znaczy przewidywać. Planowanie zawiera więc w sobie jakiś
stopień ryzyka, bez którego w życiu niczego nie osiągniemy. Oczywiście
nie możemy z tym przesadzać, ale gdy posiadamy gruntowne wykształ-
cenie i dobrą znajomość fachu, to zaplanujemy (obojętnie co) w grani-
cach dopuszczalnego błędu.

LATA 1967 - 1977

Burzliwe to były lata!

I znów zacznę od kawału. Mówiło się: poznańska "rewolucja" w 1956
roku wybuchła dlatego, że polskie społeczeństwo nie chciało iść na ...
dziady, a "zakotłowało się" w roku 1968, bo wtedy warszawiacy chcieli iść
na ..."Dziady".

Nazwanie przez Gomułkę mniejszości żydowskiej w Polsce V kolumną
syjonizmu, pozwoliło ministrowi spraw wewnętrznych - Moczarowi, rozpę-
tać nagonkę antysemitką, na czym Polska nic nie zyskała, a wiele straci-
ła.

W latach 1967-1970 przygotowywano - przy moim udziale - dokumen-
tację (w pełni tego słowa znaczeniu) dla budowy przeprawy przez Wisłę,

która przebiegając blisko "Łazienek", przyjęła nazwę Trasy Łazienkowskiej. Była to bezwzględna dla miasta konieczność, ponieważ przybywało pojazdów, a lewobrzeżną Warszawę z Pragą łączyły tylko trzy mosty drogowe.

Tak się złożyło, że trasa mostu im. Józefa Poniatowskiego przebiegała



Rok. 1967; Zjazd Absolwentów Technikum Kolejowego. Pierwszy z prawej Autor

i przebiega przez środek miasta (na kierunku N-S). W ten sposób północna połowa miasta miała do swej dyspozycji dwa mosty drogowe (Starzyńskiego i Śląsko-Dąbrowski) oraz pół mostu Poniatowskiego. Z tego wynika prosty wniosek, że południową połowę miasta "obsługiwało" tylko pół mostu Poniatowskiego.

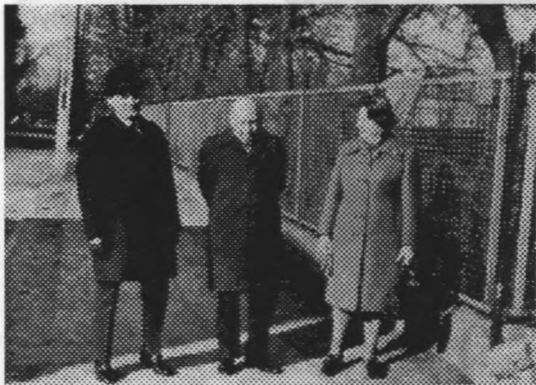
Piszę o tym tak szczegółowo, żeby każdy mógł sobie wyobrazić, ile drogiego czasu zdołano za-

oszczędzić i ile hałasu oraz zanieczyszczeń powietrza dało się zlikwidować w centrum miasta, gdy zbudowano nowy most drogowy. Usytuowany jest on 1500 m na południe od mostu Poniatowskiego, licząc w górę rzeki Wisły, królowej rzek polskich. Łatwo powiedzieć: Trasa Łazienkowska - to jest w przeliczeniu na jedną jezdnię - 17 km ulicy (czyli mniej więcej odległość Pruszkowa od centrum Warszawy), w tym 5500 m obiektów inżynierskich, jak most stalowy przez Wisłę około 500 m długości, wiadukty i estakady, stalowe kładki piesze nad jezdnią, żelbetowe mury oporowe, przebudowa całej infrastruktury podziemnej, w tym obniżenie o 6 m poziomego kanału burzowego, przebiegającego pod jezdnią Alei Ujazdowskich, co dopiero umożliwiło budowę bezkolizyjnego skrzyżowania Trasy Łazienkowskiej z Placem na Rozdrożu.

Teraz muszę napisać o sytuacji politycznej w Polsce pod koniec "panowania" Władysława Gomułki. Już kilkakrotnie wymieniałem to nazwisko, ale obecnie nie mam słów krytyki, aby oddać swój nastrój, swoje uczucie, stan napięcia i wściekłości (wynikającej z bezsilności), gdy przypomnę sobie wydarzenia z grudnia 1970 roku, firmowane przez Gomułkę, Kociołką i wielu innych jeszcze uczestników, którym przez 25 lat nie spadł ani jeden włos.

Zachodziłem w głowę, co można jeszcze dla tego Kraju zrobić, żeby nigdy nie było już powtórki ze strzelania do niewinnych i nie uzbrojonych ludzi.

I tak dotrwałem do bodaj 8 stycznia 1971 roku, kiedy to Edward Gierek (następca Gomułki) wygłosił swoje słynne przemówienie do Narodu. Przemawiał nie jako I sekretarz PZPR, lecz jako przywódca odwołujący się do całego społeczeństwa: "By Polska rosta w siłę, a ludziom żyło się lepiej".



Kwiecień 1971 r. - Pruszków. Od lewej: Stanisław, Leon i Euzebia Ostrowscy

cji PZPR mieli - po rozmowie ze mną - zdecydować o przyjęciu albo nie przyjęciu mnie do partii. Otóż zadali mi jedno pytanie: dlaczego tak późno? Odpowiedziałem wprost: do partii tow. Bieruta nie mogłem się zapisać, bo miał on krew AK-owców na rękach, co narobił tow. Gomułka to widzimy, a teraz uwierzyłem towarzyszewi Gierkowi, że pod jego przewodem partia będzie szła z narodem, a nie obok lub przeciw niemu.

Mimo krytyki zawartej w mojej wypowiedzi Komisji podobała się moja szczerość i stałem się członkiem (zwyczajnym) PZPR. Było to jednak dla mnie wielkie przeżycie, bo stale zastanawiałem się (można też powiedzieć "biłem się z myślami") czy dobrze postąpiłem?

Teraz wróć do Trasy Mostowej Łazienkowskiej, którą budowało 17 przedsiębiorstw. Nic dziwnego, iż dla realizacji tak poważnego zadania z dniem 1 lipca 1971 roku powołano do życia samodzielną jednostkę, tj. Dyрекcję Budowy Trasy Mostowej Łazienkowskiej, która pełniła obowiązki Inwestorskiego Generalnego Wykonawcy i Głównego Koordynatora Robót.

Ja przeszedłem do DBTMŁ automatycznie, ponieważ nasz Dział, tzn. Kierownictwa Nadzoru i Dokumentacji Tras Mostowych, będący od 10 lat

Uwierzyłem Gierkowi i w 48-mym roku życia zgłosiłem akces do PZPR. Nie był to w moim przypadku szczebel do kariery. Tę zawodową już osiągnąłem, chociaż cały czas traktowany byłem jak obywatel II kategorii i uważano, że powinienem uczyć się patriotyzmu od lepszych z I kategorii.

O mojej prostolinijności niech świadczy fakt, jaki miał miejsce w kwietniu 1971 roku, kiedy to trzej towarzysze z wyższej instancji



Rok 1972; cztery pokolenia Ostrowskich. Siedzą pośrodku Stanisława i Leon, po prawej stronie Stanisławy "Stasi" - Elżbieta Ostrowska - żona wnuka Macieja trzyma na kolanach 3 miesięcznego prawnuka Szymona; między Stanisławą i Leonem - Tomasz starszy prawnuk - syn Macieja i Elżbiety; po lewej stronie Leona, Barbara - żona wnuka Juliusza trzyma na kolanach dziewięciomiesięcznego prawnuka Mikołaja. Stoją od lewej: Maciej (wnuk), Stanisław (syn), Euzebia (żona Stanisława) i Juliusz (wnuk, syn Stanisława)

komórką Zarządu Dróg i Mostów stał się załącznikiem Dyrekcji Budowy Trasy Łazienkowskiej.

Wspominałem już, że kilkanaście przedsiębiorstw było zatrudnionych przy realizacji Trasy. Pierwszym zadaniem nowopowstałej Dyrekcji było opracowanie projektu organizacji robót.

Kierownikiem Zespołu Rzeczoznawców (około 50 inżynierów i techników) z ramienia Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji byłem ja,

ponieważ wykonywałem już (z powodzeniem) projekty organizacji robót z naszej branży dla ważniejszych inwestycji na terenie Warszawy.

Projekt organizacji robót zakładał podział całej Trasy na odcinki realizacji; było tych odcinków siedem. Zrobiono więc siedem szczegółowych projektów organizacji robót, które "spięto" w jedną całość, zgodną ze sztuką inżynierską. Przymiarę robiono do terminów minimalnych, maksymalnych i optymalnych. Ten trzeci termin - optymalny - zakładał dobrą wydajność robót, ale mieścił w sobie pewien margines bezpieczeństwa, zapas czasowy na ewentualne niespodzianki (chodzi tu głównie o bardzo rozbudowaną w Warszawie infrastrukturę podziemną) a także o często niekorzystne dla danych robót warunki atmosferyczne.

Wobec tego, że w epoce PRL-u terminy oddawania do eksploatacji jakichś ważniejszych inwestycji powinny (koniecznie) zbiegać się ze świętami narodowymi, lub międzynarodowymi (jak 1 Maja lub 7 listopada) - w projekcie organizacji robót dla całej Trasy Mostowej Łazienkowskiej datę otwarcia Trasy ustalono na dzień 22 lipca 1974 roku. I tak było.

Przedstawiłem wyżej zakres robót na Trasie Łazienkowskiej, które to roboty zostały wykonane, tak, jak założono w projekcie organizacji robót, to jest na przeciąg trzech lat. Porównując to tempo wykonawstwa z budową I odcinka metra, która trwała około 13 lat, wszelkie komentarze są zbędne.

Wybiegnę tu myślą do Trasy Mostowej Toruńskiej, której to Trasy "Założenia Techniczno-Ekonomiczne" - jako członek Zespołu - rozrysowałem (w odniesieniu do obiektów inżynierskich) w latach 1975-1976.

Mając dobre doświadczenia z Trasy Mostowej Łazienkowskiej, zrobiłem przymiarkę na 6-letni okres wykonawstwa tej Trasy; zakres robót dwa razy większy, ale po stronie praskiej nie było prawie żadnych przeszkód, więc dostęp dla wykonawców dużo łatwiejszy.

Dzisiaj mamy rok 1996, Trasę Toruńską buduje się już kilkanaście lat i końca robót jakoś nie widać.

Wróćmy do roku 1971, który był tak ważnym w moim życiu. Rzuciłem się w wir realizacyjny Trasy Mostowej Łazienkowskiej, zajmując w Dyrekcji Trasy kolejno trzy stanowiska: głównego specjalisty - pół roku, kierownika realizacji odcinka - półtora roku i głównego koordynatora robót drogowych - ostatni rok.

Przez cały ten czas byłem w swoim żywiole, bo przecież tak długo czekaliśmy na ten sygnał: "cała naprzód". Siedzibą Dyrekcji były parterowe, czerwone pawilony byłego szpitala Ujazdowskiego, usytuowane tuż przy Placu na Rozdrożu. Jeden z tych pawilonów, który blokował przebieg Trasy Łazienkowskiej, został wysadzony w powietrze przy pomocy materiałów wybuchowych, co trwało zaledwie ułamek sekundy; przedtem wywiercono kilkanaście otworów, w których osadzano odpowiednie ładunki; roboty te wykonało oczywiście specjalistyczne przedsiębiorstwo. Gdy patrzyłem na ginący w oczach pawilon z czerwonej cegły, sięgnąłem pamięcią do 5 października 1939 r., kiedy mój najstarszy brat - Bolesław - zawodowy oficer - podporucznik 21 pułku Ułanów Nadwiślańskich - leżał na wyciągu w jednym z tych pawilonów (szpital Ujazdowski) z przestrzelonym biodrem i gdy Go odwieźliśmy razem z Mamą i Staśkiem - zdesperowany powiedział: "Mamusiu, tak się starałem - i po co to wszystko?!"

W latach siedemdziesiątych wiele zmieniło się też w moim życiu rodzinnym. Rodzice przestali już pracować w szkolnictwie i przeszli na bardzo zasłużoną emeryturę.

Zapomniałem dodać, że począwszy od lat pięćdziesiątych zaczęli zajmować się wychowywaniem (na ile czas pozwolił i okoliczności) wnuków; a było ich pięcioro: dwóch chłopców ze strony Staśka (1945 i 1947) i troje - chłopiec i dwie dziewczynki ode mnie (1948, 1950, 1954).

Jak już wspomniałem, Staśkowie mieszkali do 1960 r. w Sopocie, więc stało się tradycją, że jeden miesiąc wakacji (lipiec lub sierpień) spędzali Rodzice nad morzem. Do plaży pod nazwą "Łazienki Północne" od mieszkania Staśka było niespełna dwa kilometry. Dość często jeden z miesięcy wakacyjnych spędzali Rodzice nad morzem Czarnym, mieszkając u zaprzyjaźnionego Bułgara, w Warnie. Tam spotykał się też Ojciec ze swoim przyjacielem, prof. Bolesławem Krupińskim. Ale chyba najbardziej ukochanym wnukiem (szczególnie przez Babcie) był mój pierworodny - Boleczek, tym bardziej, że byli dla niego nie tylko dziadkami, ale także rodzicami chrzestnymi.



29 czerwca 1976 r. - Pałac Ślubów w Pruszkowie: uroczystość 60 lecia małżeństwa Stanisławy i Lena Ostrowskich; moment wręczania jubilatowi medali za długoletnie pożycie. Od lewej Stanisław Ostrowski, Stanisława i Leon Ostrowscy, Juliusz Ostrowski i urzędnik Stanu Cywilnego

Mieszkając cały czas (do roku 1976) w Pruszkowie, utrzymywałem z Rodzicami ścisły kontakt, a moje dzieci lgnęły do Dziadków, bo czuły, że przebywając z Nimi wiele się mogą nauczyć i przysporzyć sobie masę korzyści (oczywiście w sferze duchowej). Dzisiaj - z perspektywy lat - widzę, że moje dzieci nie w pełni wykorzystały tę szansę, jaką dawało im częste obcowanie z tak wybitnymi pedagogami. Może to jest "signum temporis": szukanie nowych ideałów przez każde pokolenie. Pomijając dni powszednie muszę dodać, że nie można było sobie wyobrazić jakiegoś przyjęcia u nas (a mieszkaliśmy przy ul. Stalowej), na którym Rodzice nie byłiby honorowymi gośćmi. Jak silną osobowością był mój Ojciec, Leon Ostrowski, niech świadczy fakt, iż jego nastrój udzielał się wszystkim biesiadnikom. Był - jak to się mówi - duszą towarzystwa: Ojciec smutny - przy stole minorowo, Ojciec w dobrym nastroju - wszyscy tryskają humorem. Ileż kawałów znał Ojczulek; opowiadał je doskonale, a potem zaśmiewał się razem ze słuchającymi; a śmiech miał bardzo zaraźliwy.

Zdrowie Rodzicom w zasadzie dopisywało. Kiedy u 65 letniego wówczas Ojca lekarze stwierdzili początki zapalenia płuc, to z dnia na dzień rzucił palenie papierosów i nie wrócił już do nich do końca życia.

Mama przez cały czas wiodła życie bardzo higieniczne: nie paliła, nie piła, chodziła na spacer i zawsze po obiedzie kładła się przynajmniej na

pół godzinki; dużo czytała, zawsze była au courant tego, co działo się w świecie literackim. Odwiedzało Rodziców wielu przyjaciół i członków dość rozbudowanej rodziny z Warszawy. Chociaż pokrewieństwo nie dotyczyło "pierwszej linii" to więzy rodzinne były bardzo silne.

Rodzice też przyjmowali gości. Stałe miejsce w kalendarzu, oprócz imienin, miało przyjęcie noworoczne u Rodziców w dniu 1 stycznia. Przy rozsunętym stole siedziało wtedy 18-20 osób. Jako spécialité de la maison podawano marynowany schab z grochem puré. Honory domu pełniły oprócz Mamy synowe.

Jeśli chodzi o uczniów Mamy, to stałym jej gościem był Wojciech Żukrowski. Każdą nowo wydaną książkę dedykował swojej Wychowawczynie. Przyjechał też z książką pt. "Dom bez ścian" o wojnie wietnamskiej w latach sześćdziesiątych. Jak wiemy, Wojtek spędził tam pół roku, więc dobrze zapoznał się z tematem. Piszę o tym dlatego tak szczegółowo, bo Żukrowski powiedział wtedy do Mamy, że ten tytuł "Dom bez ścian" był zarezerwowany dla epopei "Armii Krajowej", tylko że takiej książki nikt by mu w ówczesnej Polsce nie wydał. Uskarżał się też na ciągłe walki z cenzorem. Widać z tego, że - ogólnie mówiąc - ludzie kultury też nie mieli łatwego życia w Polsce Ludowej. Nie wszyscy literaci mogli sobie pozwolić na to, aby pisać "do szuflady", a w oficjalnych wydawnictwach trzeba było iść na kompromis. A kiedy kompromis przekraczał granice przyzwoitości, to trzeba przyznać, że granica ta była jednak płynna.

Pisząc o synu, muszę cofnąć się do roku 1967. Mój syn Bolesław, po zdaniu egzaminu, zaczął studiować prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W roku 1971 ożenił się z Krystyną Szczodrowską z Koszalina, gdzie mieszkała z rodzicami, którzy przenieśli się tam po wojnie z Bydgoszczy.

Ciekawostką jest fakt, że pod koniec studiów otrzymał stypendium fundowane ze Spółdzielni Mieszkaniowej w Słupsku i uzyskawszy dyplom mógł od razu zamieszkać wraz z żoną w dwupokojowym mieszkaniu w nowym budownictwie. W Pruszkowie, czy w Warszawie, czekałby na mieszkanie przynajmniej 10 lat.

Tu muszę się cofnąć do roku 1957, kiedy bratowa - Zanianka - Euzebia z domu Morawska, wyjechała z dziewięcioletnim Boleczkiem i dwoma swoimi synami - dziesięcioletnim Juliuszem i dwunastoletnim Maciusiem - na wczasy do Jastrzębiej Góry nad Bałtykiem. Pogoda była okropna: cały czas lało i wiały prawie sztormowe wiatry. Żeby wypełnić dzieciom czas, bratowa nauczyła młodzież grać w brydża. Gdy przyjechałem ich odwiedzić, rozegrali już ze dwadzieścia robaków. Piszę o tym tak szczegółowo, bo według relacji bratowej, najlepiej z chłopców grał najmłodszy, tj. mój

syn Bolesław. Dzisiaj należy on do światowej czołówki brydża sportowego.

Bolesław w latach siedemdziesiątych założył sekcję brydża sportowego w Klubie Czarni-Słupsk, a zawodnicy tego klubu w latach późniejszych byli mistrzami Polski i wygrywali mistrzostwa świata zdobywając medale olimpijskie.

Sukcesy wnuka bardzo przeżywali moi Rodzice, a szczególnie Ojciec, który sam był bardzo dobrym brydżystą i grywał regularnie u księdza proboszcza Tyszki, gdzie partnerowali im ksiądz Bujalski, brat proboszcza i nauczyciel geografii u Zana Bohdan Zieliński. Profesor Zieliński (nota bene mój nauczyciel u Zana) - wspaniały gawędziarz - ma duże zasługi w zorganizowaniu w czasie okupacji tajnego nauczania w Pruszkowie.

Moja starsza córka Małgosia jest absolwentką Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, a najmłodsza Klaryska - studium pomaturalnego.

Nie będę teraz rozwijał wątku moich dzieci i wnuków, bo nie to ma być leitmotiv'em tej autobiografii. Wróć do Rodziców, z którymi więzi przez całe życie były bardzo mocne. Skromni to byli ludzie. Byli ludźmi w pełnym tego słowa znaczeniu, bardzo prostolinijni, znający życie w jego blaskach i cieniach. Byli przyjaźni wobec innych ludzi, kochający młodzież i swój zawód.

Wychowanie? Jak wiele w życiu od niego zależy. Najpierw małe dzieci, zawsze niewinne i ciekawe świata. Rodzice to pierwsi nauczyciele, którzy zbyt często zapominają, że nie słowo, a przykład jest głównym środkiem wychowawczym. Bardzo ważna jest też pełna zgodność rodziców w procesie kształtowania nowego człowieka. Dziecku, które dostrzeże rozbieżność między tym, co przekazuje mu mama, a tym, co wpaja węż ojciec, robi się krzywdę. W jego świadomości powstaje zamęt. Chwiejna się staje wówczas cała linia wychowawcza, a dziecko staje przed trudnym wyborem, którego nie jest w stanie dokonać. Czynniki kształtujące charakter młodego pokolenia to dom - szkoła - kościół, dla chłopców także wojsko. Gdy te trzy filary, odgrywające podstawową rolę w procesie wychowania pełnego człowieka, przemawiają zgodnym głosem, o rezultaty możemy być spokojni.

Nie twierdzę, że tylko ktoś religijny może być pełnym człowiekiem, ale sądzę, że "strawa duchowa" jest też bardzo ważna, szczególnie dzisiaj, w tak zmaterializowanym świecie. Rozpisałem się o wychowaniu, bo to przecież była domena moich Rodziców, wytrawnych pedagogów, których zasługi w tej dziedzinie dla Pruszkowa są bezsporne. Ale najważniejsze, że Rodzice - to mogę stwierdzić w całej rozciągłości - działali spontanicznie, nie dla zasług, nie dla oklasków, tylko z głębokiego przeświadczenia, że temu biednemu miasteczku, jakim był Pruszków po I wojnie światowej

(mówię o roku 1921), należy się "oświaty kaganek". Że należy tym młodym ludziom, często byłym żołnierzom, udostępnić maksimum wiedzy, a jednocześnie pokazać im świat lepszy, świat bez wojen, bez nienawiści, należy przekazać im nadzieję, radość z odzyskanej niepodległości a jednocześnie, wymagając solidnej nauki, przekonać ich, że nowa Polska, odrodzona po przeszło 120-tu latach, będzie potrzebowała świątłych ludzi, karabin trzeba zastąpić lemieszem i teraz ci, którzy orzą ziemię, budują przemysł, rozwijają budownictwo i wszystkie inne dziedziny życia gospodarczego mogą egzystencję społeczeństwa uprzyjemnić, ułatwić, żeby Polska osiągnęła możliwie jak najszybciej - przynajmniej średnio-europejski status cywilizacyjny. O kulturę mogliśmy być spokojni, bo ona właśnie, łącznie z powstaniem zbrojnymi, nie pozwoliła na dłuższą metę pozbawić potężnej niegdyś Polski - niepodległości.

Teraz muszę opisać duże wydarzenie w życiu moich Rodziców, a chyba też - przez niecodziennność takiego zjawiska - w życiu Pruszkowa.

30 czerwca 1975 roku w Pałacu Ślubów w parku Potulickich w Pruszkowie, odbyła się (z udziałem telewizji) uroczystość związana z 60-tą rocznicą ślubu Leona i Stanisławy Ostrowskich. Złotego wesela, z niewiadomych mi przyczyn, Rodzice nie obchodzili. Rzadko w dzisiejszych czasach, czasach łatwych rozwodów, obchodzi się takie rocznice. Trzeba podkreślić, że oboje Partnerzy dożyli sędziwego wieku: Ojciec miał wtedy 82 lata, a Mama - 86. Gdy przypomnimy, że przeciętna długość życia w Polsce dla mężczyzn wynosi 67 lat, a dla kobiet - 74, to rzeczywiście tylko nieliczni doczekać mogą tak pięknych jubileuszy.

Uroczystość była bardzo podniosła. Rodzice otrzymali medale za długotrwały związek małżeński, było wielu przedstawicieli oficjalnych władz, rodzina, przyjaciele i oczywiście wychowankowie (ci, których zdążyło się zawiadomić, między innymi Wojtek Żukrowski). Bliski związek Wojtka z naszą rodziną wynikał nie tylko ze stosunku uczeń-nauczyciel, ale także z faktu, że jego dobrym kolegą u Zana był mój najstarszy brat Bolesław. Ten sam rocznik maturalny i ten sam rok urodzenia - 1916.

Gdy patrzę dzisiaj na zdjęcie (ostatnie za życia), przedstawiające oboje Rodziców podczas tej uroczystości, widzę, że Mama, chociaż starsza, trzyma się jeszcze dobrze, ale Ojca trudno poznać. Na jego twarzy wycisnęła już swe piętno okrutna choroba. Po upływie 6 tygodni od tej uroczystości, 11 sierpnia 1975 roku, Ojciec zmarł w Szpitalu Kolejowym w Pruszkowie na raka przewodu pokarmowego.

Przez cały czas pobytu w szpitalu, zachowywał się Ojczulek zupełnie normalnie, a gdy odwiedziłem go 8 sierpnia, na trzy dni przed śmiercią, nie uskarżał się na nic, nie narzekał na ból (choć brał środki uśmierzają-

ce), rozmawiał pogodnie, interesował się światem, jednym słowem był dzielny.

Dla Mamy śmierć Ojca była zaskoczeniem, bo cały czas myślała, że "wyjdzie" z tego, nie dopuszczała myśli, że Ojciec jest chory na raka. W zorganizowaniu życia Mamy, gdy została sama, dużą rolę odegrał brat - Stanisław i jego żona Euzebia. Znaleźli kobietę, która zgodziła się mieszkać z Mamą, gotować, sprzątać i codziennie wychodzić na spacer.

My, synowie, odwiedzaliśmy Mamę dość często. Rozmowy z nią zawsze wzmacniały nas na duchu. Mama, podobnie jak przez całe swoje życie, do ostatnich swoich dni, zachowała promienne spojrzenie, a gdy mówiła o swojej ukochanej literaturze, to oczy i twarz stawały się młode i radosne. Naprawdę - to był wyjątkowy Człowiek.

Czytając to, co dotychczas napisałem, dochodzę do wniosku, że trudno mi połączyć w harmonijną całość opis życia Rodziców i swojej pracy zawodowej na tle sytuacji politycznej w Polsce.

Wróćę teraz do Trasy Łazienkowskiej.

Wobec tego, że piszę autobiografię, a nie monografię Trasy Mostowej Łazienkowskiej, nie będę już rozwijał tego tematu (choćby było to przedsięwzięcie bardzo fascynujące), ale wspomnę jeszcze o "klimacie", jaki panował tam przez przeszło 1000 dni (a były także noce). Jeden pomagał drugiemu, wszyscy prześcigali się, żeby swoją robotę zrobić jak najlepiej i możliwie szybko; walczono o front robót; przedsiębiorstwo otwierające ten front następemu "czuło jego oddech na swoich plecach".

A to wszystko działo się przy "otwartej kurtynie" pod czujnym okiem społeczeństwa.

Zamysłem naszym było automatyczne, natychmiastowe przejście tej zgranej i wypróbowanej załogi na budowę Trasy Mostowej Świętokrzyskiej, której dokumentację przygotowywano z pewnym "poślizgiem", czyli przesunięciem w czasie w stosunku do Trasy Mostowej Łazienkowskiej. Trasa ta, której fragment zachodni wybudowano już śladem ulicy Kasprzaka, Prostej, Świętokrzyskiej, Tamki, z przeprawą mostową (nad Wisłą) przebiegającą po osi mostu Syrenki, który to most miał służyć kilka lat. Ale zabrakło środków i budowy Trasy Świętokrzyskiej zaniechano. A prowizorki "żyją" w Warszawie aż do swojej "śmierci technicznej".

Muszę wspomnieć jeszcze o uroczystym oddaniu do eksploatacji Trasy Mostowej Łazienkowskiej. Miało to miejsce - zgodnie z założeniami - 22 lipca 1974 roku. Otwarcia dokonał ówczesny premier - Piotr Jaroszewicz. Nas - budowniczych - dekorowano wysokimi odznaczeniami: ja otrzymałem "Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski". Krzyż ten - dla emerytów - nazwano "chlebowym", bo łączył się ze specjalnym dodatkiem do emerytury. Mnie to jednak nie dotyczyło, ponieważ otrzymuję wyższą

emeryturę z tytułu kombatantstwa. A sądzę, że prawie pięć lat (1940-1945) walki z wrogiem o Niepodległość w czasie okupacji całkowicie uzasadnia ten dodatek. Bo chyba to nie było tym samym, co kombatantstwo styropianowe.

Po dokonaniu czynności kolaudacyjnych, związanych z rozliczeniem tego dużego przesiewzięcia inwestycyjnego, jakim była budowa Trasy Mostowej Łazienkowskiej, co trwało do 31 grudnia 1974 roku, z dniem 1 stycznia 1975 roku powołano do życia Dyрекcję Budowy Tras Komunikacyjnych. Jej głównym zadaniem miała być budowa Trasy Toruńskiej, wraz z mostem drogowym przez Wisłę, co stanowiło północny element dużej obwodnicy Warszawy, łączy ulicę Powązkowską lewobrzeżnej Warszawy z nową dzielnicą Pragi-Bródno II.

Nowa dyrekcja otrzymała nową lokalizację przy ulicy Gdańskiej 23/31 (na Żoliborzu), blisko miejsca stanowiącego teren jej nowego zadania. Rozmachem swim przewyższało ono budowę Trasy Łazienkowskiej. Opuśczone przez nas pawilony przy Placu na Rozdrożu zajęła powołana do życia "Generalna Dyrekcja Budowy Metra" w Warszawie. Oczywiście zaczęto od przygotowania dokumentacji i podjęcia decyzji, czy "metro" w Warszawie ma być głębokie, czy płytkie.

Starsi pamiętają, że w latach 50-tych zbudowano już w Warszawie (na Pradze) kilkaset metrów "metra" głębokiego i na kierunku W-Z. Teraz zdecydowano, że "metro" będzie płytkie, na kierunku N-S w lewobrzeżnej Warszawie. Przebiega od stacji "Kabaty" która znajduje się na południe od Natolina do stacji "Huta Warszawa" na Bielanych (razem ~ 24 kilometrów).

Na pierwszy oddany do eksploatacji wyznaczono odcinek o długości 11 kilometrów od stacji 1 - "Kabaty" do stacji 11 - "Politechnika". Ale ten kawałek metra rozwiąże częściowo kłopoty komunikacyjne dopiero wtedy, gdy będzie przedłużony o 2400 m na północ - do stacji "Centrum", którą zlokalizowano na przecięciu głównych strumieni ruchu w Warszawie, tj. na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich na kierunku W-Z z ulicą Marszałkowską, na kierunku N-S, skąd można dojechać wszędzie (łącznie ze średnicową linią kolejową) środkami komunikacji zbiorowej. Jeśli budowniczyowie dotrzymają obietnicy i nie będzie zahamowań ze strony Inwestorów (Urząd Wojewody i Prezydenta Miasta) w finansowaniu przedsięwzięcia, to doczekamy się tego na przełomie lat 1997/1998.

Stacja "Centrum" będzie jedną z największych stacji metra w Europie. Długość jej - mierzona między Alejami Jerozolimskimi a ulicą Świętokrzyską, wynosi 600 m, a głębokość 20 m. Wykopy będą tak duże, iż po ich wykonaniu wszystkie trzy potężne domy towarowe, usytuowane przy ul. Marszałkowskiej, zmieściłyby się w tym wykopie i jeszcze nie byłby on wypełniony.

Doszliśmy w ten sposób do roku 1976, który okazał się tak znamienym dla Polski i odegrał także dużą rolę w moim życiu.

Wszyscy muszą przyznać, że pierwsze pięć lat "Przerwanej dekady" Edwarda Gierka wprowadziło wiele ożywienia w życie społeczeństwa, co łączyło się niewątpliwie z zaciągniętymi pożyczkami dewizowymi, ale także z liberalniejszą polityką i otwarciem granic na Zachód. Temu nie może nikt zaprzeczyć.

"Schody" zaczęły się w końcu czerwca 1976 roku, kiedy premier - Piotr Jaroszewicz, ogłosił znaczną podwyżkę cen mięsa, co wywołało protesty prawie w całym kraju.

Najdramatyczniejsze jednak miały miejsce w Ursusie i Radomiu; doszło do pełnej konfrontacji załóg potężnych przedsiębiorstw z siłami bezpieczeństwa. W wyniku spontanicznego i solidarnego wystąpienia przede wszystkim klasy robotniczej, rząd skapitulował i cofnął zapowiedziane podwyżki, ale kosztem masowych aresztowań uczestników protestów. Był to potężny sygnał dla rządzących, że Polska rośnie w siłę, ale ludziom nie żyje się lepiej; iż względna poprawa bytu nie stoi w żadnej proporcji do rozwoju Kraju.

Rząd cofnął się tym razem, ale rozdźwięk ze społeczeństwem pozostał. Narodził się wtedy Komitet Obrony Robotników, pomagający przede wszystkim rodzinom aresztowanych. A trzeba pamiętać, że tych aresztowanych ("prowodyrów" jak mawiała propaganda) było bardzo wielu...

Jak się mówi KOR, to od raz kojarzą się z nim dwa nazwiska: Jacek Kuroń i Adam Michnik, które - jak się okazało - na stałe weszły do życia politycznego naszej Ojczyzny. KOR nigdy nie stał się efemerydą jak "Po Prostu"; stał się słupem milowym spinającym daty: 1956-1968-1976-1980 i 1989. To wtedy powstała symbioza między klasą robotniczą a inteligencją, to wtedy okazało się, że "Król jest nagi", że doktryna komunistyczna jest sposobem na życie, ale dla ... aniołów, bo większość ludzi na świecie uważa, iż co społeczne to niczyje i nie dba o to tak, jak o własność prywatną.

W marcu 1976 otrzymałem rozwód z moją pierwszą żoną, matką naszych trojga dzieci. Rozwód ten otrzymałem na pierwszej rozprawie, bo wg. opinii lekarzy kontynuacja tego małżeństwa mojej żonie nic nie pomoże, a mnie zaszkodzi. Faktem jest, że osoba cierpiąca na ten typ choroby wytwarza jakieś prądy, negatywnie działające na współmieszkańców. Mówiąc prawdę, to podczas rozprawy rozwodowej płakałem, bo żona doprowadzona została na salę sądową ze szpitala, a ja byłem wobec jej choroby bezsilny.

Jestem o tyle w porządku, że nie opuściłem rodziny kiedy dzieci były małe, bo najmłodsza córka skończyła wówczas 22 lata, a syn i starsza córka ukończyli studia wyższe oraz założyli własne rodziny.

W tym samym czasie w życiu zawodowym nastąpił jakiś regres. Zaczęto budować hutę Katowice, co pociągnęło za sobą wstrzymanie realizacji w Polsce około trzystu innych inwestycji. Ta huta była bardziej potrzebna naszemu sąsiadowi i głównie dlatego została zbudowana. Współzależność była tak duża, iż przeważały raczej silniejszego.



Moment uruchamiania połączenia promowego między Świnoujściem i Ystad; trzeci od lewej Stanisław Ostrowski wita się z przedstawicielem Szwecji

dokumenty i udałem się na ulicę Szpitalną Nr 5 (stara siedziba "PolSERVICE"). Po kilku dniach zgłosiłem się tam ponownie, żeby usłyszeć, że moja kandydatura została zaakceptowana, z propozycją wyjazdu na dwa lata do Algierii, pod warunkiem zdania egzaminu z języka francuskiego i uzyskania zgody resortu, co w moim wypadku dotyczyło Urzędu Prezydenta Warszawy. I jedno i drugie załatwiłem pomyślnie, a ciekawostką jest fakt, że zgodę na wyjazd otrzymałem od ówczesnego (a był to rok 1976) viceprezydenta Warszawy mgr inż. Jerzego Brzostka, który pożegnał mnie słowami: "zazdroszczę panu". Co do języka francuskiego to muszę wyznać, że uczyłem się tego języka przez cztery lata (1935-39) w gimnazjum, ale coś mnie tchnęło i w latach 1966/67 uczęszczałem we "Wspólnej Sprawie" na kurs języka francuskiego dla zaawansowanych, gdzie wykładał wybitny pedagog - profesor Uniwersytetu Warszawskiego - pan Pienkoś (imienia, niestety nie pamiętam). Bez tych kursów miałbym trudności z uzyskaniem pomyślnego wyniku egzaminu w Katedrze Języków Romańskich U.W. przy ul. Banacha. Bezinteresowne - wydawałoby się -

Nauczony dobrej roboty przez prawie trzydzieści lat swojej pracy, której apogeuem stanowiła Trasa Łazienkowska, zacząłem się "dusić", gdy wszystko nagle "siadło". Gdy byłem w tak kiepskim nastroju, spotkany kolega namówił mnie do złożenia mojego dossier w "PolSERVICE", który załatwia indywidualne kontrakty polskich fachowców za granicą. Przygotowałem więc potrzebne do-

przyswojenie języka francuskiego w roku 1966 okazało się - po 10 latach - przepustką na wyjazd za granicę, co było marzeniem wielu Polaków.

Przymierzając się do wyjazdu, musiałem także uregulować swoją sytuację osobistą. Od pewnego czasu łączyły mnie coraz mocniejsze więzy z koleżanką z pracy o imieniu Krystyna. Była już od dłuższego czasu bezdzietną rozwódką i nie myślała nawet o powtórnym małżeństwie. Miała ciekawy życiorys; przez blisko cztery lata przyglądałem się jej uważnie: im lepiej ją poznawałem, tym bardziej zyskiwała w moich oczach.

Gdy mimochodem wspomniałem o małżeństwie, nie była ani zdziwiona, ani zaskoczona, przyjęła to ze spokojem. W perspektywie wspólnego wyjazdu, widzieliśmy niepowtarzalną szansę poznania świata i ustabilizowania sytuacji materialnej. Nie wiedzieliśmy przecież wtedy, że te początkowe dwa lata trwać będą aż lat dziesięć, które okazały się tak ważne dla Polski.

LATA 1977 - 1987

9 lutego 1977 roku, w swoje 54 urodziny siedziałem sam w samolocie do Tunisu (stolica Tunezji), gdzie było pierwsze lądowanie przed docelowym przylotem do Algieru (stolica Algierii). Padał śnieg, a żona - Krystyna, machała mi ręką na pożegnanie. Przyjechać miała do mnie później, jak się trochę urządzi.

W dziwnym byłem, jak pamiętam, nastroju. Z jednej strony cieszyłem się, ale jednocześnie trochę się bałem, czy dam sobie radę, jak będę się czuł w nowym środowisku i klimacie, a poza tym zastanawiałem się, czy nie rozpocynam tej przygody zbyt późno.

Przywołałem swój pierwszy po wojnie wyjazd na zachód (o którym zapomniałem napisać) do Turynu we Włoszech, na "Światowy Kongres na temat walki z wodą przy budowie tuneli". Ale wtedy byłem członkiem 6-osobowej delegacji polskiej, dość wysokiego szczebla i jechałem do kraju europejskiego.

Miałem jednak bezsporną satysfakcję, że "Polservice" zaakceptował moją kandydaturę na wyjazd bez żadnej protekcji i bez żadnych "prezentów".

Poza tym traktowałem ten kontrakt jako jeszcze jeden egzamin, jeszcze jedno wyzwanie, którego pokonanie może przynieść wiele zadowolenia i wzbogaci moją osobowość.

Pierwszy kontrakt z "trzecim", jak się u nas mówiło, światem, tj. lotnisko w Tunisie przekonał mnie, że z tymi światami to jest akurat odwrotnie.

Wszystko tam lśniło czystością i rozmachem, nasze "Okęcie" można było zakwalifikować do prowincjonalnych portów lotniczych.

Na lotnisku w Algierze oczekiwał mnie przedstawiciel "PolSERVICE'u", pan Mikołajczyk i prosił o wyrażenie zgody na pracę w Annabie (600 km na wschód od Algieru), także nad morzem, oczywiście Śródziemnym. Jest to Cote d'Azur (Lazurowe Wybrzeże) od strony południowej tego morza. Roślinność i klimat podobny do francuskiego Cote d'Azur. Miałem kontakt z Ministère des Travaux Publics (Ministerstwo Robót Publicznych), w którym "stało" napisane, że moim miejscem pracy będzie Algier, stolica Algierii.

Razem z panem Mikołajczykiem pojechaliśmy do Ministerstwa, gdzie dyrektor Departamentu chciał osobiście wytłumaczyć mi, skąd się wzięła ta zmiana. Otóż w Algierze jest więcej zagranicznych specjalistów, a Annaba "choruje" na ich brak. Algier nie może zapewnić mi mieszkania wcześniej, niż za rok, w Annabie otrzymam mieszkanie w ciągu kilku miesięcy. Perspektywa mieszkania przez rok w hotelu (nawet dobrym) w dużym i ruchliwym mieście, dwumilionowego Algieru nie wydała mi się pożądana i dlatego zgodziłem się jechać do Annaby - półmilionowego spokojnego miasta, tym bardziej, że gospodarze czekali tam na mnie z otwartymi ramionami.

Tak więc rozpocząłem pracę w "Direction des Infrastructures et de l'Équipement de la Wilaya d'Annaba", co odpowiadało mniej więcej Wojewódzkiej Dyrekcji Gospodarki Komunalnej, której podlegały także drogi, ulice, mosty i obiekty inżynierskie. Była to służba inwestorska, a do moich obowiązków należała weryfikacja projektów wstępnych i technicznych oraz opracowywanie własnych projektów dla pilnych zadań inwestycyjnych.

Przyjechałem do Algierii w porze tamtejszej wiosny; słonecznie (pora intensywnych opadów atmosferycznych już minęła), temperatura +20° do +25° C i zielone, rozkwiecione łąki pokrywające okalające Annabę wzgórza. Szalony kontrast z szarą i wydającą się brudną w roztopionym śniegu Warszawą, jaką widziałem zaczynając podróż.

Tymczasem zamieszkałem w pokoju gościnnym Dyrekcji, mieszczącym się obok biura. Rekompensatą za chwilowy brak własnego mieszkania był karnecik (bezpłatny) na posiłki, które jadałem w bardzo blisko położonym Technikum należącym do resortu.

W Algierze dostałem 1000 dinarów zaliczki na pensję, która wynosić miała 4500 dinarów algierskich. Była to równowartość 1200 dolarów, ale ja dostawałem tylko połowę tej kwoty w dinarach, a połowę mogłem transferować do Polski, gdzie miałem konto dewizowe. Po zapłaceniu jeszcze haraczu dewizowego dla "PolSERVICE'u" mój transfer (na czysto) wy-

nosił 350 do 400 dolarów miesięcznie. Jeśli wziąć pod uwagę, że były to czyste oszczędności, a średnia pensja w kraju wynosiła w przeliczeniu 30 dolarów, to było czego mi zazdrościć. Dodać muszę, że pozostałe dinary wystarczały na przyzwoite życie i wycieczki po tym ogromnym kraju. A jacy byli ludzie?

Pierwsze wrażenie, to dużo młodzieży, drugie - to sympatia dla przybyszów z Polski; piszę przybyszów, bo oprócz mnie do biura w Annabie przyjechało w krótkim czasie jeszcze dwóch polskich inżynierów: jeden z Katowic, a drugi z Łukowa. Sympatia wynikała, jak mówili Algierczycy, z podobnej historii. Oni byli pod okupacją francuską przez prawie 130 lat (do roku 1962), a my straciliśmy niepodległość na 123 lata (rozbiory). Tylko zapomnieli dodać, że przed II wojną światową Algieria była zamorskim Departamentem Francji, miała trzech posłów w Zgromadzeniu Narodowym w Paryżu i nie było żadnej dyskryminacji tubylców. Poza tym "okupacja" francuska = cywilizacja. Aż żal było patrzeć na zaniedbaną od 15 lat (tzn. po exodusie dużej części Francuzów) infrastrukturę, którą przedtem zbudowali i zarządzali nią Francuzi, zapewniając miejsca pracy i szkoląc średnie kadry spośród Algierczyków. Na tle okupacji totalitarnej w Polsce w latach 1939-1945, życie Algierczyków pod tak zwaną okupacją francuską, było prawie idyllą.

Ja tymczasem czekałem na żonę. Smutne właściwie jest życie samotnika w obcym, bądź co bądź, kraju. Gdy wreszcie dostałem wiadomość, że Krystyna przylatuje do Algieru 8 marca (tzn. równo miesiąc po mnie), bardzo się ucieszyłem. Dostałem dwa dni urlopu i pojechałem po nią koleją na lotnisko do stolicy Algierii. Dlatego koleją (600 km), ponieważ moja instytucja dysponowała bezpłatnymi biletami kolejowymi, a za samolot musiałbym płacić z własnej kieszeni.

"... Jak Cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto Cię stracił..."

Gdy jest się parę miesięcy po ślubie i siła wyższa rozłączy partnerów tylko na jeden miesiąc (a zakładam, że pobrali się z miłości), to jest to bardzo dużo: 30 dni i ... 30 nocy (nie mniej ważnych).

Po spędzeniu noclegu w hotelu w Algierze, wsiedliśmy na drugi dzień rano do pociągu (pośpiesznego), który po ośmiu godzinach dowieźć miał nas do Annaby, oddalonej - jak wiemy - 600 km od Algieru. W wagonie I klasy 3/4 miejsc było wolnych. Pogoda była ładna, na każdej stacji pociąg zatrzymywał się przynajmniej 10 minut, żeby można było wysiąść, kupić jakieś zimne napoje, czy napić się kawy. Ale nie dojechalismy na miejsce przeznaczenia bez pewnych przykrych incydentów; otóż mniej więcej w połowie drogi, pociąg nasz (w tym i nasz wagon) został obrzucony kamieniami przez wyrostków (chuliganów) algierskich. Zostało też wybite okno na wysokości naszego przedziału, ale na szczęście w korytarzu. Jak się okazuje, łobuzeria w każdym kraju zachowuje się jednakowo.

Na dworcu w Annabie wziętem z fasonem taksówkę i po pięciu minutach wprowadziłem żonę do zajmowanego pokoju hotelowego.

Muszę tu od razu zaznaczyć, że w wielu mieszkaniach, w krajach tropikalnych (a do takich należy zaliczyć Algierię) posadzki są kamienne; w czasie upałów te rozgrzane podłogi polewa się zimną wodą; obniża to temperaturę, a ponadto umożliwia przez częste zmywanie zachowanie czystości. Tak też było w naszym "apartamencie".

Mieszkaliśmy w tym pokoju gościnnym tylko 6 tygodni. W końcu kwietnia przeprowadzono nas do nowego mieszkania 4-pokojowego o powierzchni około 90 m² w nowej dzielnicy Annaby - Sonatiba. Osiedle to było oddalone o 6 km od mojego Biura, ale mimo, że swój samochód (Fiat 125p) zostawiłem w Polsce synowi, nie jeździłem autobusami, lecz cztery razy na dzień przyjeżdżało po mnie auto Peugeot z kierowcą, bo pracowaliśmy od godz. 8-12 i od 14-18 (12-14 południowa sješta).

Uprzedzam, że nie będę opisywał dzień po dniu naszego 10-letniego pobytu w gościnnej w tamtym czasie Algierii, ale podam kilka charakterystycznych wydarzeń.

Pierwsza nasza noc na nowym mieszkaniu. Było bardzo gorąco. Krystyna otworzyła okna i wieczorem (po wysłuchaniu audycji radiowych do 23.00, położyliśmy się spać. Gdzieś około godziny czwartej rano - gdy rozwidniało się - obudziliśmy się oboje, widząc z przerażeniem, że w pokoju było czarno od komarów, a my oczywiście pogryzieni okropnie. Jak się okazało, "frycowe trzeba płacić". Ale już od następnej nocy okna wieczorem można już było otwierać, bo były odpowiednio zabezpieczone przeciw intruzom.

Po paru dniach nasza młoda sąsiadka algierska zadzwoniła do nas i powiedziała, że bezinteresownie umyje nam podłogę; gdy się z nią witałem, ku mojemu zaskoczeniu pocałowała nie w rękę. Cóż, był to kraj arabski, gdzie mężczyźni uważani są za lepszą połowę ludzkości. Na początku naszego tam pobytu, kiedy dinary algierskie uważaliśmy za dewizy, staraliśmy się żyć oszczędnie. Poza tym pierwszą pensję za dwa miesiące (luty i marzec) otrzymałem dopiero na początku kwietnia 1977 r., ale następne wypłaty już regularnie.

Najbardziej rozkoszowaliśmy się klimatem, bo też okres od lutego do połowy maja, to jak nasze pogodne lato. Dla przybliżenia czytelnikom tego kraju, któremu zawdzięczam 10 lat ciekawego i urozmaiconego życia, gdzie ani jednego dnia nie chorowałem i gdzie zostawiłem na stałe trwałe ślady polskiej myśli technicznej w postaci projektów z dziedziny dróg i obiektów inżynierskich (które były zrealizowane), podam poniżej bliższe dane o Algierii.

Nazwa: République Algérienne Démocratique et Populaire

Algierska Republika Ludowo-Demokratyczna

Położenie: północna Afryka nad Morzem Śródziemnym, między 15° zach. a 12° długości geograficznej wschodniej i 16° a 33° szerokości geograficznej północnej; granicząca od zachodu z Marokiem, od północnego wschodu z Tunezją, od południowego wschodu z Libią, a od południa z Mali. Część wielkiego Mahgrebu, czyli islamskich państw Afryki północnej podległych Francji.

Stolica - Algier liczy około dwóch milionów mieszkańców; większe miasta do dwa porty: Oran odległy o mniej więcej 350 km na zachód od Algieru i Annaba leżąca 600 km na wschód od Algieru (i w przybliżeniu 100 km od granicy z Tunezją) oraz Constantina położona w odległości 100 km od morza, dawna stolica wschodniej Algierii.

W 1990 roku liczba ludności Algierii wynosiła około 24 milionów, podczas gdy w 1977 roku, kiedy tam przyjechałem, kraj ten liczył zaledwie 14 milionów mieszkańców, to znaczy 2,5 krotnie mniej niż Polska. Można spodziewać się, że pod koniec bieżącego stulecia liczba Algierczyków będzie większa niż prognozowana liczba Polaków.

Trzeba jeszcze podkreślić, że jest to społeczeństwo bardzo młode, bo obecnie 18 milionów mieszkańców nie przekroczyło jeszcze 25 roku życia.

Przeciętna ilość dzieci w rodzinie wynosi 5-6.

Powierzchnia: 2.191.000 km² czyli około 8 razy większa od Polski.

Religia: mahometanizm - monoistyczna, uważana za jedyną prawdziwą. Mahomet urodził się w roku 570 naszej ery i kalendarz arabski przyjmuje to za rok zerowy. Według tego kalendarza rok jest o 10 dni krótszy, więc miesięczny okres świętego postu, czyli ramadanu zaczyna się wg naszego kalendarza w każdym roku o 10 dni wcześniej. Post ten dla nas wydaje się trochę dziwny, bo obowiązuje jedynie (zakaz jedzenia, picia i palenia papierosów, o alkoholu już nie mówię) od wschodu do zachodu słońca, natomiast nocą następuje coś w rodzaju naszego karnawału. Można urządzać uczyty, składać wizyty, obowiązują odświętne stroje, a nawet najbiedniejsza rodzina gromadzi na ten okres zapasy, aby odżywiać się lepiej, a potrawy były w miarę świąteczne. Koran stanowi świętą księgę i wyznawcy islamu uważają, że wszystko, co jest w nim zapisane, są to słowa Boga objawione Mahometowi w czasie jego nawiedzeń.

Dlatego tak wielką wrzawę wywołało wydanie książki Salmana Rushdiego "Szatańskie wersety".

Historia: W starożytności były to tereny Numidii uzależnione od Kartaginy, która teraz leży na przedmieściach Tunisu, stolicy Tunezji. Następnie tereny te podlegały Imperium Romanum, co nastąpiło w roku 45

p.n.e. W V i VI wieku kraj ten znalazł się przejściowo we władaniu germańskich Wandalów. Od 545 r. był prowincją bizantyjską. W końcu VII w. Arabowie podbili Algierię, która podzieliła los kalifatów; od XVI wieku stała się państwem korsarskim pod protektoratem Turcji; w latach 1830-1847 nastąpił podbój Algierii przez Francję i początek kolonizacji. W 1954 r. wybuchło powstanie zbrojne przeciw Francji kierowane przez Front Wyzwolenia Narodowego - główną obecnie partię rządzącą.

Klimat: nad morzem - śródziemnomorski z tym, że lato trwa 6 miesięcy (od kwietnia do września), a temperatura w cieniu wynosi $\sim 40^{\circ}\text{C}$, przy dużej wilgotności powietrza $\sim 75\%$. Nocą temperatura spada do 20°C . Zima to nasza jesień z gwałtowniejszymi opadami. Dwustukilometrowy pas nadbrzeżny posiada bardzo urodzajną glebę tak, że wszystkie świeże warzywa są do nabycia przez okrągły rok (część zbiorów nawet eksportują). Oczywiście trzeba tu dodać, że bardzo rozpowszechniona jest także uprawa owoców cytrusowych, daktyli i winnej latorośli. Jedynie banany pochodzą z importu. Flora jest także bardzo bogata, rosną wszystkie znane nam gatunki kwiatów i drzew oraz figowce, palmy, pinie, także kaktusy i inne. Nie uprawia się tylko żyta, tak że nasz chleb po paru latach pobytu tam, smakuje jak przysmak. Natomiast przez cały rok można nabyć zawsze świeże (pieczone dwa razy dziennie i nawet w dni świąteczne) bagietki - są to chrupiące długie bułki pszenne. Ciekawe, że najpopularniejszym napojem jest tu kawa pochodząca z importu.

Do niedawna były dwa języki urzędowe: francuski i arabski. Obecnie następuje arabizacja i z pewnością wkrótce język ojczysty wyprze francuski.

Nie można jednak zapominać, że powiązania Algierii z Francją w dalszym ciągu są bardzo duże (około 8000.000 Algierczyków przebywa na stałe we Francji), a francuski port Marsylia jest częściowo miastem algierskim. Poza tym okupacja francuska nie miała bynajmniej takiego charakteru, jaki pamiętamy z czasów okupacji hitlerowskiej. Pod względem cywilizacyjnym Algieria bardzo wiele zawdzięcza Francuzom, a Algierczycy są w dalszym ciągu zafascynowani kulturą Francji.

Dobłą sytuację ekonomiczną w latach siedemdziesiątych i na początku lat osiemdziesiątych (tzn. w okresie mojego tam pobytu) zawdzięczała Algieria esportowi gazu ziemnego i ropy. Naftowy boom jednakże trwał krótko, a wzrost liczby ludności, urbanizacja, niedostatek środków żywności i artykułów przemysłowych codziennego użytku spowodowały, że z algierskiego modelu rozwoju pozostały tylko ruiny. Nadal dochód kraju zależy w 95% od gazu ziemnego i ropy.

W sytuacji, gdy ceny ropy w ciągu 5 lat spadły 3-krotnie, liczba ludności wzrosła o 50%, a połowę wpływów z eksportu przeznaczają się na spła-

tę zadłużenia w wysokości 20 mld dolarów, można sobie wyobrazić jak drastycznie obniżyła się stopa życiowa ludności, co było przyczyną poważnych rozruchów w październiku 1990 r., podczas których poniosło śmierć około 500 osób.

W tej sytuacji islam, przedtem tak wydatnie wspierający algierską walkę o niezależność, wydaje się być gotów do wydania batalii własnemu rządowi w imieniu cierpiącego biedę narodu.

Urzędujący do niedawna prezydent Szadli, który był uprzednio sekretarzem generalnym Frontu Wyzwolenie Narodowego, to jest partii rządzącej, jako minister obrony i najwyższy rangą oficer, zdał sobie sprawę, że wraz ze strzałami do własnego narodu skończył się mit armii jako wyzwolicielki w walce antykolonialnej przeciw Francuzom.

Komentując tę degradację sytuacji ekonomicznej i ostatnie wydarzenia, prasa algierska pisała: "Chiny i Związek Radziecki już nie są wzorami. Słowa monopol i gospodarka planowa są równoznaczne z permanentnymi brakami". Jak z tego widać, wiele krajów, po zweryfikowaniu przez życie stosowanego przez nie modelu gospodarczego, szukało nowych dróg wyjścia z sytuacji kryzysowej.

Wybiegnę teraz myślą w przyszłość i podam warunki zatrudnienia polskich kooperantów technicznych wg konwencji z 1985 roku. Inżynier dyplomowany otrzymywał średnie wynagrodzenie 7200 dinarów, co wówczas odpowiadało kwocie (wg kursu czarnorynkowego) ok. 360 dolarów. Oficjalny kurs dolara, wg którego 50% tej kwoty było transferowane do kraju, był prawie 4-krotnie niższy od czarnorynkowego i wynosił blisko 5,5 dinara, co dawało około 660 dolarów miesięcznego transferu; odliczwszy 50% dla "Polservisu", 330 dolarów zostawało dla kooperanta, tzn. oszczędności były 10-krotnie wyższe niż pensja inżyniera na podobnym stanowisku w Polsce.

Trzeba dodać, że mieszkanie mieliśmy bezpłatne, a z 3600 dinarów na pełne utrzymanie dla dwóch osób wydawało się po roku 1985 około 2500 dinarów (w tej kwocie mieścił się koszt przyjmowania gości). Ponad 1000 dinarów miesięcznie pozostawało na wycieczki i zakupy inwestycyjne w miejscowej walucie. Kto chciał, mógł kupić za tę kwotę (od polskich kooperantów, którzy posiadali większe rodziny, tzn. przebywających z dziećmi uczęszczającymi do płatnych szkół francuskich) dodatkowo 50 dolarów. W firmach państwowych otrzymywało się jeszcze 660 dinarów, jako dodatek w formie ryczałtu za używanie własnego samochodu, a litr benzyny kosztował poniżej 3 dinarów, czyli kwota ta wystarczała na przejechanie około 2000 km miesięcznie.

Transport samochodowy jest w Algierii dziedziną bardzo ważną, ponieważ sieć kolejowa jest słabo rozwinięta (pociągi kursują rzadko, i ruch

towarowy dominuje nad osobowym), a wewnętrzne linie lotnicze - tak jak w Polsce - mają połączenia tylko z większymi miastami. Normy projektowania zarówno dróg jak i mostów opierają się na normach francuskich. Dotyczy to także sygnalizacji poziomej i pionowej, jak również obliczania światła mostów i przepustów. Ciekawostką jest, że wiele cieków nie prowadzących wody przez długie miesiące, w czasie gwałtownych opadów - dotyczy to zwłaszcza okresu zimowego, zamieniają się w rwące strumienie, a poziom wody osiąga kilka metrów; szybkość przepływu wynosi około 5m/sek. Wynika to z konfiguracji terenu, ponieważ w pasie nadbrzeżnym o szerokości około 300 km - w przeciwieństwie do Sahary, która w zasadzie jest płaska - jest wiele wzniesień, zaś pasma górskie dochodzą do wysokości nawet 2000 m.

Jeśli chodzi o organizację budowy robót drogowych, to trzeba podkreślić ich rozmach. Obowiązuje zasada, że nie uznaje się ich ślimaczenia. Przystępuje się do budowy, gdy wszystko "zapięte jest na ostatni guzik": zweryfikowana dokumentacja techniczna, zapewniona obsługa geodezyjna, przeprowadzone odwierty geologiczne, właściwe przygotowanie sprzętowo-materiałowe, zorganizowane kierownictwo i nadzór oraz zaplecze socjalne dla załogi. Większe budowy realizowane są przez Entreprises-mixtes, tzn. przez przedsiębiorstwa mieszane algiersko-zagraniczne, najczęściej algiersko-francuskie lub algiersko-niemieckie. Postęp robót jest oczywiście większy niż w Polsce, wynika to przede wszystkim z faktu przedłużenia sezonu robót przynajmniej do 10 miesięcy w roku i wyższego stopnia zmechanizowania. Dobrodziejstwo klimatu powoduje, że nawierzchnie asfaltowe, najczęściej asfaltobetonowe na podbudowie tłuczniowej są rzeczywiście czarne przez okrągły rok. Ciekawe, że w normalnym przekroju poprzecznym odstępuje się w Algierii od stosowania piasku jako warstwy filtracyjnej. Stosuje się natomiast jako "couche de fondation" czyli warstwę fundamentową t.zn. w naszej nomenklaturze warstwę podłoża grubości 20-25 cm zależnie od zadanego obciążenia, o uziarnieniu 0-100 mm; jest to jednocześnie warstwa filtracyjna oraz "couche de base", czyli podbudowa z warstwy tłuczni o uziarnieniu 40-60 mm o grubości 15-20 cm. Na to kładzie się "couche de roulement" czyli warstwa asfaltobetonu o grubości przynajmniej 6 cm, lub dwie warstwy asfaltobetonu, przy zadanych większych obciążeniach o łącznej grubości 10-12 cm.

Szerokość jednego pasa ruchu w zależności od klasy drogi wynosi od 3,00 do 3,75 m. Przy drogach państwowych obowiązuje projektowanie pasa awaryjnego, stanowiącego jednocześnie utwardzone pobocze o szerokości 2,50 m. Pobocza dróg o niższych klasach projektuje się także jako utwalone, ale nie muszą być one przykryte asfaltem (ze względów ekonomicznych).

Doskonałe asfalty z miejscowej ropy są odporne na wysokie temperatury, a zjawisko przełomów jest im obce.

A jak było w pracy? - Doskonale!

Urzędowałem na I piętrze w eleganckim gmachu przy ładnej ulicy (z palmami) w dużym klimatyzowanym pokoju o powierzchni około 20m² powierzchni: w Polsce pracowałoby w nim chyba 5 osób, ja pracowałem sam. Pierwszym Polakiem, który mnie tam odwiedził był mgr inż. Aleksander hrabia Tyszkiewicz, prezes kolonii polskiej w Annabie. Wpadł do mnie bodaj 5 marca 1977 roku, żeby mnie poinformować o przyjeździe mojej żony - Krystyny. Zaprzyjaźniliśmy się z Leszkiem (bo tak go nazywano) i z jego żoną Jadwigą.

Wybiegnę trochę do przodu. Rzecz dzieje się już w Polsce, parę lat po powrocie z kontraktu, a więc we wczesnych latach 90-tych. Gdy Aleksander Tyszkiewicz został przewodniczącym Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, odwiedziłem go w biurze przy ul. Nowowiejskiej i mówię:

- Leszek, przyjemną masz pracę, prawda?

A on: - Juliusz, jesteś pierwszą osobą, która nic ode mnie nie chce; mam masę interesantów, którzy zawsze proszą o jakieś interwencje itd. Dam Ci przykład: przez pół roku "nachodził" mnie sierżant X w zaawansowanym wieku i chciał wymusić na mnie, żeby pochować go po śmierci w kwaterze zasłużonych, na Cmentarzu Powązkowskim. Faktycznie, mam tam dwadzieścia miejsc, ale dla oficerów, od majora wzwyż; nie mogłem się od niego odczepić. Gdy odwiedził mnie po raz ostatni z plikiem papierów, to powiedziałem mu: niestety, nie mogę tego załatwić, bo brakuje najważniejszego dokumentu, świadectwa zgonu.

Potem porozmawialiśmy serdecznie, wspominając annabskie prywatki na kampusie, gdzie prawie 30 osób (teoretycznie 15 par) bawiło się mniej więcej, co dwa tygodnie od godz. 20 we czwartek do godziny 5 rano w piątek (to arabska niedziela), gdzie śpiewano pieśni patriotyczne, opowiadano kawały, komentowano wydarzenia polityczne i tańczono, tańczono, tańczono w klimatyzowanym salonie o powierzchni 36 m². Oczywiście był wśród nas szpicel, ale nikt się tym nie przejmował, bo nie zakładaliśmy organizacji podziemnej, nie walczyliśmy o władzę, a odważni mogą wypowiadać prawdę zawsze i wszędzie.

Jeszcze wybiegnę okilka lat naprzód, żeby przypomnieć fakt, zapewne znany większości Czytelników: 17 lutego 1995 roku zmarł nagle w wieku 76 lat śp. Aleksander Tyszkiewicz.

Pułkownik w stanie spoczynku, uczestnik kampanii wrześniowej 1939 roku, oficer Armii Krajowej, w czasie Powstania Warszawskiego rotmistrz - dowódca szwadronu 1 Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, jeniec oflagu Sandbostel, przewodniczący Światowego Związku Żołnierzy Armii

Krajowej, przewodniczący Społecznej Rady Kombatantów przy Prezydencie RP, zastępca przewodniczącego Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych, prezes Porozumienia Organizacji Żołnierzy Armii Krajowej, Kawaler Srebrnego Krzyża Orderu Virtuti Militari i Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski oraz wielu innych odznaczeń. Emerytowany inżynier mechanik, były główny technolog Zakładów Mechanicznych "Urusus" i Przesiębiorstwa Projektowania i Wyposażenia Odlewni "Prodlaw", wykładowca politechniki w Annabie (Algieria). Aktywny członek stowarzyszeń naukowo-technicznych.

Duża to była strata dla Armii Krajowej i Polski. Odchodzą ci, których determinacji w czasie II Wojny Światowej (1939-1945), a może jeszcze większej w latach 1945 - 1956 zawdzięczamy (czego zupełnie nie rozumie młode pokolenie), że dzisiaj w naszym Kraju językiem urzędowym jest ... język polski.

Wróćmy do Annaby: we wrześniu 1977 roku otrzymałem obietnicę, że w grudniu tego samego roku (po 10-miesięcznej pracy) otrzymam urlop wypoczynkowy. Do Polski coś nas ciągnęło, nie tylko perspektywa spędzenia Świąt Bożego Narodzenia w gronie rodzinnym.

Na lotnisku w Warszawie w dniu 6 grudnia 1977 roku, witał nas starszy brat - Stasiek, ale ze złą wiadomością: Mama leży na wyciągu w szpitalu Bielańskim w Warszawie, poślizgnęła się na umytej drewnianej podłodze w kuchni (w pokoju była klepka) i złamała kość w stawie biodrowym. Gdy uświadomiliśmy sobie, że Mama 20 kwietnia 1977 roku skończyła 88 lat, to perspektywy na jej uratowanie były niewielkie.

I teraz zrozumieliśmy co tak ciągnęło nas do domu: to Opatrzność kazała nam wrócić, żeby zobaczyć jeszcze za życia Mamę, naszą kochaną Mateczkę. Na drugi dzień zameldowaliśmy się w szpitalu; serca mieliśmy ściśnięte: w jakiej formie będzie Ona? Leżała w pokoju razem z trzema innymi pacjentkami, od razu nas poznała; wyjęliśmy z saszetki świeżutkie mandarynki, zerwane z drzew w Algieri trzy dni temu i zaczęliśmy Mamę karmić: - Jakie pyszne, jak ładnie pachną! - powtarzała. Oczywiście poczęstowaliśmy mandarynkami także pozostałe pacjentki. Poprosiliśmy jedną pielęgniarkę, żeby dyżurowała w nocy (oczywiście odpłatnie) przy Mamie i poszliśmy do dyżurnego lekarza. Patrzył na nas jak na bandytów, odpowiadał półgębkiem, niechętnie i prawie opryskliwie, na nasze pytania. Niestety, nie był to lekarz z powołania i nie zdawał sobie sprawy, jak szlachetną ma pacjentkę.

Wyszliśmy ze szpitala przygnębieni, zaczęliśmy się modlić za zdrowie Mamy, ale nie chcieliśmy myśleć o najbliższej przyszłości. Jeszcze dwa razy odwiedziliśmy Mamę (ostatni raz 12 grudnia 1977 roku), a 14-go w godzinach rannych dostaliśmy telefoniczną wiadomość, że Stanisława Ostrowska zakończyła życie.

Jakże wspaniałe było to życie: wychowała całe zastępy uczniów, za-
szczepiając w ich sercach miłość Ojczyzny, ukochanie języka polskiego i
wiarę, że prawda i dobro zawsze będą w cenie na tym świecie.

Pogrzeb odbył się w Pruszkowie w dniu 17 grudnia 1977 roku; pogo-
da była - jak na grudzień - ładna, odprowadzały ją tłumy, a pożegnali
Matkę i Nauczycielkę w pięknych i wzruszających przemówieniach: mój
starszy brat - Stanisław i oczywiście Wojciech Zukrowski.

Zabrakło Mamie niespełna dwóch tygodni, żeby spędzić najbardziej
rodzinne Święta Bożego Narodzenia razem z nami. Dlatego smutne to by-
ły święta. Ale pociechą był fakt, że dożyła sędziwego wieku, nie będąc
dla nikogo ciężarem. Jestem pewien, że patrzy na nas i czuwa nad nami
nadal.

Wróciliśmy do Algierii na Nowy 1978 Rok i stale w rozmowach wracali-
śmy do tego, że nie planowany urlop pozwolił nam pożegnać się z Mamą.
Może to być przypadek, ale ja w przypadki nie wierzę: każdy skutek musi
mieć swoją przyczynę.

W Annabie była kaplica i raz w miesiącu polski ksiądz przyjeżdżał do
nas i w piątek ("ichna" niedziela) odprawiał Mszę Św. Uczestniczyło w niej
około 80 Polaków kooperantów i pracowników huty El Hadjar. Było to
wzruszające, łączyło i pozwalało przywołać w pamięci kraj ojczysty. Cie-
kawostkę stanowił zwyczaj, że wobec niemożności wypowiedzenia tak
znaczej ilości wiernych, obecni - po wzbudzeniu w sobie żalu za grzechy
- otrzymywali od kapłana ogólne rozgrzeszenie i mogli przystąpić do ko-
munii św.

Drugim Polakiem, który mnie odwiedził (służbowo) w moim biurze, był
Stefan Truszkowski (także z Warszawy). Pracował on w firmie amerykań-
skiej, mieszkał w najelegantszym apartamencie hotelowym i zarabiał "du-
że" pieniądze w dolarach. Waluty miejscowej (diety) miał tyle, że co parę
dni mógł zapraszać bliższych znajomych na kolację do eleganckich
knajp. Jego żona, Zenia była osobą bardzo towarzyską i to ona była ini-
cjatorką tych spotkań.

Po paru miesiącach mieszkania na Sonatibie wystąpiłem do swojego
dyrektora o nowe mieszkanie, bliżej biura, bliżej miasta i bliżej morza. Pro-
śba moja została uwzględniona i na wiosnę (a był to rok 1978) przenieśli-
śmy się do mieszkania po kooperantach francuskich, które to mieszkania
spełniało wszystkie te warunki.

Było to mieszkanie trzypokojowe z wygodami, na wysokim parterze.
Do morza było 500 m, do biura 1500, a do miasta (chodzi o kina, kawiarnie)
około 2200 m. Wszędzie można było dojść piechotą lub dojechać au-
tobusem. Zresztą w tym samym domu mieszkał mój kolega z naszego
biura mający własny samochód. Jeździliśmy więc często razem.

W miarę upływu czasu poznawaliśmy coraz więcej Polonusów, z którymi wyjeżdżaliśmy na ładne i coraz to nowe plaże, oddalone od Annaby od 30 do 60 km. Dla samochodu nie była to żadna odległość.

Wspomnę teraz o działalności w PZPR - otóż nie było żadnej. Przynależność do partii polegała na płaceniu w Algierze u skarbnika miesięcznej składki w wysokości 50 dinarów, co odpowiadało 5-9 dolarom, według ich wartości na czarnym rynku.

Byliśmy bardzo dobrze poinformowani, co się dzieje w świecie i kraju; prenumerowaliśmy z Polski "Życie Warszawy", "Perspektywy" i "Przekrój". Kupowaliśmy także miejscową gazetę w języku francuskim oraz paryski "Le Monde", który w Annabie był w kioskach na drugi dzień po ukazaniu się we Francji. Słuchaliśmy wieczorem radia z Warszawy, radia France Internationale po francusku i po polsku, BBC, "Głosu Ameryki", a najrzadziej "Wolnej Europy", która wydawała się nam zbyt agresywna. Mieliliśmy też świeże wiadomości z kraju, bo przyjeżdżały żony kolegów, a i my - kooperatorzy - braliśmy urlopy w różnych terminach.

Reasumując, te pierwsze 1,5 roku naszego pobytu na obczyźnie - na tle sytuacji w Polsce - potweirdzało to, co już sam (na własnej skórze) stwierdziłem w roku 1976, że w drugiej połowie rządów tow. Gierka zaczęło w Polsce coś "pękać". Można powiedzieć, że dla rządzących zaczęły się "schody". Nic dziwnego, iż skorzystałem z propozycji Ministerstwa, które zaproponowało mi przedłużenie kontraktu o dalsze dwa lata.

W połowie 1978 roku przyjechali do nas na miesiąc mój brat Stasiak z bratową. Byli zachwyceni Algierią. Pamiętam, że były wtedy mistrzostwa świata w piłce nożnej i Deyna przy stanie 1:0 dla Argentyny przestrzelił karnego i załamało to tak polską drużynę, że zamiast wygrać ten mecz - przegrała 0:2, a obie bramki zdobył młody napastnik (chyba Kempes).

Żałuję, że do Algierii, mimo wielu zaproszeń, nie przyjechał syn Bolesław z rodziną, ale to przez synową, która bała się i boi latać samolotami.

A propos samolotów. Ja czułem się w samolocie swobodnie, zawsze w chwili startu przeżegnałem się i nie myślałem o żadnym niebezpieczeństwie. Zakładałem, że co ma być, to będzie, a ja nie mam na to żadnego wpływu. Jak była pogoda, to patrzyłem na białe chmury lecąc nad nimi na wysokości 10000 m w słonecznej scenerii. Inaczej było z Krystyną. Muszę tu ujawnić, że małżeństwa, w których oboje posiadało kontrakt zagraniczny, np. on - inżynier, ona - lekarz i mieli już okrągłą sumę na koncie, nie latali (chyba ze względu na możliwy wypadek) tymi samymi samolotami: jak on we wtorek, to ona np. w piątek. Jak się okazuje, zamożność też ma swoje słabe strony i często jest powodem zmartwień, żeby nie stracić tego, co się posiada. Dzisiaj w ogóle jest niebezpiecznie "obnosić się" ze swoim bogactwem.

W roku 1979 doszliśmy do wniosku, że bez własnego samochodu nie zwiedzimy tak wielkiego kraju, jak Algieria i zaczęliśmy myśleć o nabyciu polskiego samochodu "Polonez". Dowiedzieliśmy się, że można taki samochód nabyć w Paryżu u Chartonnet. Chcieliśmy to połączyć z prawdziwym urlopem w kraju, na który wybieraliśmy się dopiero latem 1980 r. Samolotem do Warszawy, samolotem z Warszawy do Paryża i samochodem z Paryża do Marsylii, skąd promem do Algierii i do "naszej" Annaby.

Dłuższy urlop w kraju połączony miał być także z załatwieniem spraw mieszkaniowych, bo chcieliśmy zamienić elegancką kawalerkę, która był a doskonałym mieszkaniem dla jednej osoby, na jakieś M3, mniej więcej 50 m².

Teraz muszę znowu cofnąć się do roku 1960, kiedy to z "Orbisem" pojechałem sleepingiem na wycieczkę: Warszawa, Wilno, Ryga, Tallin, Leningrad, Moskwa, Warszawa.

W Wilnie byłem po raz pierwszy przed wojną w roku 1935 - piękne to miasto. Ostra Brama przez te 25 lat nie zmieniła się, ludzie w dalszym ciągu modlili się w tym sanktuarium, tylko było ich mniej i raczej w starszym wieku. Człowiek wrażliwy musiał tam odczuwać kruchość ludzkiego życia. Ciekawe było to, że w Rydze i Tallinie przewodniczki więcej mówiły o dziejach miasta, gdy były one stolicami niepodległych państw, niż o czasach, kiedy zostały stolicami republik sowieckich.

W Leningradzie trafiliśmy na białe noce (był to koniec czerwca); miasto bardzo się nam podobało.

I wreszcie Moskwa. Plac Czerwony i mauzoleum twórców realnego socjalizmu: Lenina i Stalina. Kolejka ludzi, a wewnątrz mała głowa Lenina i duża Stalina. Leżeli koło siebie jak bracia, lecz za życia różnie to było z tym braterstwem. Gdy w roku 1975 ponownie byłem w Moskwie, Stalina już usunięto, więc Lenin wyglądał na sierotę.

Żeby skończyć z moimi wyjazdami za granicę przed rokiem 1977, to muszę powiedzieć, że z "demoludów" odwiedziłem także złotą Pragę (zwiedzaliśmy tam zaawansowaną budowę metra), Bratysławę, Budapeszt i NRD z Alexander Platz, gdzie na wieży zbudowano obracającą się kawiarnię.

Jeśli chodzi o sytuację polityczną w Kraju, to znowu potwierdziła się zasada, że pod koniec dekady władza zaczyna się wymykać rządzącym. Czy chodziło o to, że tylko 10 lat można oszukiwać naród?

Żyliśmy sobie w Algierii, jak u Pana Boga za piecem, aż doczekaliśmy sierpnia 1980 roku. W tym czasie właśnie przyjechaliśmy na urlop do Warszawy. Po odwiedzeniu i obdarowaniu całej Rodziny i załatwieniu formalności mieszkaniowych, na początku września 1980 roku przybyliśmy samolotem do Paryża. Kupujemy "Le Monde" ("Świat") - umiarkowaną ga-

zetę codzienną - a tu na pierwszej stronie: "Edward Gierek chory na serce, zmiana na stanowisku I Sekretarza Biura Politycznego PZPR. Stanisław Kania następcą Gierka. Znowu coś "pękło". W Paryżu mieliśmy "me-tę" u średniego brata znanego pisarza, Jana Dobraczyńskiego, który witał nas wraz z własną żoną, a moją koleżanką szkolną, Danusią Krukowską. Mieszkają tam od 30 lat i mają podwójne obywatelstwo - francuskie i polskie. On jest doktorem - inżynierem, a oboje naszymi przyjaciółmi. Znamy się od wielu lat, byłem nawet na ich ślubie, chyba czterdzieści lat temu. Mieszkali wtedy razem z rodzicami i Janem we własnym domu przy ul. Hetmańskiej w Warszawie na Grochowie.

Pytali nas o Kanię, ale myśmy nie bardzo wiedzieli kto to jest, mogliśmy tylko przekazać im, że "chorobę" Gierka uważamy za dyplomatyczną.

Minął sierpień 1980 roku, o którym pod koniec tego miesiąca a na początku września można było zawołać:

*"O roku ów, kto w Tobie widział Kraj w wolności,
Pamiętny roku zmagani i ...Solidarności!
Tym roku, w którym Naród obudził się wreszcie
I zawołał najgłośniej: oprawcy, nie wierzcie,
Że złamać Polskę można tym pejczem radzieckim,
Bo wrogowi kto służy ziarnem jest zdradzieckim.
A z takiego ziarna dobrego nic nie będzie,
Gdy myślicie inaczej, to jesteście w błędzie!"*

Gdy wjeżdżamy do miasta, wydaje nam się, że czas zatrzymał się w miejscu: większość zabudowań to wiek VII i VIII, tzn. budynekczki starsze niż nasze średniowiecze; uliczki wąziutkie, wszystko z kamienia, a spotykane Algierki (z zastąpionym jednym okiem) nie pozwalały się fotografować, bo to wymysł "diabła".

Wróciliśmy z tej wycieczki (a byliśmy we czwórkę) pełni wrażeń i jacyś odświeżeni. Tak zwane duże problemy stały się małymi, "zawirowany" świat oddalił się od nas, mogliśmy odpocząć od złych ludzi i przekonać się, że dużo ludzi żyjących dalej od tych, co rządzą światem jest spokojniejszych, łagodniejszych i przyjaźniejszych dla innych, czas płynie dla nich wolniej, są zdrowi, szczęśliwi, bo żyją w zgodzie z naturą.

Paryż zawsze jest piękny i jest miastem (właściwie aglomeracją) urokliwym: to jest chyba siedem miast o nazwie Paryż, z których każde ma swoisty klimat i emanuje kulturą. Zazdrościliśmy Francuzom, że wprowadzie przez kolaborację z Hitlerem, marszałka Petain'a, sławnego zwycięzcy spod Verdun w I wojnie światowej, ale jednak ich stolica, w przeciwieństwie do naszej, nie została zrównana z ziemią.

Nasz "Polonez" w Paryżu kosztował 3900 dolarów, co w roku 1980 było astronomiczną sumą w Polsce. Wynikało to z niskiego kursu franka francuskiego w stosunku do dolara. Gdy przyjechaliśmy nim do Algierii (przez morze promem samochodowo-osobowym) to wzbudzaliśmy sensację, bo nikt takiego samochodu jeszcze nie posiadał.

Mając swój samochód, poczuliśmy się pewniej i po paru miesiącach (chyba w końcu października 1980 r.) pojechaliśmy zapoznać się z Saharą, a naszym punktem etapowym było "święte miasto" Ghardaja położone o 800 km od morza, czyli mniej więcej na połowie drogi do granicy Algierii z Mali.

Jadąc w zasadzie płaską, Saharą, przekonaliśmy się, że od czasu do czasu zaskakują nas diuny, niewielkie, nieokreślonego kształtu wzniesienia z piasku w kształcie nieregularnych ostroboków; wygląda to bardzo malowniczo, bo padające z coraz to innej strony promienie słoneczne stwarzają światło-cienie. Diuny to nic innego jak ruchome piaski. Ale jeszcze większe wrażenie robią oazy z drzewami zielonymi, daktylami i wodą; to one pozwalają nomadom na wędrowanie po Saharze na grzbietach wielbłądów. Gdy powietrze jest rozgrzane do $+60^{\circ}$ C lub więcej, zachodzi zjawisko fatamorgany. Jednakże Sahara jest niebezpieczna; zgubienie głównego traktu grozi śmiercią z braku wody w dzień i zimna, tak - zimna - w nocy, gdy temperatura spada do ok. 0° C.

Sahara to także ropa naftowa i gaz, które jak już wspomniałem, są głównymi nośnikami (ok. 95%) dewiz z eksportu.

Dojeżdżamy wreszcie do Ghardaji: z wysokiego stoku rozciąga się przed nami wspaniały widok: bajecznie kolorowe wzgórza (jest ich siedem) we wspaniałej scenerii błękitnego (bez żadnej chmurki) nieba i złotych promieni słonecznych padających prostopadle do ziemi.

W 1983 roku wszystko biegło normalnym trybem w Algierii, mojej trzeciej ojczyźnie (tu wyjaśniam, że pierwsza to Polska, a druga Francja). Dodam: gdybym nie urodził się Polakiem, to chciałbym być Francuzem, a gdybym nie kochał przede wszystkim Warszawy, to na pierwszym miejscu wśród miast ziemskich byłby u mnie Paryż z najpiękniejszą na świecie aleją: Champs Elisées. A więc: vive la Pologne, vive la France.

I jeszcze język: francuski - najpiękniejszy język świata. Przez kilkaset lat język dworów i dyplomacji. Pamiętam, że między I i II wojną światową był to pierwszy język dyplomacji. Jak żałuję, że dzisiaj zastąpił go angielski (a właściwie amerykański), bo podobnie jak królewska Anglia przegrała bitwę, a właściwie wojnę z USA o najnowocześniejszą technologię, tak klasyczna angielszczyzna przegrała z jej amerykańską odmianą.

Od 1 czerwca 1983 roku zacząłem pracę w potężnym, państwowym Biurze Projektów ENSID (Algieria). Zatrudniało ono około 1000 pracowni-

ków, a powołane zostało do obsługi huty El Hadjar (położonej o 6 km od nas, to znaczy campusa, gdzie mieszkaliśmy); pracowało tam około 2000 Rosjan, około 1000 Polaków i przedstawiciele innych narodowości. Wydaje mi się, że huta ta pracowała przede wszystkim dla przemysłu zbrojeniowego, a Algieria w tej dziedzinie ściśle współpracowała z ZSRR. Na przykład żaden polski lekarz nie pracował w myśl zawartego kontraktu w którejś z pięknych miejscowości na południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego, ponieważ pracowali tam tylko Rosjanie.

Porty algijskie jak Oran, Algier, Annaba i jeszcze wiele innych, były często odwiedzane przez okręty najpotężniejszego - obok Ameryki - państwa nuklearnego; nie wiem tego na pewno, ale "mówiło się", że była tam (może jeszcze jest?) baza dla podwodnych łodzi o napędzie nuklearnym.

Zanim jednak rozpocząłem pracę w Państwowym Biurze Projektów "ENSID", w 1982 roku pracowałem w biurze prywatnym. W czasie pracy u "prywaciarza" straciłem prawo do rejestracji mojego samochodu na prawach "CT" (cooperant technique) i miałem obowiązek samochód tak zarejestrowany odstawić poza granicę Algierii, w moim przypadku - do Polski. Jechaliśmy przez Lazurowe Wybrzeże tzn. południową Francję leżącą nad Morzem Śródziemnym, Monaco (z Monte Carlo), Genuę (już we Włoszech), Mediolan (najbogarsze miasto we Włoszech), powszechnie znaną Wenecję z jej Canale Grande (wspaniałe przeżycia). Po przekroczeniu granicy włosko-austriackiej wieczorem dojechaliśmy do Salzburga. Był wieczór, ulewa i pięć kolejnych hoteli, w których chcieliśmy przenocować miało komplet gości. Znalazł się jednak hotel "Bristol", gdzie dostaliśmy duży pokój z wielką łazienką i "słoną" ceną 80 USD za jeden nocleg - to była horrendalna kwota, ale przecież musieliśmy się (po wyczerpującej podróży) gdzieś przespać.

Jadąc tak przez Europę Zachodnią zastanawialiśmy się, dlaczego wymyślono "żelazną kurtynę"? Przecież przyjemnie było patrzeć na te zadbane kraje, ukwiecone ogródki i uśmiechnięte twarze. Wydawało się, że przebywający tam ludzie (bez względu na narodowość) są szczęśliwi. Szczęście? Wielkie słowo i codziennie na świecie tysiące mieszkańców naszej planety składa sobie życzenia - przy różnych okazjach - właśnie szczęścia. Ale czy ktoś zdefiniował to pojęcie, przecież jest to wartość niewymierna. Pomyślałem, że receptą na szczęście może być nie czynienie bliźniemu, tzn. żadnemu człowiekowi, zła. Przecież każdy zdrowo myślący człowiek przyzna, że wojna jest największym złem, a więc gdy wyeliminujemy zło, zapanuje pokój na świecie nie tylko dla ludzi dobrej woli.

10 km przed Wiedniem zatrzymaliśmy się na nocleg w pensjonacie prowadzonym, zdaje się, przez siostry zakonne. Było tam czystutko i tanio. Gdy wjechaliśmy do Czechostowacji zastaliśmy inny (gorszy) świat i tak przez Cieszyn do Warszawy.

Po krótkim pobycie w kraju powróciliśmy do Algierii i trzeba było zatroszczyć się o nabycie nowego samochodu.

W końcu czerwca 1983 roku dostałem trzy dni urlopu od nowego pracodawcy i poleciliśmy samolotem do Paryża po nowego "Poloneza". W Alei gen. Kleberh'a, gdzie był leasing naszych Polonezów - prezentowały się one całkiem, całkiem. Wobec tego, że były tańsze od francuskich samochodów tej samej klasy, kupowane były przez mniej zamożnych Francuzów. Samochody te kupione u Chardonnet'a były, poza odbiorem technicznym w FSO, jeszcze dwukrotnie sprawdzane na granicach państwowych - tak stanowi prawo. Nic dziwnego więc, że mój syn - Bolesław - sprzedał w kraju przywiezionego przeze mnie mojego pierwszego Poloneza za dobrą cenę. Samochód ten miał zresztą tylko 19000 km przebiegu i jego nabywca bardzo chwalił ten egzemplarz.

Nabyliśmy nowego "Poloneza" u Chardonnet'a w kolorze kości słoniowej, ale tym razem (ze względu na lepszy kurs dolara w stosunku do franka) za 2600 USD, tzn. o 1300 USD mniej, niż kosztował nas we wrześniu 1980 roku (nawiasem mówiąc te 1300 dolarów amerykańskich w Polsce trzynastacie lat temu to były "straszne" pieniądze).

Teraz Paryż - Marsylia samochodem (ok. 800 km) oczywiście płatną autostradą (ale to były grosze w stosunku do zyskanego czasu - time is money - z przejazdem prawie równo w połowie drogi przez Lyon (400 km na południe od Paryża), gdzie - uwaga ekolodzy! - autostrada przebiega przez środek dużego, przemysłowego miasta jakim jest Lyon. Uwaga: po co walczyacie o likwidację przebiegu naszej autostrady A-2 Berlin-Moskwa przez Ursynów? Przecież gdybyście, ekolodzy, mieli coś do powiedzenia w roku 1970/71 to trasa Łazienkowska nigdy by nie powstała; czy stać was na to, żebyście zrozumieli co byłoby z ruchem samochodowym we współczesnej Warszawie bez Trasy Łazienkowskiej? Mogę to napisać, bo jestem od dziesięciu lat mieszkańcem Ursynowa i to południowego: "Osiedle na Skraju".

Pierwszy nasz Polonez (był niebiesko-granatowy z czarnym pasem) wzbudził sensację w Annabie, bo wyróżniał się przede wszystkim linią limuzyny i dużo większym komfortem jazdy od Fiatów 125p (nie mówiąc już o 126p - małych Fiatach, których było pełno w Algierii), tak i ten następny (nazwany przez małżonkę Krystynę i przeze mnie "Pieszczoszkciem") robił nie mniejszą furorę prezentując się lepiej nawet od używanych oryginalnych Fiatów Mirafiori.

Mieszkaliśmy na kampusie zbudowanym przez Anglików w formie kaskadowej.

Każdy bungalow posiadał klimatyzację, przedpokój, po prawej stronie dwie sypialnie, na wprost wejścia W.C. i po lewej stronie łazienkę. Pier-

wsze wejście po lewej prowadziło do salonu, gdzie swobodnie mogło tańczyć 15 par. Z salonu było wejście do wspaniale wyposażonej kuchni (szafka, stół i oczywiście lodówka z osobnym zamrażalnikiem).

Mieszkanie tu było po prostu poematem: dzięki okopom nad oknami, w południe, gdy temperatura w cieniu osiągała $+44^{\circ}$, a w słońcu zbliżała się do $+60^{\circ}$, słońce nie docierało do wnętrza domu. Klimatyzacja zaś sprawiała, że temperatura wnętrza nie przekraczała $+26^{\circ}\text{C}$, co w porównaniu z panującym na zewnątrz skwarem sprawiało wrażenie przyjemnego chłodu.



Bungalow w Annabie: żona Autora Krystyna podczas pracy w ogródku.

I tak rozpoczął się dla nas, tzn. dla mojej małżonki - Krystyny i dla mnie "Nowy wspaniały świat" Huxley'a. Byliśmy kooperantami "całą gębą". Algierczycy kłaniali się nam prawie w pas, a inne narodowości miały także o Polakach (obojętne czy inżynierach, rzemieślnikach, czy lekarzach) dobre zdanie.

I powiem otwarcie - większość z nas nie pracowała tylko dla "dularów", motywacje były głębsze: przede wszystkim czuliśmy się małymi ambasadorami (tak, ambasadorami) naszej Ojczyzny.

Poza tym chcieliśmy przekonać innych, że "Polak potrafi". Naszą ambicją było pokazać, że absolwenci np. Politechniki Warszawskiej nie mają w głowie mniej (a często mieli więcej) niż absolwenci innych, zdawałoby się bardziej renomowanych, uczelni świata. Piszę świata, bo ja np. pracowałem w pracowni (oczywiście dróg i mostów) z Hindusem, bardzo grzecznym i o głębokiej wiedzy technicznej, absolwentem jakiejś uczelni w Wielkiej Brytanii; widać było u niego "kindersztubę" i tę wiekową kulturę, wyrażającą się godnością, taktem i dumą narodową.

W Algierii pracowali także Japończycy, Wietnamczycy, Anglicy, Francuzi, Włosi, Niemcy itd. (wszystkich nie sposób wymienić).

Gdy mieliśmy już smamochód, to pomyśleliśmy o telewizorze (oczywiście kolorowym), bo jak mówią Francuzi "apetit vient en mangeant" - apetyt wzrasta w miarę jedzenia.

W sierpniu 1983 roku dostaliśmy cztery dni urlopu i poleciliśmy samolotem do słynnej z walki byków - Barcelony (Hiszpania). Tam wynajęliśmy hiszpańskiego fiata (seat) prawie nowego i pojechaliśmy (pod górę) w Pireneje, gdzie na wysokości ok. 2300 m n.p.m. między Hiszpanią i Francją leży małe państewko - Andora. Państewko to jest na tyle ważne, że jest to strefa bezcłowa; nie ma ono własnej waluty tylko hiszpańskie pesety i franki francuskie. Jednak, co tu mówić, najsilniejszą walutą świata jest USD (dolar amerykański - bo jest jeszcze kanadyjski, troszkę tańszy od waluty swego południowego sąsiada).

Za 599 dolarów (to były duże pieniądze) kupiliśmy kolorowy telewizor 22 calowy renomowanej firmy niemieckiej "Grundig". Krystyna kupiła sobie trochę złotej biżuterii (jest jej w Andorze "od groma") i wracamy do Barcelony - i tu przytoczę ciekawostkę, bo na odprawie celnej między Andorą a Hiszpanią kazano nam zapłacić 350 USD kaucji. Zapłaciłem tę kwotę, a moja małżonka miała prawie lzy w oczach, bo bała się, że nam ich nie zwrócą. Ja byłem spokojny, bo zapłacić za telewizor prawie tysiąc USD to byłby idiotyzm. Wielkie pudło z telewizorem załadowaliśmy do naszego samochodu i jedziemy do Barcelony (w dół); jest to przepiękna trasa widokowa - same serpentyny i groźne, prawie odpychające Pireneje. Pomyśleliśmy sobie wtedy o dzielnych góralach Baskach, którzy żyją we wschodniej, a właściwie północno-wschodniej Hiszpanii i południowo-zachodniej Francji poniżej Bordeaux, dużego portu atlantyckiego. Baskowie chcący zdobyć niepodległość, są - podobnie jak Kurdowie - poniewierani przez wszystkich.

Posiadania najlepszego telewizora na kampusie (a było tam 30 bungalowów) nobilitowało nasz dom i prawie wszyscy chcieli nas odwiedzić (choć prawdę mówiąc i tak większość Polonii nas lubiła), a Krystyna - moja małżonka - była najlepszą gosposią i piekła najsmaczniejsze smakołyki.

Dla mnie ten telewizor spełniał najważniejszą rolę, tzn. zbliżał mnie do "światowego sportu".

Tutaj muszę podkreślić (co wyda się dziwne), że - z mojego punktu widzenia - wojna (wrzesień 1939r.) przekreśliła moje wrodzone predyspozycje sportowe, bo powtórzę, w sierpniu 1939 r. byłem na obozie kondycyjnym w Sierakowie k.Poznania, a zgromadzili się tam najlepsi juniorzy z

całej Polski; trenowali nas trenerzy państwowi (a sport w przedwojennej Polsce stał na wyższym poziomie, niż po roku 1945). Zapowiadałem się na mistrza w wydłużonym sprincie - 400 m płaskie (przypomnę, że starszy kolega z Rydzyny mojego brata Staśka, Wacław Gąsowski, na meczu lekkoatletycznym Polska - Niemcy (w 1938r.) pokonał średniodystansowców niemieckich i pobił rekord Polski w czasie 48,3 sekund. Jakież był entuzjazm na stadionie Legii - bo to był mecz sportowo-polityczny. Nasi lepsi od nazi!

Chcę teraz poświęcić trochę miejsca naszym podróżom zagranicznym, przyjmując, że Algieria była przez 10 lat naszym stałym miejscem zamieszkania.

Dla przypomnienia: jest druga połowa roku 1983 - w Kraju Jaruzelski ma już dużo więcej niż 90 dni bez strajków, ale nic z tego nie wynikało; doskonale tu pasuje stare polskie powiedzenie: "nie tak smykiem jak językiem". Niestety - aktualne było ono także dla Polski lat 1995/96 w czasie populistycznej kampanii przed wyborami na prezydenta.

W ostatnich czterech latach naszego pobytu w Algierii postanowiliśmy wykorzystywać urlopy wypoczynkowe nie na wyjazdy do Polski, lecz na "poznanie świata" (chodzi o Europę Zachodnią). Zaliczyliśmy Francję kilkakrotnie (np. w Paryżu byliśmy siedem razy), Hiszpanię: Madryt, Toledo, Saragossę, Barcelonę i Andorę, a także Majorkę - wyspę hiszpańską na Morzu Śródziemnym ze stolicą La Palma Majorka (bardzo piękna), gdzie ożyło wspomnienie słynnego romansu Fryderyka Szopena i George Sand. Byliśmy także we Włoszech (już drugi raz, bo w roku 1969 "zaliczyłem" Rzym, Turyn - z odwiedzeniem fabryki Fiata i tunelu pod Mont Blanc). Odwiedziliśmy tym razem przede wszystkim cmentarz na Monte Cassino, gdzie spoczywa tylu wspaniałych chłopców z II Korpusu. Nie było im dane wrócić z ziemi włoskiej do Polski, ale zostali wyprowadzeni przez generała Andersa z łągrów, zsyłki, ponieważ na nieludzkiej ziemi i polegali w pełnej chwale. Dokonali rzeczy wręcz niemożliwej. Dopiero wjeżdżając drogą wijącą się serpentyną na szczyt Monte Cassino, można sobie uświadomić, jak niesłychanej, desperackiej odwagi i męstwa wymagało zdobycie tej góry.

W Rzymie dostąpiliśmy zaszczytu audiencji u papieża Jana Pawła II. W "wiecznym mieście" zwiedziliśmy także większość kościołów, dzięki uprzejmości księdza - Polaka z parafii algierskiej, który był naszym przewodnikiem. Byliśmy też na Via Appia i w katakumbach. Obejrzelśmy Colosseum i pałacyk z balkonem, z którego przemawiał w latach trzydziestych Duce Mussolini, tak haniebnie potem stracony przez partyzantów włoskich, którzy nie oszczędzili również jego kochanki Klary.

LATA 1987 - 1996

Nasz powrót do Polski rozpoczęliśmy 15 lutego 1987 r. w Skigdzie, (bo z Annaby nie odchodziły promy w tych dniach), załadowaliśmy swojego wypełnionego po dach "dobytkiem" Poloneza i wypłynęliśmy około godz. 12.00 w stronę Maryslii (port przeznaczenia). Mieliśmy, wg rozkładu dopłynąć tam około godz. 10.00 dnia następnego. Ale i w tym wypadku okazało się, że "l'homme propose, Dieu dispose" (człowiek proponuje, Bóg zatwierdza).

Najpierw napiszę o swoich przemyśleniach: minęło równo 10 lat i jeden tydzień (8 lutego 1977), kiedy wyjechałem (mówiło się wtedy) na dwa lata na indywidualny kontrakt "PolSERVICE'u". Dlaczego byłem tak długo? Z trzech powodów: pierwszy - chyba najważniejszy - to klimat; przez dziesięć lat nie miałem ani jednego dnia zwolnienia lekarskiego i to nie dlatego, że pracowałem za dolary, lecz po prostu byłem zdrowy; drugi - to zadowolenie z ciekawej i pożytecznej społecznie pracy - nie robiliśmy projektów "półkowników", bo tak się nazywało "tony" dokumentacji projektowej, leżące w Polsce na półkach i nigdy nie zrealizowane - szczyt głupoty i marnotrawstwa; nasze, tzn. i moje projekty "wcielano w życie" prawie natychmiast po ich wykonaniu; po trzecie - nieustabilizowana sytuacja w Polsce.

Powiedzieć można w tym miejscu nieskromnie, że i ja zostawiłem w zrealizowanych przeze mnie budowach na terenie Algierii część "myśli technicznej" polskiego inżyniera. Mój zmarły brat Stasiak - z wykształcenia magister praw, działający w turystyce od 1961 do 1988 r., mawiał - że po jego śmierci za parę lat wszyscy, albo prawie wszyscy, zapomną o nim. Po mnie, inżynierze budowy dróg i mostów, zostaną trwałe ślady. Nie chcę więcej "wbijać się" w ambicję, ale - zrozumcie - mam jak każdy prawie Polak skłonność do megalomanii.

Włączona syrena dała sygnał: "cała naprzód" - na północ. I po dwóch godzinach zaczęło się: morze dostało "kręcka"; wzburzone fale wysokości 5 m zaczęły rzucać naszym potężnym, bądź co bądź promem (500 samochodów i trzy pokłady dla pasażerów) jak przysłowiową łupinką. Żeby nie ulec katastrofie, kapitan statku zmienił kurs na północno-zachodni, płynąc między wyspą Majorką a półwyspem Iberyjskim, to jest Hiszpanią.

Prawie wszyscy pasażerowie "jechali do Rygi przez Ząbki". Jednak po 36 godzinach dopłynęliśmy jakoś do zmarzniętych celników francuskich. Byliśmy w Marsylii o godz. 21.00, a temperatura powietrza wynosiła -9° C, tzn. była niższa o 25° C od tej, którą wykazywało powietrze algierskie. Tę naszą podróż przez morze mogliśmy też zakończyć na jego dnie, bo stale słyszy się o zatopionych promach. Opatrzność - jak z tego wynika - czu-

wała nad nami, bo każdy przyzna, że byłoby bardzo głupio cały swój 10-letni dorobek wraz z życiem stracić przez "złą wodę". A jednak woda to najpotężniejszy żywioł, bo gasi nawet ogień, a żaden ogień nie zniszczy zasobów wody na świecie.

Tak więc 16 lutego 1987 roku wróciliśmy do Europy. Nie dojechaliśmy natomiast do Warszawy samochodem, bo nastąpiły pewne komplikacje i wróciliśmy do Polski samolotem Paryż - Warszawa 21 lutego tegoż roku. Samochód został na tydzień we Francji i sprowadził go do Warszawy syn - Bolesław.

Teoretycznie nie mieliśmy gdzie mieszkać, bo nasze mieszkanie na Ursynowie zajmował mój bratanek - Maciuś ze swoją żoną i 2-letnim Kajtkiem. Na szczęście bratanek Krystyny (lekarz) przebywał jeszcze na kontrakcie w Algierii i odstąpił nam na ten czas swoje mieszkanie na Stegnach.

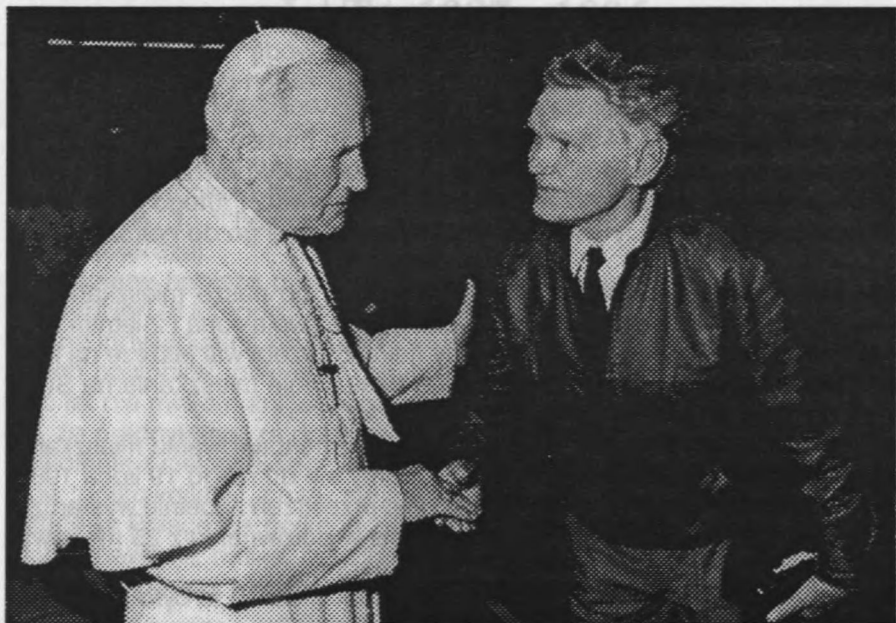
Po wyprowadzeniu się naszych "gości" i odrestaurowaniu mieszkania na Polinezyjskiej (Ursynów), wprowadziliśmy się do niego 19 lipca 1987. 48 m² powierzchni dla dwojga ludzi to jest przestrzeń zupełnie wystarczająca do wygodnej egzystencji (szczególnie w porównaniu z 25 m² kawalerki na Kruczej, skąd wyruszyliśmy w nieznane).

Jaką zastaliśmy Polskę? Przede wszystkim własną i to było przyczyną naszej nieklamanej radości. Nie ma jak w domu. Dla oceny sytuacji ekonomicznej kraju i naszej, trzeba było zrobić myślowy przeskok, że wyjechaliśmy jako inni ludzie (o 10 lat młodsi), a wróciliśmy inni (starsi), ale przywieźliśmy bagaż wspaniałych wrażeń, które przeżywaliśmy poznając wiele krajów Zachodniej Europy. Nawet dziecko przyzna, że nasza komunistyczna propaganda, która obrzydzała nam Zachód nie zostawiając na nim "suchej nitki", była czystą kompromitacją jej twórców.

Co przede wszystkim rzuciło się w oczy? - szarzyzna życia. Przyjechaliśmy do Polski dogorywającego "realnego socjalizmu", który per saldo, narobił więcej zła niż dobra. I to zło było większe w dziedzinie ducha (kultury) niż ciała - nędznych warunków egzystencji z poniżającymi kartkami na mięso. Chociaż ja - jako kombatant - miałem prawo stanąć w kolejce dla uprzywilejowanych (dziesięć razy krótszej), to nie robiłem tego, bo czułem jak reagują na ludzi z tej kolejki ci ... drugiej kategorii.

Jeśli chodzi o rozwój gospodarczy Polski, to generał Jaruzelski nie zasłużył na jeszcze jeden medal. Generał Pinochet w Chile radził sobie dużo lepiej. Czy był mądrzejszy?

Pytanie to nie zostało postawione złośliwie. Mając prawie dyktatorską władzę i właściwie spacyfikowane społeczeństwo, można wiele więcej uczynić dla kraju pod warunkiem, że się kraj ten kocha i że umie się rządzić. Społeczeństwo to nie wojsko, gdzie nie należy myśleć, a jedynie wy-



Autor podczas audiencji u papieża Jana Pawła II

konywać rozkazy. Niestety, na rozkaz - nawet generała armii - w kraju nie będzie lepiej, gdy rozkazy będą chybione. Kiedy rządzi się mimo społeczeństwa (bezcelne urbanowskie: "rząd się wyżywi") to rezultaty są wiadome. A szkoda, bo to społeczeństwo zasługiwało i zasługuje na lepszy los.

Na podsumowanie dokonań "władzy" mam jeszcze czas, a teraz chronologicznie opiszę te ostatnie prawie dziesięć lat (już w Polsce), ale nie jako kronikarz, lecz jako wolontariusz, który musi - z uwagi na zamówioną objętość "dzieła" - pominąć wiele ciekawych rzeczy, czy nawet ważnych faktów: napiszę to, co najbardziej zachowało mi się w pamięci, czy dotknęło największej głębi mego serca.

Tutaj cezurą czasową będzie dzień 1 lipca 1988 roku, bo do tego czasu wyłączyłem się z pracy zawodowej, robiąc sobie dłuższy (zasłużony zresztą) urlop, zwiedzałem trochę kraj ojczysty, uczestniczyłem w życiu kulturalnym (teatry, muzea, lektura) i wspólnie z małżonką urządzałem w dalszym ciągu mieszkanie, bo jest to robota, która wciąga i zawsze jest w tej dziedzinie coś do zrobienia.

Telewizor nabyty w Andorze ("Grundig") okazał się egemplarzem najnowszej generacji ze scalonymi obwodami, a inżynier z service'u z Alei

Jerozolimskich stwierdził, że takich telewizorów jest w Warszawie (a był to rok 1987) kilkanaście. Służy nam zresztą do dzisiaj.

Powiedziałem o telewizorze, a nie napisałem nic o samochodzie. "Volvo" 340 DL (diesel) objąłem w posiadania dopiero w kwietniu, bo syn zrobił sobie nim wycieczkę do Europy Zachodniej (razem z redaktorem "Motoru", który opisał ten samochód w samych superlatywach). Gdy wsiadłem pierwszy raz do nowego nabytku to miał on już 10.500 km przebiegu, ale to właściwie drobnostka. Przesiadka z "Poloneza" do takiego samochodu, to awans o kilka klas.

W jakiś czas po przyjeździe zgłosiłem się do Generalnej Dyrekcji Budowy Metra, żeby załatwić sprawę emerytury. Ciekawe, że w GDBM nie pracowałem ani jednego dnia, ale moje "papiery" przeszły tam z Dyrekcji Budowy Tras Komunikacyjnych, która to Dyrekcja w międzyczasie została zlikwidowana; zresztą słusznie: po co Dyrekcja, jak nie ma tras komunikacyjnych, a Trasa Toruńska buduje się przecież już prawie 20 lat.

Chyba w maju 1987 roku spotkałem swego kolegę z Trasy Łazienkowskiej, mgr inż. Jerzego Korytkę, poszliśmy do doskonałej herbaciarni "Gong" w Alejach Jerozolimskich i zgadało się, że mają partię brydża i co tydzień "ćwiczą" tę grę u naszego wspólnego kolegi, Henia Błońskiego na Zoliborzu. W ten sposób po prawie 10 latach postu brydżowego zostałem przyjęty do przyjemnej partii "karcianej". Ale tu nie chodzi tylko o grę; są to bowiem spotkania towarzyskie, podczas których zadzierzgają się więzy przyjaźni.

Dużym zaskoczeniem dla nas w Kraju był "Teleexpres" w telewizji. Takich programów "za naszych czasów" nie uświadczyłeś. Prasa była chyba także bardziej liberalna, a wyglądało na to, że władza zaczyna liczyć się ze społeczeństwem. Cały czas mówiono, że socjalizm jest reformowalny, co wyraźnie świadczyło o tym, iż dotychczasowe osiągnięcia nie zadowalały nie tylko rządzonych ale także rządzących.

Może niepotrzebnie zwalczono analfabetyzm i utrzymano szkolnictwo powszechne. Polacy byli na tyle wykształceni, że umieli myśleć i z tego myślenia wyciągać logiczne wnioski. Otwarcie granic, czyli - używając ówczesnej nomenklatury - podniesienie "żelaznej kurtyny" pokazało, że "król jest nagi". Gdy skonfrontowano obietnice i z ich realizacją, gdy porównano w miarę syty Zachód i stale nie najedzony do syta Wschód, zaczęto coraz głośniejszymi domagać się przede wszystkim poprawy "warunków bytu". Był kształtuje świadomość - przecież to jest wypowiedź Marksa, a więc winna być ona respektowana przez aktualną władzę, która powinna zastąpić frazesy ("nowomowa") czyniami. Przecież posiadanie wielkich pieniędzy przez ludzi właściwie niczym pozytywnym nie wyróżniających się, a często w taki, czy inny sposób "kradzionych" - o czym wszyscy wiedzą - jest naigrywaniem się z biedą społeczeństwa.

Jeśli chodzi o urządzenie naszego mieszkania (piszę o latach 1987 - 1988), to prawie wszystko "rodziło się w bólach". Wtedy nie wystarczyło mieć (jak dzisiaj) dużo pieniędzy.

Prawie każdy sprzęt czy materiał, jaki był potrzebny, wymagał szukania po całym mieście. Atrakcyjny towar kupowało się "spod lady" albo stać trzeba było po niego w tzw. społecznych kolejkach. Wielu Polaków zapomniało już o tym i chciałoby przywrócenia "starych porządków". To jest oczywiście ich prywatna sprawa, ale coś tu "nie gra".

I wreszcie doczekaliśmy lipca 1988 roku, kiedy rozpocząłem pracę na stanowisku Głównego Specjalisty w Branżowym Zakładzie Doświadczalnym Budownictwa Drogowego i Mostowego. Dyrektorem był mój młodszy kolega, doskonały inżynier, organizator i psycholog. Byliśmy zakładem innowacyjno-wdrożeniowym przy Zjednoczeniu, później Zrzeszeniu Przedsiębiorstw Drogowych i Mostowych w Polsce.

Z moją praktyką, moją wiedzą, moją pasją, była to praca wymarzona dla mnie. Zarabiano się w stosunku do Algierii "grosze", ale mając pewne oszczędności na koncie dewizowym (przy ówczesnym kursie dolara) można było swobodnie żyć. Klimat w pracy był idealny. Pracowałem z ludźmi, w stosunku do mojego wieku (65 lat) młodymi. Może to odziedziczyłem po rodzicach, że lubię młodych, stawiam na młodych i rozumiem (tak mi się wydaje) dzisiejszą młodzież. Nie zraża mnie to, że dla wielu przedstawicieli młodego pokolenia powstanie warszawskie (sierpień, wrzesień 1944) to taka sama historia jak bitwa pod Grunwaldem (15 lipca 1410). Dobrze - skończmy wreszcie o wszystko walczyć, budujemy w zgodzie lepsze życie w naszym kraju, nie pałajmy nienawiścią do tych, co mają inne zdanie, bo "rozdziobią nas kruki, wrony". "Zespólny myśli w jedno i w jedno ognisko ducha". Zastanówcie się pseudo-politycy, a właściwie politykierzy, o co Wam chodzi? Czy o kraj ojczysty czy tylko o przeklętą prywatę? Świat jest taki piękny, polski lud nie został - na szczęście zdeprawowany do końca. Roześlijmy wici do wszystkich ludzi dobrej woli, nie dbajmy o własne stołki, własne sekretarki i o stanowiska. Komuś musimy ustąpić. Nie repetujemy "Konwentu Św. Katarzyny" bo to była parodia. Śmiejemy się sami z siebie, a nie dopuścimy do tego (chyba zostało nam jeszcze trochę dumy narodowej), aby cały świat śmiał się z nieobliczalnej Polski. Patrzymy sobie przyjaźnie w oczy, nie oszukujemy się, wyzwólmy tkwiący w nas głęboko szacunek dla pracy. Nie obrażajmy symboli, w imię obrony których tyle serdecznej polskiej krwi wsiąkło w tę umęczoną ziemię. Nie dopuścimy do tego, żeby Polak któryś kolejny raz w historii był mądry po szkodzie. Przyznajmy szczerze (te starsze pokolenia), że nie dochowaliśmy się w Polsce przez pięćdziesiąt lat żadnego autorytetu.

Co się dzieje? Czy my, Polacy, mamy istnieć na tym świecie tylko w roli outsiderów, czy naprawdę nie stać nas na więcej? Czy chcemy, żeby po 250 latach wróciło znów porzekadło, że Polska nierządem stoi? Przecież wiadomo, że nie jesteśmy narodem wybranym, ale tym bardziej nie jesteśmy narodem zapomnianym przez Boga.

Bałwochwalstwo: podporządkowanie własnego życia umownie mówiąc "złotemu cielcowi" jest jednoznaczne ze zmarnowaniem tego życia.

Solidarność? Kogo z kim? Obserwuję z niepokojem rozpoczęcie walki o elektorat (a nie o dobro Polski) różnych partii, partyjek, grupy "100", może dojdzie jeszcze grupa "200", "300"; do jednego miliona jeszcze bardzo daleko. Nikt w dzisiejszej Polsce nie ma monopolu na rację.

Jak istnieje w technice pojęcie "zmęczenia materiałów" tak samo w polityce i w mediach istnieje zmęczenie słuchaniem i oglądaniem tych samych ludzi, dla których uczestniczenie w okrucinach władzy jest największym ich osiągnięciem życiowym. Jeśli ci sami ludzie od 15-tu, 10-ciu lat mówią to samo, staje się to nudziarstwem. Czy lepiej, gdy w miarę upływu czasu mówią co innego? - też źle, bo sami nie wiedzą czego chcą, czyli używając stylu biblijnego: "sami nie wiedzą co czynią".

Piszę to wszystko z wielką goryczą; nie dlatego, że nie jestem u władzy, tylko dlatego, że pokolenie, z którego mam zaszczyt pochodzić, pokolenie Kolumbów (odchodzące już pokolenie) nie o taką Polskę walczyło, nie walczyło o Polskę wilkołaków, lecz o Polskę w której władzę sprawowałaby elita intelektualna narodu. Komuś nie podoba się Bóg. Jak się może nie podobać, kiedy znaczna część społeczeństwa twierdzi, że Boga nie ma. A coś, co nie istnieje, nie jest warte zastanowienia nawet przez pięć minut.

A może rację ma Moniusz, który twierdził: "Jak Boga nie ma to chwała Bogu, ale ... jak Bóg jest, to nie daj Boże".

W lipcu 1988 roku miałem 65 lat; jako kombatant mogłem już od pięciu lat być na emeryturze, ale po co?

Przecież praca nie powinna być przekleństwem (choć niektóre źródła podają, że Pan Bóg wypędziwszy Adama i Ewę z raju ... skazał ich i ich potomstwo na pracę).

W czerwcu 1989 roku ustawą sejmową zlikwidowano zrzeszenia, powołane uprzednio w miejsce zjednoczeń; około dwudziestu osób zatrudnionych w Branżowym Zakładzie Doświadczalnym Budownictwa Drogowego i Mostowego, tzn. moja firma przestaje istnieć. Co robimy? Płacemy? Nie, zakładamy spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością (zatrzymując dawną nazwę) i stajemy się zakładem prywatnym. Mija właśnie siedem lat i nie tylko nie zbankrutowaliśmy, ale nie wzięliśmy ani jednego złotego pożyczki bankowej i po każdym roku rozliczeniowym wypłacamy sobie sami dywidendy.

I wreszcie nadszedł 19 czerwca 1989 roku - wybory parlamentarne. O "okrągłym stole" już nie piszę, bo można by o tym na okrągło. Komitety obywatelskie: 35% miejsc w sejmie (niestety kontraktowych) i 100% miejsc w senacie. 12 września 1989 r. nowy premier Tadeusz Mazowiecki wygłosił swoje exposé w sejmie i położył nacisk na "grubą kreskę" - nikt,



Rok 1988 - rodzinne spotkanie Ostrowskich; stoją od lewej: Maciej, rodzice Macieja - Euzebia i Stanisław, Elżbieta z Kwiatkowskich - żona Macieja

naprawdę nikt nie zrozumiał wtedy o co chodzi. A szkoda, bo to było skróto-we określenie kardynalnej zasady, że: "zgoda buduje, a niezgoda rujnuje"

Jak ma się zachować facet, który żyje już 73 lata (może zbyt długo) na tej ziemi i od swoich narodzin czuł się 1/30.000.000 częścią Polski? Prosić Boga o rychłą śmierć, żyć nadal w wewnętrznej emigracji, nie przyznawać się do narodu, który kpi sobie z własnej historii i co gorsza z własnej

... współczesności, kupić pistolet i zastrzelić dla przykładu pięć osób (oglądamy już prawie codziennie większe masakry), spać spokojnie, chociaż dla takiego snu nie stwarza warunków telewizja lubując się w filmach erotyczno-kryminalnych, czytać poezję, czy pisać wiersze (do szuflady), czy może poprawić choć troszkę ten świat?

Popraw świat - to przecież szaleństwo, ponieważ około 30% ludzi prowadzi się doskonale i oni rządzą, a nie ta 70 procentowa większość. Najgorszym złem jest obojętność, albo jak kto woli "grzech zaniechania". Dążyć.

Jestem na szczęście inżynierem i mam zawód apolityczny. Co zaprojektuję, co zbuduję (oczywiście w zespole), to zostanie. Może za pięćdziesiąt lat jakiś wybitny polski historyk (a może już nie polski, a ... europejski) przeczyta te zakurzone wtedy wyznania wiary i zapyta: jacy ci ludzie fin de siecle'u byli zagubieni, nie rozumieli najprostszych rzeczy, najczęściej stale się zwalczali.

Tak się złożyło, że piszę te słowa w Dniu Matki. Teraz nie przemawia przeze mnie egzaltacja ani megalomania, jak powiem, iż nikt nie miał takiej matki jak ja, Stanisławy z Filipkowskich z męża Ostrowskiej, żony Leo-

GENERALNA DYREKCJA DRÓG PUBLICZNYCH



Ul. Wspólna 1/3
00-921 Warszawa

Warszawa, 1992.12.04

Nr GDDP-VIIIp-0657/3/92

Branżowy Zakład Doświadczalny
Budownictwa Drogowego i Mostowego
Spółka z o.o.

ul. Skaryszewska 19

03-802 Warszawa

Uprzejmię informuję, że wpłynęła do Generalnej Dyrekcji Dróg Publicznych karta biograficzna pana mgr inż. Juliusza Ostrowskiego.

Biorąc pod uwagę znaczące osiągnięcia oraz wieloletnią pracę na rzecz rozwoju drogownictwa pana inż. J. Ostrowskiego karta biograficzna została umieszczona w grupie III /najwyższej/ centralnego rejestru /kartoteki/ zasłużonych dla drogownictwa pod nr 514.

Pozostaję z poważaniem

J. Nikolska
/Joanna Nikolska/

Otrzymuje :

Pan mgr inż. Juliusz Ostrowski
ul. Polinezyjska 6 m.46
02-777 Warszawa

B. Z. D.
KANCELARIA

Otrzymało dn. 16.12.92

Nr 929

Tel. centrali: 628-40-71 do 89
Fax: 21-05-97
Telex: 814835, 817465 gddp pl
Konto: NBP O/O Warszawa 1052-5568-223



14 maja 1996 r.: przewodniczący Unii Wolności Leszek Balcerowicz (oierwszy z lewej) w czasie wizytacji Koła Uni Wolności w Pruszkowie; za nim prezydent miasta - Euzebiusz Kielkiewicz, przewodniczący Rady Miejskiej - Józef Moczulo i Autor

ralnie włosami, pojął za żonę Stanisławę Filipkowską (Jej matka pochodziła w prostej linii od znanego rodu Jasińskich), warszawiankę, może nie ładną, ale przystojną blondynkę z pięknymi (i mądrymi) niebieskimi oczyma (która miała wtedy 26 lat) już wybitną polonistkę dającą korepetycje z języka polskiego, otrzymując astronomiczną w tamtych czasach kwotę jednego rubla (w złotych) za godzinę. Muszę podkreślić, że (jak się później okazało) moja Mama skończyła w Warszawie - jako prymuska- renomowaną pensję Jadwigi Sikorskiej i jeszcze miała za sobą dwuletnie półwyższe studia; znała oprócz polskiego trzy obce języki: oczywiście francuski (wtedy był to pierwszy język świata), rosyjski i niemiecki. Angielski nie był w tamtych czasach w modzie, bo Stany Zjednoczone Ameryki Północnej liczyły sobie zaledwie 100 lat, tzn, jeden wiek. Jest to



Pruszków, 14 maja 1996 r. - moment oddania hołdu ostatnim Przywódcom Polskiego Podziemia; przed Pomnikiem Szesnastu stoją (od lewej); Andrzej Kurc, Antoni Platowski, Leszek Balcerowicz i Autor

"fiume" w stosunku do naszej tj. Polski państwowości liczącej wtedy 900 lat. Wygrywalismy pod tym względem z USA 9:1, to prawie tak jak w boksie przegrać walkę przez K.O. Jak mi wiadomo, to Mama miała wyjechać na jesieni 1914 r. do Paryża na Sorbonę, ale przeszkodziła w tym I wojna światowa, która wybuchła, jak wiemy 1 sierpnia 1914 r. Już przy końcu tej "opowieści" uświadomiłem sobie, że tak dużo napisałem o Mamie, a stosunkowo mało o Ojcu. Otóż mój Ojciec był cichym bohaterem; na poparcie tej tezy przytaczam następujący fakt: 6 września 1939 r. gdy było już jasne, iż przegralismy wojnę z hitlerowcami, wyniósł ze swego dyrektorskiego gabinetu wszystkie, podkreślam: wszystkie cenne dokumenty, a mianowicie: księgę z nazwiskami kolejnych roczników maturzystów renomowanego (można powiedzieć) Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana w Pruszkowie.

Obok tych ważnych dokumentów zabrał też do naszego mieszkania wszystkie pieczątki, z najważniejszą - dużą okrągłą z godłem państwowym. Muszę tu dodać, że w budynku gimnazjum (20 metrów od naszego domu) przez całą okupację stacjonował Wehrmacht. Jak wiemy hitlerowcy co jakiś czas "wizytowali" polskie mieszkania, zabierając przede wszystkim ludzi młodych na roboty przymusowe do Niemiec. Z trzech milionów Polaków (siłą wywiezionych) straciło tam życie 150 tysięcy ludzi. Czy to nie był holokaust, polski holokaust?

Dlaczego o tym wszystkim tak szczegółowo piszę? Po prostu dlatego, że znalezienie przez hitlerowców w naszym mieszkaniu tych ważnych dokumentów kwalifikowałoby całą rodzinę (odpowiedzialność zbiorowa) przynajmniej na wyjazd do Oświęcimia.

Po wyzwoleniu Pruszkowa (od hitlerowców) w styczniu 1945 r. Ojciec był przekonany, że w dalszym ciągu będzie dyrektorem tej szkoły. Był przecież apolityczny i nie współpracował z Niemcami. I tu spotkał Ojca straszny cios: nie powołano go po wojnie na dyrektora, lecz stanowisko to objął Michał Sokorski, którego synem był sławetny Włodzimierz Sokorski. Pikanterii dodaje fakt, że Michał Sokorski był przed wojną w czasie rządu sanacji wizytatorem, a to stanowisko jest ze wszech miar polityczne. Nie chcę dalej komentować tej jawnej niesprawiedliwości. Ale mój Ojciec nie załamał się, chociaż cios otrzymał "w same oczy". Trzeba dodać, że w tym czasie (rok 1945) Ojciec miał 52 lata, więc był w sile wieku. Tak wyglądała "sprawiedliwość" Polski Ludowej.

Złożyło się tak, że właśnie 30 czerwca 1950 roku obroniłem dyplom na Politechnice Warszawskiej z tytułem: inżynier budownictwa lądowego - magister nauk technicznych (nie "farbowany" magister).

Autobiografię tę poświęcam przede wszystkim polskiej młodzieży. Zapewniam Was, że nie ma w niej żadnego przekłamania. Apeluje do Was: przestańcie tracić czas na dyskotekach; weźcie się do prawdziwej roboty.

Gdy ja miałem 15 lat (a był to rok 1938), chciałem zrobić "wielką karierę". Ale nie z pobudek egoistycznych. Wydawało mi się - co na pewno nie było obiektywne - że mam predyspozycję do zrobienia czegoś wielkiego dla mojego biednego kraju. Sytuacja geopolityczna Polski jest fatalna: ze wschodu i zachodu graniczy z dwiema potęgami, żeby oprzeć się im musimy się jednoczyć, nie poprzestawać na sloganach, wyeliminować prywatę, chęć zagarnięcia korzyści dla siebie, co stało się, niestety, zjawiskiem powszednim. Dążmy do tego, aby każdy Polak mógł być dumny ze swego kraju.

Wierzcie mi, że takie pojęcia jak Bóg, Honor i Ojczyzna nigdy się nie zdewaluują, bo one stanowią esencję naszego bytu. Nie ulegajcie propagandzie i agitacji, nie dajcie sobie robić "wody z mózgu". Przecież nasza wspaniała historia nie zaczęła się ani w roku 1945, ani w 1989, ani (tym bardziej) w roku 1993.

Chcę tchnąć w Wasze serca trochę wiary, bo jestem święcie przekonany na podstawie znajomości historii, nie tylko Polski, ale i swojego życia, gdyż wyszedłem dzięki Opatrzności z bardzo wielu opresji - że prawda choć może nie od razu, ale w ostatecznym rozrachunku zawsze zwycięża, po prostu musi zwyciężyć.

Mając dwanaście lat złożyłem przysięgę, której wierny będę do końca moich dni:

*"Mam szczerą wolę
Całym życiem pełnić służbę
Bogu i Polsce, nieść
Chętną pomoc bliźnim
Być posłusznym prawu harcerskiemu"*

W słowach tych zawarta jest wielka i piękna idea. Szkoda, że w chwili obecnej często zastępuje się ją sloganami gloryfikującymi konsumpcję, użycie, egzystencję beztreściową i ubogą. A przecież my, Polacy, mamy wszystkie dane, żeby uczynić nasze życie godnym, spokojnym i bezpiecznym. To od Was, młodzi Czytelnicy, zależy jaki będzie w przyszłości los naszej ojczyzny.

Życzę Wam więcej uśmiechu, bo choć on nic nie kosztuje, jednak bardzo przyjemnia życie. Życzę Wam, Polska Młodzieży, abyście weszli w XXI wiek z podniesionym czołem. Jest w polskim narodzie jakaś pozytyw-

na cecha, która nas odróżnia od innych. Pielęgnujmy ją, a wtedy pod koniec życia, oglądając się za siebie, powiecie z satysfakcją: ja życia nie zmarnowałem. Szanujcie też starszych, jeśli chcecie doznać kiedyś szacunku od Waszych synów.

Zakończę czterowierszem Goethego:

*"Gdzie słyszysz śpiew, tam wstąp.
Tam ludzie dobre serce mają.
Bo ludzie źli - ach wierzaj mi,
Ci nigdy nie śpiewają".*